

Emily Ruete

*Pamiętnik
arabskiej
księżniczki*



Emily Ruete

Pamiętnik arabskiej księżniczki

Ridero

2023

Pamiętnik arabskiej księżniczki
Emily Ruete
księżniczka Omanu i Zanzibaru

przełożyła
Magda Bitner

na podstawie angielskiej wersji językowej
autorstwa Lionela Stracheya

© Emily Ruete, 1886

© Magda Bitner, tłumaczenie, 2023

ISBN 978-83-8351-164-1

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

Wstęp	5
Rozdział I	7
Bet il Mtoni	7
Rozdział II	19
Bet il Watoro	19
Rozdział III	28
Bet il Sahel	28
Rozdział IV	38
Inne wspomnienia z dzieciństwa	38
Rozdział V	46
Życie codzienne w naszym domu	46
Rozdział VI	57
Narodziny oraz pierwsze lata życia księcia i księżniczki	57
Rozdział VII	65
Edukacja na Wschodzie	65
Rozdział VIII	73
Moda	73
Rozdział IX	79
Podróż sultana do Omanu	79
Rozdział X	86
Śmierć Seyyida Saïda	86
Rozdział XI	95
Pozycja kobiety	95
Rozdział XII	107
Arabskie konkury i małżeństwo	107

Rozdział XIII	113
Nasze zwyczaje	113
Rozdział XIV	121
Mahometańskie święta	121
Rozdział XV	134
Medycyna	134
Rozdział XVI	142
Niewolnictwo	142
Rozdział XVII	148
Spisek w rodzinie	148
Rozdział XVIII	161
Czas spędzony w wiejskiej rezydencji	161
Rozdział XIX	169
Ucieczka z Zanzibaru	169
Rozdział XX	173
Angielska dyplomacja	173
Rozdział XXI	180
Powrót na Zanzibar	180
KONIEC	194

Wstęp

Dziewięć lat temu postanowiłam spisać swoje wspomnienia dla moich dzieci, które w tamtym czasie niewiele wiedziały o moim pochodzeniu poza tym, że urodziłam się na Zanzibarze i jestem Arabką. Moje ciało i umysł były wówczas wyczerpane, nie spodziewałam się, że dożyję chwili, w której moje dzieci dorosną i będą mogła sama opowiedzieć im o zmianach, jakie zaszły w moim życiu, i o moje młodości. Dlatego zdecydowałam się na napisanie pamiętnika, zrobiłam to wyłącznie z miłości i przywiązania do moich dzieci, które przez wiele niespokojnych lat były mi jedynym pocieszeniem. Tylko dzięki ich uczuciu nie pograżyłam się w rozpacz, kiedy przyszło mi sprostać największym wyzwaniom.

Na początku moje wspomnienia nie były więc przeznaczone dla szerszej publikacji, ale wyłącznie dla moich ukochanych dzieci, którym chciałam zostawić je w spadku jako dowód głębokiej matczynej miłości. Ulegałam jednak wielokrotnie powtarzanym namowom przyjaciół i zdecydowałam się wydać je drukiem.

Poniższe strony zapisałam lata temu — z wyjątkiem ostatniego rozdziału. Dodałam go ostatnio po powrocie z podróży do mojego dawnego domu na Zanzibarze, kiedy wreszcie po-

zwolono mi tam wrócić. Miała ona miejsce ubiegłego roku i towarzyszyły mi w niej moje dzieci.

Niech więc ta książka poleci w świat i pozwoli mi zdobyć tak wielu przyjaciół, jak zawsze mi się udawało, co uważam za swoje wielkie szczęście.

Berlin, maj 1886

Rozdział I

Bet il Mtoni

Urodziłam się w Bet il Mtoni, najstarszym pałacu na Zanzibarze. Tam też mieszkałam przez pierwszy siedem lat życia.

Bet il Mtoni, oddalony o około osiem kilometrów od miasta Zanzibar, leży nad brzegiem morza wśród pięknej scenerii. Pałac jest ukryty w zagajniku drzew mangowca, palm i innych gatunków ogromnych tropikalnych roślin. Miejsce mojego urodzenia wzięło swoją nazwę od niewielkiej rzeki Mtoni, która bierze swój początek zaledwie kilka kilometrów dalej w głębi wyspy, przepływa przez cały pałac, zasilając niezliczone fontanny, żeby w końcu znaleźć ujście w błyszczącej tafli wody oddzielające Zanzibar od afrykańskiego kontynentu.

Pośrodku Bet il Mtoni znajduje się duży dziedziniec otoczony licznymi budynkami, każdym w nieco innym stylu, które dobudowywano, gdy zaszła taka potrzeba. Całą tę architekturę z niezliczonymi i zagadkowymi przejściami należałoby nazwać raczej odpychającą, a nie piękną. Nie pamiętam już dokładnego rozkładu pomieszczeń w tych budynkach, w moich wspomnieniach zachował się jednak mglisty obraz łązni: dziesiątek base-

nów ułożonych w rzędzie na przeciwległym końcu dziedzińca. W czasie deszczu trzeba było wziąć parasol, żeby tam dotrzeć. Tak zwane perskie łaźnie były oddzielone od reszty, choć tak naprawdę były to łaźnie tureckie, jedyne takie na Zanzibarze. W każdym z pokoiów kąpielowych znajdowały się dwa baseny o wymiarach około trzy na cztery metry, woda sięgała w nich dorosłej osobie do wysokości piersi. To miejsce było bardzo popularne wśród mieszkańców pałacu: większość miała w zwyczaju spędzać tam nawet kilka godzin dziennie. Ludzie odmawiali tam modlitwy, pracowali, czytali, spali, a nawet jedli i pili. Od czwartej nad ranem do dwunastej w nocy w łaźni panował ciągły ruch, strumień osób wchodzących i wychodzących nigdy się nie kończył.

Po wejściu do jednego z pokoiów kąpielowych, a wszystkie zbudowane były tak samo, najpierw widziało się dwie wyłożone drewnem platformy: jedną po prawej, drugą po lewej stronie, które służyły do modlitwy i odpoczynku. Wszystko, co świadczyło o luksusie, jak dywany, było tutaj zakazane. Zawsze, kiedy mahometanin się modli, musi założyć specjalne ubranie: idealnie czyste, najlepiej białe i nieużywane do żadnych innych celów. Oczywiście ta surowa zasada jest przestrzegana tylko przez najbardziej pobożnych. Do basenów pomiędzy platformami prowadziła wąska kolumnada. Te nie były przykryte niczym poza sklepieniem niebieskim. Do innych, całkowicie oddzielonych pomieszczeń prowadziły kamienne mostki w kształcie łuków i schody. Każda łaźnia miała swoją publikę. W Bet il Mtoni obowiązywał bowiem rygorystyczny system kastowy, przestrzegany tak przez tych na górze, jak i tych na dole.

Przed łaźniami stały w rzędach kwitnące drzewa pomarańczowe, tak wysokie jak drzewa wiśniowe w Niemczech. Często chowaliśmy się w ich gałęziach, zwłaszcza kiedy baliśmy się kary wymierzonej przez naszą nazbyt surową nauczycielkę.

Na przestronnym dziedzińcu żyli obok siebie ludzie i zwierzęta, nie przeszkadzając sobie nawzajem. Można tu było zobaczyć pawie, gazy, perliczki, flamingi, gęsi, kaczki i strusie, które swobodnie się tu przechadzały, rozpieszczane i karmione przez starych i młodych. Uwielbialiśmy jako dzieci szukać ich pozostawionych tu i ówdzie jaj, zwłaszcza tych strusich, i zanościć je głównemu kucharzowi, który nagradzał nas za to słodyczami.

Codziennie wczesnym rankiem i wieczorem wszystkie dzieci, które skończyły piąty rok życia, miały na dziedzińcu lekcje jazdy konnej z jednym z eunuchów. Nie zakłócało to jednak życia naszego małego zoo. Jeśli tylko robiliśmy wystarczające postępy, mogliśmy liczyć na własnego wierzchowca w prezencie od ojca. Chłopcy mogli wybrać konia z królewskiej stajni, a dziewczynki dostawały piękne białe muły z Maskatu, które często są droższe od koni, oczywiście wraz z uprzężą i siodłem. Jeździectwo było naszą ulubioną rozrywką w kraju, który nie zna teatrów ani koncertów. Często organizowaliśmy wyścigi, podczas których równie często dochodziło do wypadków. Raz o mało nie straciłam życia. Tak bardzo nie chciałam, żeby mój brat Hamdan mnie wyprzedził, że aż nie zauważyłam ogromnej palmy kokosowej na mojej drodze. W ostatniej chwili zawróciłam konia, cudem unikając zderzenia.

Osobliwością pałacu Bet il Mtoni były liczne klatki schodowe, zazwyczaj bardzo strome, z wielkimi stopniami, jakby zro-

bionymi dla gigantów. Nawet jeśli szło się po nich prosto, cały czas do góry, nigdzie się po drodze nie zatrzymując ani nie skręcając, nie sposób było dotrzeć na szczyt bez podciągania się na prowizorycznej balustradzie. Schody były bardzo zniszczone, a poręcze nieustannie reperowano. Pamiętam, jak przestraszeni byli wszyscy mieszkańcy mojego skrzydła pałacu, kiedy pewnego ranka okazało się, że obie balustrady zawaliły się w ciągu nocy. Do dziś się dziwię, jakim cudem nie wydarzył się tam nigdy żaden poważny wypadek. Ludzie chodzili wszak po tych schodach w górę i w dół przez cały dzień.

Statystyka jest nauką nieznaną mieszkańcom Zanzibaru. Nikt nigdy nie policzył, ile osób mieszkało w Bet il Mtoni. Gdybym miała to oszacować, powiedziałabym bez przesady, że pałac miał około tysiąca mieszkańców. Nie była to aż tak ogromna liczba, jeśli weźmiemy pod uwagę, że ktokolwiek chce być uznawanym za bogatego i ważnego na Wschodzie, musi mieć armię służących. Nie mniej zaludniony był pałac mojego ojca w mieście nazywany Bet il Sahel albo Domem na Wybrzeżu. Mój ojciec spędzał tam zwykle trzy dni w tygodniu, a pozostałe cztery w Bet il Mtoni, gdzie mieszkała jego główna żona, kiedyś daleka krewna.

Mój ojciec Seyyid Saïd nosił podwójny tytuł sultana Zanzibaru i imama Maskatu. Ten drugi był tytułem religijnym, odziedziczonym po moim prapradziadku Ahmedzie. Każdy członek naszej rodziny ma do niego prawo.

Jako jedno z najmłodszych dzieci Seyyida Saïda nigdy nie widziałam ojca bez dodającej mu powagi siwej brody. Był wyższy niż przeciętny człowiek, a jego twarz miała zawsze życzliwy i czarujący wyraz. Cała jego osoba budziła szacunek. Pomi-

mo jego zamiłowania do wojen i podbojów był dla nas wzorem, tak jako ojciec, jak i jako władca. Ojciec najbardziej cenił sobie sprawiedliwość. Tak samo osądzał czyny swojego własnego syna i najniższego nawet niewolnika. Był pokornym sługą Boga. Nigdy nie zachowywał się w arogancki sposób ani nie wykazywał przesadnej dumy, co miało w zwyczaju tak wielu szlachetnie urodzonych. Wiele razy, kiedy służący mu od lat wierny niewolnik brał ślub, mój ojciec kazał siodłać konia i jechał osobiście złożyć życzenia młodej parze. Mój ojciec w żartach lubił nazywać mnie „starą kobietą”, ponieważ bardzo lubiłam zimną zupę mleczną (nazywaną z arabska *farni*) – potrawę podawaną u nas często bezzębnym starszkom.

Moja matka była Czerkieską. W bardzo młodym wieku musiała jednak opuścić swoją ojczyznę. Jej ojciec był rolnikiem. Miała siostrę i brata. Rodzina żyła spokojnie aż do wybuchu wojny. Po kraju zaczęły grasować zbrojne bandy. Według słów mojej matki rodzina schroniła się w podziemnym miejscu. Prawdopodobnie miała na myśli jakieś piwnice, które nie są znane na Zanzibarze. Jednak i tam ich znaleźli. Rodzice zostali zabici na miejscu, a dzieci zabrane przez trzech konnych Albańczyków. Mężczyzna trzymający jej starszego brata szybko zniknął matce z oczu. Pozostali dwaj, którzy porwali moją matkę i jej płaczącą cały czas trzyletnią siostrę, trzymali się razem aż do zmroku. Potem się rozstali i matka już nigdy nie dowiedziała się, co się stało z jej rodzeństwem.

Została własnością mojego ojca jeszcze jako dziecko, mogła mieć wtedy siedem lub osiem lat, bo dopiero w naszym domu straciła mleczne zęby. Została towarzyszką zabaw dwóch moich starszych sióstr, które były mniej więcej w jej wieku. Z nimi się

wychowywała i uczyła. Dzięki temu potrafiła czytać i pisać, co dawało jej przewagę nad większością ludzi jej stanu, którzy z reguły trafiali do naszej rodziny w wieku siedemnastu, osiemnastu lat albo nawet później, kiedy nikt już nie myślał o edukacji. Trudno było nazwać moją matkę piękną, ale była wysoka, miała ładną figurę, ciemne oczy i włosy sięgające kolan. Była z natury bardzo łagodną osobą, a największą przyjemność znajdowała w opiekowaniu się innymi i doglądaniu chorych w naszym domu. Pamiętam, jak chodziła ze swoimi książkami od jednego pacjenta do drugiego. Czytała im modlitwy.

Mój ojciec od początku bardzo ją lubił. Niczego by jej nie odmówił, chociaż ona o nic zwykle nie prosiła, dbała przede wszystkim o innych. Kiedy przychodziła, ojciec zawsze wychodził jej naprzeciw, żeby spotkać ją w połowie drogi — niewielu doświadczało tego zaszczytu. Moja matka była życzliwa, pobożna i skromna, a przy tym szczerą i otwartą. Poza mną miała jeszcze jedną córkę, która jednak umarła w młodym wieku. Matka nie była bardzo lotna, ale za to miała talent do robótek ręcznych. Wobec mnie była czuła i kochająca, chociaż nie przeszkadzało jej to w surowym karaniu mnie, kiedy tylko uznała to za konieczne.

Miała wielu przyjaciół w Bet il Mtoni, co rzadko się zdarza w arabskich haremach. Matka pokładała całą ufność w Bogu. Kiedy miałam pięć lat, pewnej nocy w stajniach wybuchł pożar. Mój ojciec był wówczas w mieście. W pałacu podniósł się alarm, ludzie bali się, że ogień przeniesie się na budynki mieszkalne. Moja matka czym prędzej wzięła mnie na jedną rękę, drugą chwyciła Koran i wybiegła na zewnątrz. Inne należące do niej rzeczy nie stanowiły dla niej żadnej wartości.

O ile pamiętam, mój ojciec miał tylko jedną oficjalną żonę, nazywaną *horme* (w liczbie mnogiej *harino*). Od czasu do czasu kupował jednak inne żony, czyli *sarari* (w liczbie pojedynczej *surie*). W momencie jego śmierci było ich siedemdziesiąt pięć. Główna żona, Azze bint Sef, pochodziła z rodu królewskiego Omanu i sprawowała absolutną władzę w domu. Z wyglądu była mała i niepozorna, miała jednak ogromny wpływ na swego męża, który chętnie zgadzał się na wszystkie jej pomysły. W stosunku do innych żon i dzieci sultana *horme* zachowywała się wyniosłe i krytycznie. Na szczęście nie miała własnych dzieci. W przeciwnym razie jej tyrania stałaby się pewnie nie do zniesienia. Każde z dzieci mojego ojca, a w momencie jego śmierci było nas trzydzieścioro sześcioro, urodziła nieoficjalna żona, dzięki czemu byliśmy równi. Nikt nie kwestionował czystości naszej krwi.

Nikt, ani stary, ani młody, ani wysoko, ani nisko urodzony, nie lubił głównej żony, która kazała się nazywać „Jej Wysokością” (po arabsku *Seyyid*, a w suahili *Bibi*). Wszyscy się jej bali. Do dziś pamiętam, jak sztywno stąpała i jak rzadko obdarzała kogoś słowem lub uśmiechem. Jakże inny był od niej nasz ojciec! On zawsze uprzejmie pozdrawiał wszystkich bez względu na to, czy był to ktoś równy mu stanem, czy zwykły sługa. Ale moja wielka i potężna macocha wiedziała, jak utrzymać się na szczycie hierarchii, nikt nigdy niewezwany nie zakłócał jej spokoju. Nigdy nie chodziła bez eskorty, chyba że do łaźni, która była do wyłącznego użytku jej i sultana. Spotkanie jej wewnątrz pałacu również napawało przerażeniem. Inni mieszkańcy zachowywali się wobec niej jak szeregowi żołnierze w obliczu generała. Wszyscy czuliśmy, jaką ma-

cocha przykłada wagę do własnej osoby, choć i tak nie psuło to uroku codziennego życia w Bet il Mtoni. Zwyczaj wymagał, aby dzieci sultana codziennie rano życzyły jej dobrego dnia. Nienawidziliśmy jej jednak w tak grzeczny sposób, że rzadko którekolwiek z nas pojawiała się przed śniadaniem, które było podawane w jej apartamentach. Traciła w ten sposób dużo uwagi, na której tak jej zależało.

Niektórzy z moich braci i siostr byli tak starzy, że mogliby być moimi dziadkami i babkami. Część z nich żyła w Bet il Mtoni, część w Schecha i Zuene. Jedną z moich siostr miała syna, który nazywał się Ali bin Suut. Kiedy go poznałam, miał już siwą brodę. Siostra była wdową i wróciła do rodzinnego domu po śmierci męża. W naszym domu córki nie były traktowane gorzej od synów, jak wydaje się wielu osobom w Niemczech. Nigdy nie słyszałam, aby ojciec albo matka bardziej dbali o syna niż o córkę tylko ze względu na jego płeć. Pozostaje to dla mnie tajemnicą. Skoro prawo gwarantuje męskim potomkom pewne przywileje i korzyści – na przykład w kwestii dziedziczenia – dlaczego nie traktować dzieci inaczej? To dość naturalne i ludzkie, że czasem woli się jedno dziecko od drugiego, tak tutaj [w Europie – przyp. tłum.], jak i w południowych krajach, choć nikt się do tego nie przyzna. Tak się złożyło, że ulubionymi dziećmi mojego ojca nie byli chłopcy, ale dwie moje siostry: Sharife i Chole. Kiedy miałam dziewięć lat, mój brat Hamdan postrzelił mnie z łuku. Byliśmy wtedy w tym samym wieku. Rana nie była poważna, ale jak tylko mój ojciec się o tym dowiedział, powiedział do mnie: „Salme, zawołaj mi tu Hamdana”. Skarcił go tak, że chłopak długo to pamiętał. To tylko pokazuje, jak często ludzie bywają niedoinformowani w kwestii życia

w innych krajach. Niezależnie od miejsca na świecie wiele zależy od samych dzieci. Traktowanie tak samo tych grzecznych i niegrzecznych byłoby niesprawiedliwe.

Benjile było najładniejszym miejscem w Bet il Mtoni. Tak nazywaliśmy ogromną okrągłą otwartą konstrukcję przypominającą wieżę naprzeciwko głównego budynku, nad brzegiem morza. Była na tyle duża, że stała się znana w całym kraju. Wyglądała jak gigantyczna karuzela przykryta sklepieniem. Całą konstrukcję – podłogi, barierki i sufit – zbudowano z pomalowanego drewna. Mój ojciec uwielbiał się przechadzać koło *benjile*. Spędzał tam całe godziny, zamyślony, z pochyloną głową. Kula, która podczas jednej z bitew utknęła mu w okolicach biodra, często sprawiała mu ból, przez co lekko utykał.

Na otwartym tarasie umieszczono kilka tuzinów wiklinowych krzeseł i duży teleskop, z którego każdy mógł korzystać. Widok z *benjile* zapierał dech w piersiach. Kilka razy dziennie mój ojciec, Azze bint Sef i wszystkie dorosłe dzieci pili tam kawę. Każdy, kto chciał porozmawiać z moim ojcem na osobności, miał szansę znaleźć go w *benjile* o różnych porach dnia. Niedaleko *benjile* przez cały rok zakotwiczony był statek wojenny Il Rahmani, który budził nas kanonadą przez cały miesiąc postu, spali tam też wioślarze.

Tak w Bet il Mtoni, jak i w Bet il Sahel gotowano dania kuchni arabskiej, perskiej i tureckiej. W obu pałacach mieszkali ludzie wszystkich ras, ale tylko my mogliśmy nosić stroje arabskie. Afrykanie i niewolnicy ubierali się w tradycyjny dla Wybrzeża Suahili sposób. Nowo przybyłe Czerkieski i Abisynki miały trzy dni, żeby zamienić swoje szerokie i zdobne suknie na strój arabski. Nosiłyśmy też dużo biżuterii. Takie ozdoby by-

ły dla nas równie nieodzowne, jak kapelusze i rękawiczki dla kobiet z Zachodu. Dlatego nawet najbiedniejsze kobiety chodziły zawsze obwieszane błyskotkami.

Mój ojciec miał skarbcę w obu pałacach na Zanzibarze, a dodatkowy także w Maskacie w Omanie. Wszystkie wypełnione hiszpańskimi złotymi monetami, angielskimi gwineami i francuskimi ludwikami. Można tam też był znaleźć damskie ozdoby: od drobiazów po korony wysadzone diamentami. Za każdym razem, kiedy rodzina się powiększała, bo ojciec kupił nową *sarari* albo urodziło mu się nowe dziecko — a to zdarzało się często — otwierano drzwi skarbcza, żeby obdarować nowo przybyłą osobę dobrami zgodnie z jej pozycją. Gdy rodziło się dziecko, sułtan zwykle odwiedzał matkę siódmego dnia po porodzie, przynosząc biżuterię w prezencie. Nowa żona razem z ozdobami dostawała też eunucha, który miał jej od tej pory służyć na wyłączność.

Chociaż mój ojciec sam preferował proste życie, był bardzo wymagający wobec innych. Przed jego obliczem wszyscy musieli stawiać się w pełnym stroju, także jego dzieci i eunuchowie. Takie dziewczynki jak ja nosiły zwykle warkocze, nawet do dwudziestu naraz. Spinałyśmy je razem i ozdabialiśmy masywnymi złotymi ozdobami wysadzanymi drogimi kamieniami. Żeby wyglądać jeszcze ładniej, czasem przyczepialiśmy złote monety na końcach warkoczyków. Ozdoby zdejmowałyśmy z włosów dopiero przed snem i zakładałyśmy znowu zaraz po przebudzeniu. Do czasu, aż dorosłyśmy do noszenia chust, wszystkie miałyśmy grzywki takie same, jakie są teraz modne w Niemczech. Pewnego razu pobiegłam do mojego ojca bez tych wszystkich ozdób, żeby dostać trochę francuskich cukierków, które zwykle

miał dla nas z rana. Zamiast tego zostałam odesłana pod nadzorem służącego do pokoju, żebym doprowadziła się do stanu, w którym mogę pokazać się ojcu. Już nigdy więcej nie zaprezentowałam się przed nim nieuczesa.

Najlepsze przyjaciółki mojej matki nazywały się Zejane i Medine. Pierwsza była córką Abisynki, druga była Czerkieską, pochodziła z tej samej części kraju co matka. Tak samo jak Sara, jedna z moich macoch i matka dwójki mojego przyrodniego rodzeństwa: brata Madżida¹ i siostry Chaduji. Sara i moja matka obiecały sobie, że jeśli jedna z nich umrze, druga zaopiekuje się jej dziećmi. Jednak kiedy Sara zmarła, Madżid i Chaduji byli już dorośli. W mojej rodzinie chłopcy mieszkali z matką do osiągnięcia osiemnastego lub dwudziestego roku życia. Mniej więcej w tym wieku ogłaszano ich wejście w dorosłość, choć zależało to od ich zachowania. Uznanie za dorosłego było zaszczytem, na który wszyscy czekali. Książę dostawał wtedy własną rezydencję, konie, służbę i wszystko inne, czego potrzebował, łącznie z comiesięczną pensją.

Mój brat Madżid właśnie dostał tego zaszczytu, bardziej na podstawie zachowania niż osiągnięcia odpowiedniego wieku. Był bardzo skromny i zyskał sobie przychyłność wszystkich swoją uprzejmością i dobrymi manierami. Nie minął od tego momentu nawet tydzień, gdy przyjechał z miasta, żeby nas zobaczyć (mieszkał z matką w Bet il Sahel). Zawsze lubił się ze mną bawić, chociaż był o dwanaście lat starszy. Cały w skow-

¹ Imiona Madżida i Barghasza zapisano w wersji występujące w polskiej historiografii, pozostałe imiona pozostawiono w pisowni oryginalnej – przyp. tłum.

ronkach przybył powiedzieć mojej matce, że został uznany za dorosłego, a będąc już panem swojego losu, otrzymał dom na własność. Chciał, żebyśmy z matką się do niego przeprowadziły. Również Chaduji na to naciskała. Moja matka stwierdziła, że nie może podjąć takiej decyzji bez zapytania mojego ojca o zdanie, ale da Madżidowi znać, kiedy tylko to zrobi. Jej samej pomysł się jednak spodobał. Madżid zaferował, że sam porozmawia z ojcem, i już następnego dnia uzyskał jego zgodę. Wszystko było więc uzgodnione. Miałyśmy się przeprowadzić za kilka dni, kiedy tylko Madżid wszystko przygotowuje.

Rozdział II

Bet il Watoro

Dla matki to nie była łatwa decyzja. Spędziła w Bet il Mtoni niemal całe życie i przywiązała się do tego miejsca. Nie lubiła zmian i nie chciała się rozstawać z Zejane i Medine. Jak sama mi powiedziała, zdecydowało to, że chciała się do czegoś przydać dzieciom zmarłej przyjaciółki.

Kiedy tylko po pałacu rozeszła się wieść, że moja matka przenosi się do miasta, każdy żegnał ją z płaczem. „Jilfidan (tak miała na imię), czy nie jesteśmy już bliscy twemu sercu, że chcesz nas opuścić?”. „Moi przyjaciele — odpowiadała — nie opuszczam was, dlatego że chcę, taki jest mój los”. Jestem pewna, że wielu ludzi pożałowało mojej matki na dźwięk słowa „los”. Może te osoby zamknęły swoje oczy i zatkały uszy, żeby nie poznać woli Boga, odrzuciły znaki Jego obecności, powierzając swoje życie temu, co nazywają przypadkiem. Pragnę tu podkreślić, że urodziłam się jako mahometanka i tak też zostałam wychowana. Co więcej, opowiadam tutaj o życiu w arabskim domu. W prawdziwej arabskiej rodzinie dwie rzeczy są kompletnie nieznanne: przypadek i materializm. Mahometanie

wierzą, że Bóg jest nie tylko ich stwórcą i opiekunem, lecz także jest stale obecny w ich życiu i że to nie ich wola, ale jego wola powinna kierować ich życiem, tak w małych, jak i dużych sprawach.

Przygotowania do przeprowadzki zajęły nam kilka dni. Po tem czekałyśmy już tylko na Madżida. W Bet il Mtoni miałam jednego brata i dwie siostry, mniej więcej w moim wieku, z którymi najczęściej się bawiłam. Szkoda mi było ich zostawiać, zwłaszcza małego Raluba — był do mnie bardzo przywiązany. Z drugiej strony cieszyłam się, że już nie będę musiała chodzić na lekcje do naszej surowej nauczycielki.

Tuż przed przeprowadzką w naszym pokoju było tłoczno jak w ulu. Przyjaciele i znajomi przychodzili się pożegnać, przynosząc zwykle jakiś prezent na znak pamięci. To bardzo powszechny u nas zwyczaj. Żaden Arab nie odmówi sobie przyjemności podarowania prezentu odjeżdżającemu przyjacielowi, nawet jeśli stać go tylko na drobiazg. Pamiętam jedno takie wydarzenie z wczesnego dzieciństwa. Wybrałyśmy się na wycieczkę do jednej z naszych posiadłości. Kiedy miałyśmy wsiadać na łódź powrotną, poczułam, że ktoś dotknął od tyłu mojej sukienki. Odwróciłam się i zobaczyłam starą czarnoskóra kobietę. Podała mi pakunek owinięty w liście bananowca i powiedziała: „Ten drobiazg to mój pożegnalny prezent dla ciebie, *bibi wangu* (moja pani). To pierwszy dojrzały owoc z mojego ogrodu”. Odwinęłam liście i zobaczyłam świeżą kolbę kukurydzy. Nie znałam tej kobiety, ale potem dowiedziałam się, że była jedną z ulubienic mojej matki.

W końcu przyjechał Madżid z wiadomością, że kapitan statku Il Rahmani ma po nas wysłać kuter następnego wieczora

i drugą łódź po bagaże i naszą służbę. Mój ojciec był akurat wtedy w Bet il Mtoni, poszliśmy więc się z nim pożegnać. Znalazliśmy go jak zwykle koło *benjile*. Podszedł do nas, kiedy tylko nas zobaczył. Moi rodzice zaczęli rozmawiać o przeprowadzce. Kazali jednemu z eunuchów przynieść mi słodycze i sorbet, żeby im nie przeszkadzała swoimi nieustannymi pytaniami. Byłam bardzo ciekawa nowego domu i nowego życia. Odwiedziłam to miejsce tylko raz na krótką chwilę i nie widziałam nawet moich braci i sióstr ani też moich licznych macoch, które tam mieszkały. Poszliśmy się także pożegnać z Azze bint Sef, która przyjęła nas na stojąco, co było dużym wyróżnieniem. Zwykle przyjmowała gości na siedząco. Mogliśmy także ucałować jej rękę, po czym odeszliśmy, żeby już nigdy więcej jej nie zobaczyć. Miałyśmy jeszcze wiele korytarzy i schodów do pokonania, żeby pożegnać się ze wszystkimi przyjaciółmi, ale większości nie odwiedzaliśmy w ich pokojach. Matka uznała, że najlepiej będzie uściskać każdemu z nich rękę po modlitwach, na których obecność była obowiązkowa dla wszystkich.

Kuter czekał na nas przy *benjile* o siódmej wieczorem. Była to dość duża łódź obsługiwana przez czternastu wioślarzy z zadarszoną rufą. Na maszcie powiewała czerwona flaga. Łódź mieściła dwunastu pasażerów, a miejsca siedzące wyłożono jedwabnymi poduszkami. Na rozkaz mojego ojca towarzyszył nam stary Jahar, jego zaufany eunuch, który razem z drugim eunuchem był odpowiedzialny za bezpieczne dowiezienie nas na miejsce. Ojciec obserwował nas z brzegu. Przyszli też inni nasi przyjaciele. Do dziś słyszę, jak wołają za nami *weda, weda* (żegnajcie, żegnajcie).

Obok pałacu nie było przystani. Pasażer musiał więc albo zostać zaniesiony na pokład, albo wejść nań po desce. Mojej

matce się tu udało w asyście dwóch eunuchów. Mnie wniósł inny służący. Kolorowe lampiony oświetlające łódź odbijały się razem z gwiazdami w tafli wody. Odbiliśmy od brzegu, a wiosłarze zaczęli wiosłować w rytm melancholijnej arabskiej piosenki. Trzymaliśmy się blisko brzegu, a ja szybko usnęłam na kolanach matki.

Obudziły mnie dopiero liczne głosy wołające moje imię. Przestraszona i półprzytomna zdałam sobie sprawę, że dotarliśmy na miejsce. Byliśmy na wysokości Bet il Sahel. Mieszkało tam mnóstwo ludzi, w tym moje macochy i siostry, których nigdy jeszcze nie poznałam. Byłam ich ciekawa i one też chciały mnie zobaczyć. Matka powiedziała, że mieszkańcy pałacu wyszli i zaczęli krzyczeć moje imię, kiedy tylko nasz statek pojawił się w zasięgu wzroku.

Na brzegu żywo powitali mnie moi młodsi bracia. Chcieli, żebyśmy najpierw poszły do nich, ale matka odmówiła, żeby Chaduji nie musiała dłużej na nas czekać. Żałowałam, że nie mogłam się wtedy z nimi zapoznać. Matka obiecała mi jednak, że będę mogła spędzić w Bet il Sahel jeden dzień, kiedy mój ojciec tam przyjedzie. Od razu udałyśmy się do rezydencji Madżida: Bet il Watoro. Nie było to daleko od Bet il Sahel. Stamtąd także rozciągał się piękny widok na morze. Chaduji powitała nas ciepło u szczytu schodów. Zaprowadziła nas do naszych pokoi, a jej główny eunuch Eman przyniósł nam przekąski. Madżid był na dole w salonie z przyjaciółmi. Cekał na znak, żeby do nas dołączyć. Powitał nas w nowym domu z wielką radością.

Dostałyśmy średniej wielkości pokój z widokiem na pobliski meczet. Był umeblowany w typowo arabskim stylu. Niczego

nam nie brakowało. Ponieważ my Arabowie zwykle śpimy w tych samych ubraniach, w których chodzimy za dnia, chociaż osoby wysoko urodzone bardzo dbają przy tym o higienę, możemy się obyć bez osobnych sypialni.

Bogaci i szlachetnie urodzeni ludzie zwykle urządzą swoje pokoje w następujący sposób: podłogi pokrywają perskie dywany albo miękkie maty. Grube bielone ściany są podzielone na kilka sekcji prostopadłymi przegrodami od podłogi aż do sufitu. Pomiędzy tymi przegrodami zamocowane są pomalowane na zielono drewniane półki, na których wystawia się najkosztowniejsze szklane i porcelanowe przedmioty. Arabowie nigdy nie żałują pieniędzy na takie rzeczy. Eleganckie kryształły, pięknie pomalowane talerze, gustowne dzbanki — choćby były nie wiem jak drogie, jeśli są piękne, znajdują swojego nabywcę. Gołe ściany pomiędzy półkami zwykle zakrywa się lustrami, które sięgają aż do sufitu. Same lustra są zazwyczaj sprowadzane z Europy. Dawniej mahometanom nie wolno było trzymać zdjęć, jako że próbują one naśladować boskie stworzenie, dziś jednak coraz częściej się je widuje. Co innego zegary, w niektórych domach można znaleźć ich okazałe kolekcje. Czasem umieszcza się je u góry lustra, a czasem po obu jego stronach. W męskich pokojach ściany zdobi się też kosztowną bronią z Arabii, Persji i Turcji zgodnie z pozycją i majątkiem właściciela.

W jednym rogu pokoju stoi zwykle duże, wykonane przez indyjskich rzemieślników, rzeźbione łóżko z palisandru z baldachimem. Arabskie łóżka są bardzo wysokie. Dostać się na nie można dopiero po krześle albo z pomocą pokojówki. Puste miejsce pod spodem zajmują dzieci lub osoba opiekująca się chorym.

Rzadko widuje się u nas stoły, a jeśli już, to w bardzo zamkniętych domach. Za to wszędzie stoją krzesła różnych kolorów i rozmiarów. Nie używa się szaf, komód ani niczego w tym rodzaju. Mamy jednak kufry i skrzynie z dwoma lub trzema szufladami, a także sekretne szuflady, aby ukryć w nich pieniądze i biżuterię. W arabskich domach drzwi i okna pozostają otwarte przez cały dzień, zamyka się je tylko w porze deszczowej. Mieszkańcy mojego kraju nie wiedzą, czym jest susza.

Z początku nie polubiłam naszego nowego domu. Tęskniłam za braćmi i siostrami, a w porównaniu z Bet il Mtoni Bet il Watoro wydawał się bardzo mały. Wcale nie podobał mi się pomysł, że muszę to zostać już na zawsze. Nie mogłam się tu nawet bawić moim statkami, chyba że puszczałabym je w wannie. W pobliżu nie było żadnej rzeki, a wodę trzeba było nosić ze studni. Moja matka, która za najwyższą wartość uważała oddanie wszystkiego, co się posiada, chciała, żebym podarowała moje statki braciom w Bet il Mtoni, ale nie mogłam się na to zdobyć. Po raz pierwszy w życiu czułam się naprawdę nieszczęśliwa i przybita.

Moja matka natomiast szybko przyzwyczaiła się do nowych obowiązków. Całymi dniami była tak zajęta organizowaniem wszystkiego z Chaduji, że nawet się mną nie zajmowała. Madżid poświęcił mi trochę czasu i pokazał mi cały dom, ale nic nie mogło mnie pocieszyć. Byłam na wszystko obojętna i cały czas prosiłam matkę, żebyśmy wróciły do Bet il Mtoni. To oczywiście nie mogło się wydarzyć, zwłaszcza że moja matka oczywiście okazała się wielką pomocą dla Chaduji i Madżida.

Z czasem jednak odkryłam, że Madżid uwielbia zwierzęta. Miał ich naprawdę dużo, łącznie z hodowlą białych królików.

Te ostatnie doprowadzały matkę i siostrę do pasji, niszcząc nowy dom. Miał też mnóstwo kogutów do walk, które sprowadzał z różnych części świata. Nigdy potem nie widziałam tak bogatej ich kolekcji, nawet w ogrodach zoologicznych. Szybko zaczęłam mu towarzyszyć, kiedy szedł doglądać zwierząt, a on chętnie mi na to pozwalał. Nie minęło dużo czasu, a Madżid podarował mi moje własne koguty bojowe, które uprzyjemniały mi mój czas spędzony w Bet il Watoro. Codziennie doglądaliśmy z Madżidem naszych czempionów przynoszonych przez niewolników. Walki kogutów to bardzo wciągające widowisko, trudno odebrać od niego wzrok.

Madżid dawał mi też lekcje szermierki. Nauczyłam się używać miecza, sztyletu i lancy, a kiedy wybieraliśmy się na wieś, pozwalał mi strzelać ze strzelby i pistoletu. W ten sposób stałam się amazonką ku rozpaczyci mojej matki, która nie popierała takich rzeczy, jak szermierka i strzelectwo. Ja jednak wolałam wszelkie typy broni od robótek ręcznych i maszyny do szycia. Nie znaleziono mi jeszcze nowego nauczyciela, dzięki czemu miałam więcej czasu na moją nową pasję. Wkrótce uleciała ze mnie cała niechęć do Bet il Watoro. Ciągle też uczyłam się jazdy konnej, w czym na rozkaz Madżida pomagał mi eunuch Mesrur.

Ponieważ moją matkę tak pochłaniały obowiązki w domu, że nie miała dla mnie czasu, przywiązałam się do pewnej bystrej Abisyńczyki, która nauczyła mnie swojego języka. Niestety dziś niczego już z tego nie pamiętam.

W dalszym ciągu utrzymywałyśmy stosunki z Bet il Mtoni. Za każdym razem, kiedy tam przyjeżdżałyśmy, czekało na nas gorące powitanie ze strony naszych przyjaciół. Wiadomości

przekazywali pomiędzy nami ustnie niewolnicy. Ludzie Wschodu niezbyt chętnie piszą listy, nawet jeśli już potrafią pisać. Każda bogata albo wpływowa osoba ma więc niewolników, którzy służą wyłącznie za posłańców. Tacy niewolnicy muszą przemierzać wiele kilometrów dziennie, ale poza tym bardzo się o nich dba. Od ich uczciwości i umiejętności utrzymywania wiadomości w sekrecie zależy w końcu dobrobyt ich pana, a nawet wiele więcej. Nawet najbliższe relacje międzyludzkie mogą zostać zniszczone przez posłańca, który pragnie zemsty. Jednak nawet ta wada ustnego sposobu komunikacji nie skłania większości ludzi do nauki pisania, która mogłaby uczynić ich bardziej niezależnymi. Mówi się: „Pozwól słowu toczyć się swoim torem”, i nigdzie nie jest to bardziej prawdziwe.

Moja siostra Chaduji bardzo lubiła towarzystwo. Rzadko zdarzał się dzień bez gości przychodzących do naszego domu od szóstej rano do północy. Ci, którzy przyszli bardzo wcześnie, byli przyjmowani przez służbę i prowadzeni do pokoju, w którym mogli odpocząć do ósmej lub dziewiątej, kiedy to wreszcie przyjmowała ich pani domu. W kolejnych rozdziałach opowiem może nieco więcej o tych wizytach.

Nigdy nie udało mi się zbliżyć do Chaduji tak, jak do Madzida. Była raczej nieprzystępna i nigdy szczerze jej nie pokochałam. Widziałam za duży kontrast pomiędzy dobrym i szlachetnym Madzidem a nią. To nie była zresztą tylko moja opinia. Wszyscy, którzy trochę lepiej ich poznali, zaraz odkrywali, które z rodzeństwa da się bardziej lubić. Chaduji bywała bardzo chłodna wobec obcych i nieuprzejma, przez co narobiła sobie wielu wrogów. Co więcej, nienawidziła wszystkich nowych i zagranicznych rzeczy. Nic nie drażniło jej tak, jak konieczność

rozmowy z damą z Europy, choć zwykle nie trwało to dłużej niż pół godziny lub trzy kwadranse. Muszę jednak przyznać, że Chaduji była zaradną i inteligentną gospodynią, która rzadko pozwalała sobie na bezczynność. W wolnych chwilach szyła i haftowała ubrania dla dzieci niewolników z taką pieczołowitością, jakby to były eleganckie koszule jej brata. Wśród tych dzieci było trzech bardzo ładnych chłopców, których ojciec pracował u nas jako nadzorca. Nazywali się Selim, Abdullah i Tani i byli ode mnie kilka lat młodszy. Szybko stali się moimi towarzyszami zabaw, ponieważ nikt inny w zbliżonym do mojego wieku z nami nie mieszkał, przynajmniej do czasu, aż zbliżyłam się do moich braci i sióstr z Bet il Sahel.

Rozdział III

Bet il Sahel

Nadszedł wreszcie długo wyczekiwany dzień wizyty w Bet il Sahel. Wybrałyśmy się tam z matką i Chaduji wczesnym rankiem i miałyśmy zostać aż do wieczora. To był piątek, który jest dla mahometan dniem sabatu. Wyruszyłyśmy wpół do szóstej owinięte w duże czarne szale ze złotymi lamówkami. Nie miałyśmy daleko do Bet il Sahel, pałac znajdował się tylko o jakieś sto kroków od naszego domu.

Wpuścił nas wierny, ale zrzedliwy i niezbyt uprzejmy stary odźwierny. Narzekał przy tym, że już od godziny musi stać na swoich trzęsących się nogach, żeby przyjmować odwiedzające pałac kobiety. To był nubijski niewolnik, którego broda osiwiiała na służbie u mojego ojca. Celowo mówię o brodzie, ponieważ Arabowie mają w zwyczaju golić głowy. Mój ojciec był do niego bardzo przywiązany, ponieważ niewolnik ten zatrzymał kiedyś jego rękę i uchronił go w ten sposób przed popełnieniem gwałtownego aktu, którego ojciec mógł żałować przez całe życie.

Najmłodszy mieszkańcy pałacu niewiele jednak o tym wiedzieli i często robili sobie żarty ze starego odźwiernego. Dzieci

szczególnie upodobały sobie wykradanie ogromnego pęka kluczy. Chyba nie było w Bet il Sahel pomieszczenia, w którym ktoś kiedyś by go nie schował. Mój brat Djamshid doszedł w tym do takiej perfekcji, że nawet my nie mogliśmy znaleźć kluczy odźwiernego.

Kiedy przybyliśmy, większość zamieszkujących pałac kobiet zebrała się już na pierwszym piętrze. Tylko niektóre zajmowały się jeszcze poranną krzątaniem i nie były gotowe, żeby pokazać się zewnętrznemu światu. Nikt nie śmiałyby im przeszkodzić, nawet gdyby w domu wybuchł pożar. Wybrałyśmy ten dzień, ponieważ wtedy akurat w Bet il Sahel miał pojawić się mój ojciec. Jego osoba przyciągnęła też innych gości. Nie wszystkie zgromadzone kobiety były naszymi znajomymi. Niektóre widziałyśmy po raz pierwszy. Większość z nich pochodziła z naszej ojczyzny – Omanu i przybyła, aby prosić ojca o pomoc. A on rzadko odmawiał. Kraj naszego pochodzenia, jak i mieszkający tam nasi krewni byli dość biedni. Bogactwo mojej rodziny wzięło się z faktu, że mój ojciec podbił kiedyś Zanzibar, który jest dostatnią wyspą.

Chociaż generalnie prawo zabrania kobietom rozmawiania z obcymi mężczyznami, istnieją od tej reguły dwa wyjątki: mogą stać się przed władcą i przed sędzią. Ponieważ niewiele z tych osób potrafiło czytać i pisać, większość zamiast wysłać prośbę listownie udawała się w podróż z Azji do Afryki, żeby poprosić o pomoc osobiście. Wszystkie dostawały dary zgodnie ze swoją pozycją i bez tych wszystkich pytań, które zwykle się zadawać przychodzącym po prośbie biedakom w Europie. W naszym kraju przyjmuje się po prostu, że żadna szanowana osoba nie będzie błagać innych o pomoc i w większości przypadków jest to prawdą.

Moje rodzeństwo w Bet il Sahel bardzo ciepło mnie przyjęło, zwłaszcza moja siostra Chole, której nigdy nie zapomnę. Do tej pory jedyną osobą, którą kochałam naprawdę i głęboko, była moja matka. Teraz jednak w moim sercu znalazło się miejsce dla tego „światelka w naszym domu”. Chole była dla mnie ideałem. Ulubione dziecko mojego ojca, podziwiana przez wszystkich, na co w pełni zasługiwała. Chole była dziewczyną rzadkiej urody. Przyznawali to wszyscy bez uprzedzeń czy zazdrości. Nikt nie pozostawał zupełnie obojętny na jej wygląd. Nikt też, ani w jej domu, ani w naszym, nie mógł jej dorównać. Wieści o urodzie Chole szybko zresztą rozeszły się znacznie dalej. Piękne oczy nie są na Wschodzie rzadkością, ale jej były tak niezwykle, że nazywano je porannymi gwiazdami. Pewien arabski szejik zobaczył te oczy przez okno podczas święta w naszym domu, kiedy akurat brał udział w udawanej walce. Tak się na nie zapatrzył, że zapomniał o bożym świecie, nie poczuł nawet, że zranił się czubkiem swojej włóczni w stopę. Pewnie nie zauważyłby, że krwawi i pozostałby obojętny na ból, gdyby jeden z moich braci nie wyrwał go z tego błęgiego snu. Bracia nie dali zresztą Chole zapomnieć o tym wydarzeniu i przez lata jej z tego powodu dokuczali.

Bet il Sahel, znacznie mniejszy od Bet il Mtoni, leży nad brzegiem morza. Sprawia wrażenie jasnego i przyjaznego miejsca, w którym przyjemnie się mieszka. Rozciąga się stąd zapierający dech w piersiach widok na zatokę i statki. Drzwi do pokojów na wyższych piętrach wychodzą na szeroki krużgank, tak zachwycający, że nigdy potem już takiego nie widziałam. Dach podtrzymywały filary, pomiędzy którymi rozciągała się balustrada. Na krużgankach ustawiono liczne krzesła,

a z sufitów zwisały kolorowe lampy. Całość po zmroku tworzyła iście baśniową atmosferę. Poniżej znajdował się dziedziniec, na którym zawsze było tłoczno i głośno. Później przypominałam sobie czasem to miejsce na tętniących życiem targowiskach. Dziedziniec w Bet il Sahel był właśnie czymś takim, tylko na mniejszą skalę. Z wyższymi piętrami łączyły go dwie klatki schodowe, na których panował nieustanny ruch: w górę i w dół, w dół i w górę, przez cały dzień, a nawet w nocy. Czasem tłum był tak gęsty, że trzeba było poczekać, żeby w ogóle dostać się na schody.

Na jednym końcu dziedzińca znajdowała się rzeźnia zgodnie ze wschodnim zwyczajem, który każe samodzielnie zabijać zwierzęta na mięso spożywane w domu. W innym rogu golono głowy czarnym mieszkańcom pałacu. Nieopodal leżeli zwykle leniwie rozciągnięci na ziemi nosiciele wody, nie bacząc zupełnie na wezwania, dopóki muskularny eunuch nie przypomniał im o ich obowiązkach. Nosiciele zrywali się wtedy na równe nogi i czym prędzej brali swoje stągwie, nazywane tutaj *mtungi*, na głowę, ku uciesze gapiów. W słońcu wygrzewały się też często opiekunki do dzieci. Zbierało się ich tam kilkanaście, siadały na dziedzińcu, żeby opowiadać swoim podopiecznym różne historie i baśnie.

Kuchnia w Bet il Sahel była na dworze, nieopodal jednego z filarów. Nie mieliśmy w zwyczaju budowania kominów, dym unosił się prosto w powietrze. Kręciło się tam zawsze mnóstwo kucharek i pomywaczek, które ciągle się o coś kłóciły. Porządek przywracało dopiero pojawienie się głównej kucharki, która nie szczędziła ciosów swoim podwładnym. Gotowały się tu niesamowite ilości mięsa, a zwierzęta przygotowywano zwykle

w całości. Ryby były tak wielkie, że musiało je przynosić dwóch czarnych służących. Mniejsze kupowano tylko na kosze, a drób na tuziny. Mąkę, ryż i cukier przynoszono w workach, a masło, importowane z Sokotry, przybywało do nas w płynnej formie w słoikach o pojemności jednego cetnara. Tylko przyprawy kupowaliśmy na funty.

W pałacu jedzono też niesamowite ilości owoców. Przynosiło je codziennie trzydziestu albo czterdziestu objuczonych tragarzy, czasem nawet pięćdziesięciu. Owoce przybywały też na łódkach z nadmorskich plantacji. Nie przesadzę, jeśli powiem, że w Bet il Sahel zużywano dziennie tyle owoców, ile pomieściłby duży towarowy wagon kolejowy. A w czasie sezonu na mango zjadano ich nawet dwa razy więcej. Sporo owoców się jednak marnowało, głównie przez niefrasobliwość, z jaką niewolnicy obchodzili się z kosztami, które bezceremonialnie rzucali na ziemię.

Wzdłuż wybrzeża biegł gruby na sześć stóp mur, który chronił pałac przed morskimi falami. Za nim był zagajnik, w którym rosły granaty. Codziennie rano przyprowadzano tu kilka najlepszych koni ze stajni i przywiązywano je do muru na grubych linach, żeby mogły pobiegać i pobrodzić w miękkim piasku i morskich falach. Mój ojciec czerpał ogromną przyjemność ze swoich przywiezionych z Omanu koni czystej krwi. Codziennie ich doglądał i pielęgnował je, kiedy były chore. powszechnie wiadomo, jak bardzo Arabowie przywiązują się do swoich ulubionych koni. Mój brat Madżid miał wspaniałą brązową klacz i marzył, żeby doczekać się po niej źrebaka. Kiedy jego życzenie miało się spełnić, a Kehle, bo tak nazywała się klacz, miała rodzić, kazał głównemu koniuszemu wołać go

bez względu na to, czy będzie to noc czy dzień. Pewnej nocy zostaliśmy wyrwani ze snu, była może druga albo trzecia, tylko po to, żeby dowiedzieć się o owym szczęśliwym wydarzeniu. Koniuszy, który przyniósł wiadomość o urodzeniu się źrebaka, otrzymał od uszczęśliwionego pana nagrodę w wysokości pięćdziesięciu dolarów. Nie był to odosobniony przypadek. Przywiązanie Arabów do koni sięga nieraz nawet dalej.

Po modlitwie poszliśmy zobaczyć ojca w jego pokojach. Jak zawsze skory do żartów odwrócił się do mnie i powiedział: „No i jak ci się podoba to miejsce, Salme? Chciałabyś wrócić do Bet il Mtoni? Pamiętaj tutaj, żeby dawać ci twoją mleczną zupę?”.

Około dziesiątej wszyscy moi starsi bracia przyszli ze swoich domów, żeby zjeść z ojcem śniadanie. Poza nami, jego dziećmi i wnukami, które były przyjmowane po skończeniu siódmego roku życia, oficjalnej żony Azze bint Sef i siostry ojca Asche nikomu nie było wolno usiąść przy tym stole. Żadnej *surie* nie było wolno spożywać z nim posiłków, jakimikolwiek względami by się nie cieszyła. Podziałów społecznych na Wschodzie nigdy nie widać tak, jak podczas posiłków. Goście są przyjmowani na możliwie najbardziej przyjaznej i zażyłej stopie — nawet w większym stopniu niż w Europie — ale kiedy przychodzi pora posiłku, kończy się równość i za obopólną zgodą wraca ścisły podział osób według ich rangi. Nawet *sarari* ustaliły wśród siebie hierarchię. Przystojne Czerkieski, świadome swojego lepszego pochodzenia, odmawiały łamania się chlebem z ciemnoskórymi Abisynkami, w milczącym porozumieniu jadały więc osobno.

Od razu uderzyło mnie, że mieszkańcy Bet il Sahel wydawali się znacznie szczęśliwsi i bardziej radosni od tych w Bet il

Mtoni. Zaczynałam rozumieć, co za tym stoi. W Bet il Mtoni rządziła niepodzielnie Azze bint Sef, dominowała nad mężem, pasierbami, pasierbicami i ich markami — nad wszystkimi i wszystkim w jej zasięgu. W Bet il Sahel mieszkańcy, nie wyłączając mojego ojca, czuli się bardziej swobodnie i mogli robić to, co lubili. Nie było to nikogo, kto wydawałby rozkazy, poza moim kochanym i łagodnym ojcem. Myślę, że ojciec sam zdawał sobie sprawę z różnicy pomiędzy dwoma domami, bo przez lata nie wysłał nikogo do Bet il Mtoni, chyba że ta osoba sama chciała tam zamieszkać. A znajdowało się tam przecież wiele wolnych pokoi, podczas gdy Bet il Sahel zawsze był zatłoczony. W pewnym momencie liczba mieszkańców urosła tak bardzo, że ojciec wpadł na pomysł wybudowania drewnianych pawilonów na wspomnianym przeze mnie wcześniej dziedzińcu. Ostatecznie jednak zbudowano nowy dom na tym samym wybrzeżu, kilka mil na północ od Bet il Sahel. Miał on służyć młodszemu pokoleniu. Pałac nazwano Bet il Ras.

Malarz znalazłby u nas wielu modeli do swoich obrazów, trudno było bowiem znaleźć bardziej zróżnicowane towarzystwo. Twarze ludzi miały co najmniej osiem różnych odcieni. Nawet zdolny artysta miałby pewnie problem, żeby oddać wszystkie kolory noszonych w pałacu wielobarwnych ubrań. Do tego przytłaczający hałas, odgłosy kłótni, dzieci baraszkuje na każdym rogu, podniesione głosy i dłonie, które klaskaniem przywoływały służbę — wschodni odpowiednik dzwonka — i stukot damskich sandałów nazywanych *kabakib* — wszystko to składało się na rozprasający zgiełk.

Jedną z naszych największych przyjemności było jednak słuchanie wszystkich języków, które mieszały się w domu

jak na wieży Babel. Przy moim ojcu używano się tylko arabskiego, jednak kiedy tylko się odwrócił, następowało istic babilońskie pomieszanie języków. Można tu było usłyszeć perski, turecki, czerkieski, suahili i języki Abisynii, nie wspominając nawet o ich dialektach. Całe to zamieszanie wydawało się nikomu nie przeszkadzać, czasem tylko chorzy ludzie na nie narzekali. Mój ojciec też się do tego przyzwyczaił i nigdy się nie wtrącał.

Wszystkie moje dorosłe siostry były tego dnia ubrane w odświętne stroje. Po części dlatego, że była to niedziela, a po części z szacunku do mojego ojca. Nasze matki przechadzały się lub stały w grupkach, rozmawiając, śmiejąc się i gestykulując w sposób tak przyjazny, że ktoś obcy nie domyśliłby się, że są żonami jednego mężczyzny. Szczęk broni na klatce schodowej ogłosił przybycie moich licznych braci i ich synów, z których większość chciała zostać z nami przez cały dzień.

Wszystko było tutaj bardziej wystawne i ekstrawaganckie niż w Bet il Mtoni. Zobaczyłam tu też dużo nowych pięknych twarzy. W tamtym pałacu tylko moja matka i jej przyjaciółka Medine były Czerkieskami. Tutaj Czerkieski stanowiły większość. Z wyglądu były zdecydowanie bardziej dystyngowane niż Abisynki, chociaż i wśród tych drugich można było znaleźć wielkie piękności. Ta wrodzona wyższość wywoływała ogrom złej woli i zazdrości. Zwłaszcza jedna piękna Czerkieska spotykała się z chłodnym przyjęciem, a nawet nienawiścią z powodu swojej urody.

Nic więc dziwnego, że w tych okolicznościach rodzaj niedorzecznej nienawiści rasowej pojawiał się także między moimi braćmi i siostrami. Poza wszystkimi ich dobrymi cechami Abisynki niemal zawsze miały złośliwe i mściwe usposobienie. Kie-

dy ktoś raz wzbudził w nich tę pasję, nie znały granic przyzwoitości. My, dzieci czerkieskich matek, byliśmy zwykle nazywani „kotami” przez tych, w których żyłach płynęła abisyńska krew. Tylko dlatego, że niektórzy z nas mieli niebieskie oczy i jasną karnację, zyskaliśmy sobie też przydomek „waszych wysokości”. Mojemu ojcu nigdy nie wybaczone, że na swoje ulubione dzieci wybrał Scharife i Chole — obie z czerkieskich matek i do tego niebieskookie, ze znieawidzonej „rasy kotów”.

W Bet il Mtoni wiodłyśmy raczej klasztorne życie pod surowymi rządami Azze bint Sef. W Bet il Watoro czułam się osamotniona i znudzona. Z chęcią włączyłam się więc w wesołe życie Bet il Sahel i zaprzyjaźniłam się z braćmi i siostrami, a także z dwoma moimi bratanicami, które były w tym samym wieku co ja, Schembuą i Farschu — jedynymi dziećmi mojego brata Chalida. Przybywały z własnego domu do Bet il Sahel każdego ranka i wracały wieczorem, żeby wziąć udział w lekcjach i zabawach z ich wujkami i ciotkami. Matka Chalida, Churschit, była Czerkieską i dość niezwykłą kobietą. Była nie spotykankie wysoka i silna, a do tego wyjątkowo rozsądna. Nigdy wcześniej nie spotkałam nikogo takiego jak ona. Później, kiedy Chalid pełnił obowiązki mojego ojca podczas jego nieobecności, mówiło się, że to ona naprawdę rządzi krajem, a syn jest tylko jej narzędziem. Jej rady w sprawach dotyczących naszej rodziny były uważane za nieodzowne i wiele zależało od jej decyzji. Jednym spojrzeniem dostrzegała tyle, ile oczy stu obserwatorów, a w przełomowych momentach wykazywała się iście salomonową mądrością. Nie była jednak zbyt lubiana przez małych mieszkańców pałacu. W miarę możliwości woleliśmy jej unikać.

Kiedy wieczorem miałam już wracać do Bet il Watoro, usłyszałam, jak ojciec mówi do mojej matki, że muszę jeszcze popracować nad nauką, zwłaszcza czytaniem. Na wieść, że matce nie udało się jeszcze znaleźć mi nowego nauczyciela, ojciec zdecydował, że powinnam codziennie przychodzić do Bet il Sahel i wracać do domu wieczorem, żeby tak jak moje bratanice brać tu udział w lekcjach. Niespecjalnie mnie to ucieszyło. Nigdy nie podobało mi się na lekcjach, zwłaszcza że moja poprzednia nauczycielka skutecznie zniechęciła mnie do wszelkiej nauki. Pogodziłam się z tym jednak w zamian za towarzystwo moich braci i siostr codziennie oprócz piątków. Co więcej, mój urocza siostra Chole obiecała nade mną czuwać. Dotrzymała swojego przyrzeczenia tak wiernie, że niemal zastępowała mi matkę.

Moja własna matka była przygnębiona z powodu zarządzenia ojca, według którego miałam spędzać aż sześć dni w tygodniu z daleka od niej. Nic jednak nie można było na to poradzić. W zamian musiałam jej obiecać, że będę się pokazywać kilka razy dziennie w określonych miejscach, żeby mogła mnie zobaczyć choć z daleka.

Rozdział IV

Inne wspomnienia z dzieciństwa

Z czasem bardzo polubiłam Bet il Sahel. Było tam mnóstwo miejsca, żeby się szwendać, bawić i robić głupie żarty, za które i tak nikt nas nigdy nie karał. Ja miałam przy takich okazjach najwięcej szczęścia, bo Chole miała zbyt miękkie serce, żeby mnie skarcić.

W domu mieliśmy kilka wspaniałych pawi. Jeden z nich był raczej dziki i nie mógł znieść widoku dzieci. Pewnego dnia, kiedy przechadzaliśmy się wokół kopuły łaźni tureckiej, która była połączona mostem wiszącym z Bet il Sahel oraz Bet il Tani, wściekły paw nagle rzucił się na mojego brata Djemschida. Wspólnymi siłami udało nam się pokonać bestię i nie zamierzaliśmy puścić jej bez żadnej kary. Wymyśliliśmy okrutną zemstę: postanowiliśmy pozbawić zwierzę jego zachwycającego upierzenia. Wojowniczy paw wyglądał po tym żałośnie. Na szczęście mojego ojca nie było wtedy w domu, więc całą sprawę udało się zatuszować, zanim wrócił.

Pewnego dnia do pałacu przybyły z Egiptu dwie czerkieskie kobiety. Po jakimś czasie zaczęło nam się wydawać, że jedna

z nich odnosi się do nas z obojętnością i arogancją. Ponieważ nas to irytowało, zaczęliśmy myśleć o stosownej karze za tę obrazę. Nie było to jednak łatwe, bo rzadko mieliśmy w ogóle okazję ją spotkać albo chociaż zobaczyć. Była od nas tylko o kilka lat starsza, co jedynie potęgowało zniewagę. Kiedy pewnego razu mijaliśmy jej komnaty z głowami pełnymi pretensji, zauważyliśmy, że drzwi jak zwykle były otwarte. Biedna kobieta siedziała na lekkim suahilijskim łóżku zbudowanym jedynie z czterech słupków powiązanych linami i z maty i wesoło śpiewała jedną ze swoich pięknych narodowych pieśni. Moja siostra Schewane była wtedy naszą przywódczynią. Jeden znak wystarczył, żebyśmy zrozumieli, co mamy zrobić. W mgnieniu oka chwyciliśmy łączące słupki liny i wszyscy razem pociągnęliśmy. Wyciągnęliśmy w ten sposób matę spod siedzącej przestraszonej kobiety, która z hukiem zwała się na ziemię. Niewątpliwie była to bardzo dziecinna sztuczka, ale udało nam się uleczyć wyniosłość kobiety względem nas, a o to nam przecież chodziło.

Przez moją psotną naturę sama też czasem robiłam takie figle. Niedługo po naszej przeprowadzce do Bet il Watoro o mało nie skręciłam sobie przez to karku. Wybraliśmy się w odwiedzinę na jedną z naszych plantacji. Pewnego ranka udało mi się uciec moim opiekunom i wspiąć się na wysoką palmę tak zwinnie, jak kot i bez użycia *pingu*, czyli grubej liny, która utrzymuje stopy razem. Bez tego narzędzia nawet najbardziej utalentowany wspinacz nie byłby w stanie wejść na drzewo kakaowe. Zaczęłam wołać nieświadomych ludzi przechodzących pod spodem i życzyć im dobrego dnia.

Jakież strach udało mi się w nich wzbudzić! Poniżej zebrał się tłum, który zaczął mnie błagać, żeby zeszła. Nikt

nie mógł mi pomóc. Żeby wejść na drzewo kakaowca, trzeba było bowiem mieć obie ręce wolne. Zniesienie na rękach ośmiolatki było więc wyczynem niemożliwym. Ja jednak na początku wcale nie chciałam schodzić. Zmieniałam zdanie dopiero wtedy, kiedy moja matka, stojąca na dole i załamująca z rozpacz ręce, obiecała mi wiele przyjemnych rzeczy. Wszyscy mnie tego dnia rozpieszczali. Dostałam mnóstwo prezentów zamiast lania, które mi się należało.

Takie i inne figle płataliśmy codziennie i żadna kara nie była w stanie nas przed tym powstrzymać. Było nas siedmioro: trzech chłopców i cztery dziewczynki. Przewracaliśmy pałac do góry nogami i wyprowadzaliśmy nasze matki z równowagi.

Czasem matka zatrzymywała mnie w domu w ciągu tygodnia. Dla mojego brata Madżida była to okazja, żeby mnie rozpieszczać. On sam często cierpiał na ciężkie spazmy, przez co rzadko był zostawiany bez opieki. Kiedy był w łaźni, matka i Chaduji na zmianę pilnowały drzwi, nie ufając niewolnikom, i odzywały się do niego od czasu do czasu, a on śmiał się i mówił, że jeszcze żyje. Pewnego dnia, kiedy Chaduji przechadzała się przed jego drzwiami, usłyszała huk, jakby coś ciężkiego spadło na podłogę. Przeżrana wpadła do środka i znalazła ukochanego brata na podwyższonej platformie w konwulsjach. To był najgorszy atak, jaki do tej pory miał. Natychmiast wysłano konnego posłańca do Bet il Mtoni, do mojego ojca.

Niestety w przypadku wszelkiego typu schorzeń i chorób byliśmy skazani na różnych ignorantów, znachorów i oszustów. Teraz, kiedy już poznałam i doceniłam naturalne i rozsądne metody stosowane przez medycynę w Europie, jestem przekonana, że większość naszych zmarłych odeszła nie z powodu samej

choroby, lecz barbarzyńskich metod leczenia, którym ich poddawano. Sądzę, że nie musielibyśmy przeżywać tyle razy i z taką rezygnacją śmierci najbliższych, gdyby nie kierowała nami niezachwiana wiara w przeznaczenie.

Biedny Madżid przez wiele godzin leżał w łóżku nieprzytomny i w konwulsjach, wdychając cały czas powietrze mogące pogorszyć stan nawet zdrowego człowieka. Bo chociaż generalnie mamy zamiłowanie do przebywania na zewnątrz, pacjenci są u nas hermetycznie zamknięci. Zwłaszcza, tak jak w tym przypadku, kiedy przypuszcza się, że to sam Zły przyłożył rękę do choroby. Chory zostaje wtedy odizolowany od świata zewnętrznego, a jego pokój i cały dom się okadza.

Ku zaskoczeniu wszystkich, mój drogi ojciec przybył zaledwie kilka godzin później w *mtumbi*, małej, jednoosobowej łodzi rybackiej, i wbiegł czym prędzej do domu. Chociaż miał więcej niż czterdzieścioro dzieci, bardzo się przejął chorobą syna. Gorzkie łzy spływały mu po policzkach, gdy stał przy łóżku chorego i krzyczał: „O Allahu, o Allahu, zachowaj mojego syna!”. Ojciec modlił się bez ustanku. Wszechmogący wysłuchał jego prośb i Madżid wyzdrowiał.

Kiedy moja matka zapytała sultana o powód, dla którego przybył tak mizerną łodzią, odpowiedział: „W chwili, gdy dotarł do mnie posłaniec, na brzegu nie było żadnej łodzi i żadnej nie można było znaleźć bez uprzedniego przywołania. Nie miałem czasu do stracenia i nawet nie chciałem czekać, aż osiodłają konia. W tym momencie zauważyłem rybaka w *mtumbi* niedaleko *benjile*. Chwyciłem więc moją broń, zawołałem go i kazałem wysiadać, a sam wskoczyłem na pokład”. *Mtumbi* to nic innego jak wydrążony pień drzewa. Taka łódź

mieści zwykle tylko jedną osobę i jest napędzana krótkim dwustronnym wiosłem. Wąska, krótka i spiczasta na dziobie przypomina nieco kajak. Czytelnika może dziwić, że człowiek ogarnięty strachem o życie syna myśli o swojej broni. Cóż, zwyczaje różnią się na całym świecie. W oczach Europejczyka zamięłowanie Araba do jego broni jest niezrozumiałe. Arabski umysł nie potrafi za to często pojąć niektórych zwyczajów Polnoy. Ja na przykład nie potrafię zrozumieć zamięłowania europejskich mężczyzn do kieliszka.

Tak więc codziennie chodziłam do szkoły w Bet il Sahel, a wieczorem wracałam do mojej matki w Bet il Watoro. Po tym, jak nauczyłam się na pamięć około jednej trzeciej Koranu, miałam skończyć naukę w wieku dziewięciu lat. Według naszych zwyczajów byłam już za duża na chodzenie do szkoły. Odtąd odwiedzałam Bet il Sahel w towarzystwie matki i Chaduji tylko w piątki, żeby zobaczyć ojca.

Żyliśmy tak szczęśliwie w Bet il Watoro przez dwa lata. Dobre czasy nigdy nie trwają jednak wiecznie, zwykle jakies niespodziewane zdarzenia zakłóca panujący spokój. Tak było i w naszym przypadku.

Przyczyną rozłamu w naszym domu była istota, która nie mogłaby być bardziej czarująca i kochana — nasza daleka krewna Asha. Dziewczyna przybyła na Zanzibar z Omanu, gdzie Madzid wziął ją sobie za żonę. Wszystkie byliśmy jej bardzo oddane i cieszyliśmy się ze szczęścia Madzida. Wszystkie z wyjątkiem jego siostry Chaduji, która, co muszę przyznać z głębokim żalem, bardzo ją skrzywdziła. Jak już wspomniałam, Asha była pod każdym względem urocza. Poza tym była dość młoda. Chaduji powinna ją poinstruować i pokazać jej, jak zachowywać się

z godnością. Ta jednak traktowała ją z pogardą i wrogością. Małżeństwo z Madżidem uprawniało Ashę do zajmowania pierwszego miejsca w domu. Jednak to Chaduji ustawiała ją po kątach, tak że aż ta biedna i delikatna dusza przychodziła do mojej matki, żeby się wyplakać i ponarzekać na niesprawiedliwe traktowanie. Moja matka znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia: między młotem a kowadłem. Chaduji odmówiła zrzeczenia się swoich wyimaginowanych praw i nadal postrzegala Ashę jako nieodpowiedzialne dziecko. Na próżno moja matka usiłowała wyprowadzić ją z błędu i zmusić do uznania pozycji żony Madżida. Na próżno błagała ją, by oszczędziła Madżidowi przykrości dla jego własnego dobra. Wszystko na marne. Nasze niegdyś przyjemne życie w Bet il Watoro stało się nie do zniesienia. Aby uciec od nieustannych kłótni, matka postanowiła opuścić dom, który tak bardzo lubiła.

Madżid i jego żona nie chcieli o tym nawet słyszeć, zwłaszcza Asha była niepokieszona. Nic jednak nie było w stanie zmienić postawy Chaduji, co utwierdziło moją matkę w decyzji o wyprawadze. W końcu jednak nawet Asha nie mogła już dłużej znosić autokratycznych rządów Chaduji i rozwiodła się z Madżidem. Biedaczka tak bardzo przeżyła to, co ją spotkało na Zanzibarze, że nie chciała już mieć niczego wspólnego z naszym krajem i jego mieszkańcami. Pożegłowała wraz ze sprzyjającym południowym wiatrem z powrotem do Omanu, gdzie miała ciotkę mieszkającą w okolicach Maskatu, stolicy Omanu. Oboje jej rodzice już wtedy nie żyli. Ponieważ jednak przeprowadzka mojej matki i mnie była już zaplanowana, przeniosłyśmy się do Bet il Tani. Moja siostra Chole była zachwycona, ponieważ byliśmy już prawie pod jej dachem; to ona zapewniła i urządziła nam pokój.

Pałac sultana był tak zatłoczony, że trudno tam było o wolny pokój. Zwyczaj nakazywał poczekać, aż ktoś umrze i zwolni miejsce. To było naprawdę okropne, ale niektórzy zwracali uwagę na każdy objaw choroby, choćby kaszel, jakby w myślach zajmowali już miejsce chorego. Chociaż takie myśli muszą się wydawać grzeszne, prowadziło do nich oczywiście przeludnienie. Moja matka i ja zawdzięczałyśmy Chole ładny, duży pokój w Bet il Tani bez konieczności czekania na czyjąś śmierć. Cha-duji, którą rzadko teraz widywałyśmy, poczuła się urażona naszą zmianą miejsca zamieszkania i uznała, że moja matka już jej nie kocha, co oczywiście nie było prawdą. Matka po prostu nie była w stanie znieść zachowania Cha-duji wobec dziewczyny, której głównym przewinieniem było poślubienie Madzida, który nadal nas odwiedzał i pozostał jednym z naszych najlepszych przyjaciół.

Bet il Tani było usytuowane w bezpośrednim sąsiedztwie Bet il Sahel i było z nim połączone mostem zawieszonym nad łąźnią turecką, która znajdowała się w połowie drogi między dwoma pałacami. W tym czasie Bet il Tani było jednak tylko cieniem swojej dawnej świetności. Kiedyś mieszkała tam perska księżniczka o imieniu Shesadeh. Była jedną z głównych żon mojego ojca i wielką pięknoscią. Uchodziła za ekscentryczkę, ale była też znana z wielkiej życzliwości wobec swoich pasierbów. Jej skromny orszak stanowiło stu pięćdziesięciu perskich jeźdźców, którzy zajmowali cały parter. Jeździła z nimi na polowania w białą dzień, co według arabskich zwyczajów szło nieco za daleko. Wydaje się, że perskie kobiety są wychowywane w iście spartański sposób. Mają dużo więcej swobody niż my, są też bardziej bezpośrednie tak w sposobie myślenia, jak i zachowania.

Shesadeh wiodła ponoć luksusowe życie. Jej ubrania — w perskim stylu — były wyszywane prawdziwymi perłami od góry do dołu. Jeśli jednak służący, zamiatając pokoje, znalazłby którąś na podłodze, księżniczka odmówiłaby przyjęcia jej z powrotem. Nie tylko bez opamiętania korzystała z hojności sułtana, lecz także naruszyła nasze święte prawa. Poślubiła swojego ojca dla jego bogactwa, ale jej serce należało do innego. Pewnego dnia o mało nie doprowadziło to do rozlewu krwi, na szczęście wierny sługa złapał za rękę uniesionego gniewem sułtana, ratując Shesadeh od śmierci, a mojego ojca od straszliwego grzechu. W tej sytuacji Shesadeh pozostał jedynie rozwód. Na szczęście związek był bezdzietny. Kilka lat później sułtan walczył z Persami w Bandar Abbas nad Zatoką Perską. Plotka głosi, że piękna Shesadeh była wówczas widziana na czele oddziałów wroga, mierząc z broni w członków naszej rodziny.

W dawnym domu słynnej księżniczki zacząłem uczyć się pisania na własny rachunek i bardzo prymitywną metodą. Oczywiście musiałam to robić w tajemnicy, ponieważ kobiet nigdy nie uczy się u nas pisać. Jeśli nawet któraś z nas posiada tę umiejętność, musi ją skrzętnie ukrywać. Zaczęłam od Koranu. Próbowалам odtwarzać znaki na łopatkę wielbłąda. Na Zanzibarze służyły nam one za tabliczki do pisania. Robiłam szybkie postępy, co zachęcało mnie do dalszej nauki. Na pewnym etapie potrzebowałam jednak wskazówek w zakresie właściwej kaligrafii, obdarzyłam więc jednego z naszych „wykształconych” niewolników zaszczytem zostania moim osobistym nauczycielem. W pewnym momencie sprawa wyszła na jaw i dostałam solidną burę. Nie za bardzo mnie to jednak obchodziło!

Rozdział V

Życie codzienne w naszym domu

Ciągle ktoś mnie pyta: „Jak, u licha, ludzie w twoim kraju żyją, skoro nie mają nic do roboty?”. Z punktu widzenia mieszkańca Północy, który po prostu nie wyobraża sobie życia bez pracy i który jest przekonany, że ludzie Orientu nigdy nie kiwną nawet palcem, a większość czasu przesypiają w zaciszu haremu, jest to całkiem uzasadnione pytanie. Różne są warunki naturalne w różnych częściach świata i to one rządzą naszymi upodobaniami, obyczajami i stylem życia. Na Północy trzeba się wysilać, żeby w ogóle przeżyć, i to bardzo mocno, jeśli chce się tym życiem cieszyć. Mieszkańcy Południa są pod tym względem uprzywilejowani. Celowo używam tu słowa „uprzywilejowany”, ponieważ oszczędny tryb życia Arabów jest dla nich błogosławieństwem. W książkach często opisuje się ich jako niezwykle próżnych, ale tak naprawdę Arabowie są po prostu bardzo oszczędni, być może bardziej niż ktokolwiek inny oprócz Chińczyków. Sama natura postanowiła, że Południowiec może pracować, ale to mieszkaniec Północy musi. Północne narody wydają się bardzo zarozumiałe. Patrzą z wyższo-

ścią i pogardą na ludzi z tropików — nie jest to chwalebny stan umysłu. Ci sami ludzie nie dostrzegają jednak, że w Europie taka aktywność jest bezwzględnie konieczna, aby zapobiec śmierci setek tysięcy istnień. Europejczyk po prostu musi pracować — to wszystko; nie ma więc prawa czynić tak wielkiej cnoty z czystej konieczności. Czyż Włosi, Hiszpanie i Portugalczycy nie są mniej pracowici niż Niemcy i Anglicy? A jaka może być tego przyczyna? Po prostu u tych pierwszych więcej jest lata niż zimy, przez co nie trzeba aż tak zaciekle walczyć o byt. Zimny klimat oznacza konieczność zabezpieczenia się na wypadek różnych ewentualności i wydarzeń, które nie mają miejsca w krajach południowych.

Luksus odgrywa wszędzie tę samą rolę. Kto ma pieniądze i chęci, znajdzie okazję do zaspokojenia swoich zachcianek, niezależnie od tego, w której części globu mieszka. Przemilczmy więc ten temat i ograniczmy się do rzeczywistych potrzeb życiowych. Podczas gdy w tym kraju nowonarodzone niemowlę potrzebuje pewnej ilości rzeczy, aby chronić swoje kruche istnienie przed przewrotnością zmiennego klimatu, mały ciemnoskóry mieszkaniec Południa leży prawie nagi i drzemie ukołysany powiewami ciepłego powietrza. Jeżeli w Niemczech dwuletnie dziecko potrzebuje butów, pończoch, pantalonów, kilku halek, sukienki, płaszcza, rękawiczek, szalika, getrów, mufki i futrzanej czapki, to niezależnie od tego, czy urodziło się w domu bankiera czy robotnika, różni je tylko jakość wyprawki. Na Zanzibarze strój księcia w tym samym wieku składa się z dwóch elementów garderoby: koszuli i czapki. Dlaczego więc arabska matka, której wymagania wobec siebie i dziecka są tak małe, miałyby pracować tak ciężko jak nie-

miecka gospodyni? Nie przyszłoby jej do głowy szyc rękawiczek i pończoch czy wykonywać różnych innych prac, którymi europejska matka zajmuje się chociaż raz w tygodniu.

Na Południu nie znamy też innej instytucji tak ważnej dla europejskich gospodarstw domowych: dnia prania. Na Zanzibarze pierzemy codziennie wszystko, co wymaga uprania. Za pół godziny wszystkie rzeczy są suche, złożone (niewyprasowane) i odłożone na miejsce. Obywamy się bez zasłon, które oprócz tego, że są kłopotliwe i nie przepuszczają światła słonecznego, trzeba utrzymywać w czystości i naprawiać. Kobiętom Orientu, niezależnie od ich pozycji społecznej, rzadko zdarza się zniszczyć sobie ubranie, co jest naturalne, ponieważ ogólnie mniej się poruszają, rzadziej odwiedzają miejsca publiczne i po prostu mają mniej ubrań.

Wszystkie te i wiele innych czynników sprawiają, że życie kobiety Orientu jest bardziej znośne i wygodne niż los Europejki, bez szczególnego względu na pozycję społeczną. Aby jednak naprawdę poznać codzienność kobiet Południa, trzeba spędzić wśród nich trochę czasu. Turyści, którzy tylko na krótko zatrzymują się w tych okolicach i którzy, jak sądzę, czerpią wiedzę od hotelowych kelnerów, nie mogą być uważani za wiarygodnych świadków. Europejskie damy, które być może miały okazję zobaczyć harem w Konstantynopolu lub Kairze, nadal niewiele o nim wiedzą. Widziały tylko urządzone na pokaz pokoje, których wystrój naśladuje europejskie trendy. Poza tym klimat jest tam tak szczodry i dobroczynny, że nie trzeba się martwić o jutro. Nie zaprzeczam, że Południowcy mają skłonność do lekkiego i beztroskiego życia, ale wystarczy przypomnieć sobie lipcowe i sierpniowe upały

w Europie, żeby sobie wyobrazić, jaki wpływ miałyby na nasz styl życia tropikalne słońce.

Araba nie ciągnie do handlu i przemysłu; niewiele go obchodzi poza wojną i rolnictwem. Niewielu Arabów wyuczyło się jakiegoś rzemiosła lub ma jakiś zawód. W większości Arabowie są co najwyżej miernymi kupcami, choć często zajmują się handlem wymiennym. Wydaje się, że brakuje im semickiego zmysłu do interesów. Ich oszczędność pozwala im jednak łatwo wiązać koniec z końcem. Dlatego typowy Arab z reguły myśli tylko o najbliższej przyszłości. Nigdy nie wybiega planami dalej, gdyż wie, że każdy dzień może być jego ostatnim. W ten sposób życie ludzi Orientu płynie łatwo i bez zakłóceń. Muszę jednak zaznaczyć, że opisuję tylko życie na Zanzibarze i w Omanie, które pod różnymi względami różni się od tego w innych wschodnich krajach.

Porządek dnia mahometanina regulują praktyki religijne. Pięć razy dziennie zgina on kolano przed Bogiem, a jeżeli chce prawidłowo wykonać wszystkie wymagane ablucje i zmieniać szaty zgonie z nakazami świętych ksiąg, to zajmie mu to pełne trzy godziny. Bogaci są budzeni między czwartą a wpół do piątej na pierwszą modlitwę, po której wracają do łóżka, ale zwykli ludzie zaczynają o tej porze dzień pracy. W naszym domu, w którym setki osób zajmowały się swoimi sprawami, trudno było utrzymać jakiś porządek, ale ustalone pory dwóch głównych posiłków i modlitw wymuszały pewną regularność. Większość z nas spała jeszcze po pierwszej modlitwie do ósmej, kiedy to kobiety i dzieci budziły przyjemne odgłosy delikatnego ugniatania ciasta przez służące. Kąpiel w świeżej źródlanej wodzie była już wtedy gotowa, podobnie jak nasze ubrania, posy-

pane poprzedniej nocy kwiatami jaśminu lub pomarańczy, a teraz pachnące bursztynem i piżmem. Nigdzie na świecie zimna kąpiel nie jest doceniana bardziej niż na Wschodzie, i tak często zażywana. Ubranie się zajmowało nam zwykle godzinę, po czym wszyscy szliśmy do ojca, aby powiedzieć mu „dzień dobry”. Potem przychodził czas pierwszego posiłku, na który wzywał nas dźwięk bębna. Stół nakrywano jednak wcześniej, dzięki czemu jedzenie zajmowało nam mniej czasu, niż zwykle trwają europejskie posiłki.

Dopiero wtedy naprawdę zaczynał się dzień. Mężczyźni udawali się do sali audiencyjnej, podczas gdy kobiety, które nie musiały pracować, zajmowały miejsca przy oknach, aby obserwować to, co się dzieje na ulicy, oraz wylapywać spojrzenia, które od czasu do czasu ktoś im rzucił. Miałyśmy z tego ogromną uciechę. Czasem tylko ostrożna matka lub ciotka odciągała jedną z dziewczyn od okna. W ten sposób szybko mijały dwie lub trzy godziny. W międzyczasie mężczyźni składali sobie wizyty, a kobiety wysyłały służących z ustnymi zaproszeniami na wieczór. Osoby o spokojnym usposobieniu najczęściej spędzały czas w swoich przestronnych apartamentach, gdzie w pojedynkę lub w małych grupach zajmowały się robótkami ręcznymi, obszywając chusty, koszule lub spodnie złotym galonem albo koszule męża, syna lub brata czerwonym lub białym jedwabiem, co wymagało szczególnej wprawy. Pozostali czytali, odwiedzali chorych lub zdrowych przyjaciół w ich pokojach albo zajmowali się innymi sprawami. I tak dochodziła pierwsza, kiedy to służący przychodzili przypomnieć o drugiej modlitwie. Słońce było wtedy w zenicie, więc wszyscy najchętniej spędzali wczesne popołudnie, leżąc w cienkim, lekkim okryciu na mięk-

kich matach utkanych świętymi napisami. Czas mijał tak bardzo przyjemnie na drzemkach, rozmowach i podskubywaniu owoców i ciastek aż do godziny czwartej, kiedy to modliliśmy się po raz trzeci. Potem był czas na bardziej wyszukaną toaletę, po której ponownie udawaliśmy się do sułtana, aby życzyć mu dobrego popołudnia. Dorosłym dzieciom wolno było mówić do niego „ojcze”, ale te mniejsze i ich matki musiały zwracać się do niego „panie”.

Teraz następował drugi i ostatni posiłek dnia, przy którym zbierała się rodzina. Po jego zakończeniu eunuchowie wynosili na szeroką werandę krzesła europejskiego typu, ale tylko dla dorosłych. Dzieci musiały stać na znak szacunku wobec starszych, których obdarza się tam większą estymą niż gdziekolwiek indziej. Rodzina gromadziła się wokół sułtana, a rząd eleganckich, dobrze uzbrojonych eunuchów ustawiał się z tyłu. Podawano kawę i napoje przygotowane z francuskich owoców. Rozmowom towarzyszyły dźwięki katarynki, największej, jaką kiedykolwiek widziałam. Czasem dla odmiany puszczano muzykę z jednej z dużych pozytywek lub kazano śpiewać niewidomej Arabce o imieniu Amra obdarzonej pięknym głosem.

Trwało to około półtorej godziny, po czym wszyscy rozchodzili się w swoją stronę. Jednym z ulubionych zajęć było żucie betelu. Jest to suahilijski zwyczaj. Arabowie z Półwyspu Arabskiego zwykle nie znajdują w nim przyjemności, ale ci z nas, którzy urodzili się na wschodnim wybrzeżu Afryki i wychowali wśród Murzynów i Mulatów, przyjęli go dość łatwo pomimo drwin ze strony naszych azjatyckich krewnych. Żuliśmy betel ukradkiem, tylko podczas nieobecności sułtana, który zabronił tej praktyki.

Dzięki takim urozmaiceniom czas upływał szybko do zachodu słońca, który hinduscy strażnicy ogłaszali ogniem z muszkietów i bębniami. To był również sygnał do modlitwy. Ale tę czwartą zwykle odmawialiśmy pośpiesznie, ponieważ wszyscy, którzy nie zamierzali składać wizyt, oczekiwali w domu gości: sióstr, macoch, pasierbów, drugich żon. Dla rozrywki podawano kawę i lemoniadę, ciastka i owoce, błaznowano i śmiano się, czytano na głos, grano w karty (ale nie na pieniądze ani o żadną inną stawkę), śpiewano, słuchano gry na zeze, szyto, wyszywano, robiono koronki – na co kto miał ochotę.

Tak więc zupełnie błędne jest przekonanie, że bogata kobieta Orientu nie ma nic do roboty. To prawda, że ani nie maluje, ani nie gra na fortepianie, ani nie tańczy (a przynajmniej nie tak jak w Europie). Ale to nie są jedyne istniejące sposoby spędzania czasu. Ludzie na Wschodzie lubią taki styl życia; gorączkowa, wieczna pogoń za nowymi przyjemnościami i uciechami jest nam zupełnie obca. Z europejskiego punktu widzenia człowiek Orientu może być więc bez wątpienia postrzegany jako filistyn.

Na noc zwałnialiśmy męską służbę, która mieszkała ze swoimi rodzinami poza pałacem. Lampy olejowe zwykle pozostawiano zapalone. Gasiło się jedynie świece. Zwyczaj posyłania dzieci powyżej dwóch lat do łóżka o określonej godzinie zanikł; same wybierały sobie czas, a często i miejsce, w którym szły spać. Nieraz to niewolnicy musieli je po cichu i z czułością przynosić do ich łóżeczek. Kto nie wyszedł z domu ani nie przyjmował akurat gości, zazwyczaj udawał się na spacer o dziesiątej, choć niektórzy woleli cieszyć się świeżym powietrzem na płaskim, zawsze dobrze zamiecionym dachu

aż do północy. Około wpół do siódmej należało odmówić piątą i ostatnią modlitwę. O tej porze można jednak mieć gości albo być zajęтым czym innym, dlatego istniała zasada pozwalająca na odłożenie ostatniej modlitwy do czasu udania się na spoczynek. Zamożne arabskie kobiety kładą się spać z pomocą dwóch niewolnic: jedna je masuje, a druga wachluje. Stopy często myje się najpierw w wodzie kolońskiej, bo to bardziej orzeźwiająca. Być może wspomniałam już, że arabskie kobiety śpią w tych samych ubraniach, w których chodzą też za dnia, nie zdejmują nawet biżuterii.

Jak już mówiłam, jedliśmy dwa posiłki dziennie. Około dziewiątej spotykaliśmy się wszyscy w dużym salonie, żeby ucałować ręce ojca. Z zasady wszyscy bracia i bratankowie, nawet ci, którzy byli już żonaci i wyprowadzili się z domu, jedli z nami śniadanie w czasie, w którym ojciec był z nami w mieście. Nie pamiętam za to, żeby ojciec kiedykolwiek wyszedł zjeść posiłek z którymkolwiek ze swoich synów lub z inną osobą.

Wszystkie dania były już poustawiane przez eunuchów na długim stole nazywanym *sefra*. Ten drewniany mebel wyglądał trochę jak stół do bilardu, choć był dwa razy takiej długości, nieco szerszy i wysoki jedynie na dziesięć do piętnastu centymetrów z półkami na szerokość ręki na bokach. Nie mieliśmy osobnej jadalni, *sefra* była wnoszona do galerii w czasie posiłków. Chociaż mieliśmy w domu trochę zagranicznych mebli, takich jak kanapy, stoły, krzesła, a czasami szafy (apartament mojego ojca był umeblowany w takim zachodnim stylu, choć głównie na pokaz, a nie żeby naprawdę z tych mebli korzystać), posiłki jedliśmy na sposób wschodni, siedząc na podłodze na dywanach i matach. Ściśle przestrzegaliśmy zasad pierwszeń-

stwa. Mój ojciec zawsze siadał u szczytu stołu, po jego prawej i lewej stronie siadali starsi bracia i siostry, młodszemu rodzeństwu (powyżej siódmego roku życia) przysługiwały dopiero dalsze miejsca. Nie mieliśmy zwyczaju zapraszania nikogo na obiad. Zawsze mieliśmy duży wybór dań, zwykle około piętnastu, w tym ryż podawany na różne sposoby. Z mięs i drobiu najbardziej ceniliśmy baraninę i ptactwo. Podawano też ryby, wschodni chleb oraz różne rodzaje słodczy i przysmaków. Wszystkie dania czekały już na nas na stole, nie było jakiejś określonej kolejności ich podawania. W pewnej odległości od stołu stali rzędem eunuchowie, którzy przyjmowali specjalne zamówienia. Zwykle to mój ojciec korzystał z ich usług, wysyłając porcje jedzenia młodszym dzieciom, którym jeszcze nie wolno było siedzieć przy stole, i chorym. W pałacu Bet il Mtoni zwykle kazał mi siedzieć w miejscu, w którym mógł dosięgnąć do mojego talerza. Jedliśmy to samo co dorośli, ale zawsze ogromną przyjemność sprawiało nam, kiedy to on wybierał nam dania, co cieszyło także i ojca.

Podczas zasiadania do stołu wszyscy wypowiadaliśmy ścisłym głosem, ale tak aby było nas słychać, słowa: „W imię miłosiernego Boga — i dodawaliśmy głośniejszym głosem — niech będą dzięki Panu wszechświata”. Mój ojciec zawsze siadał do stołu i wstawał pierwszy. Czyste talerze nie były podawane każdemu z osobna, jak to czynią Europejczycy. Różne dania (z wyjątkiem ryżu) serwowano na talerzykach symetrycznie ustawionych wzdłuż stołu, dzięki czemu dwie osoby mogły zawsze jeść z jednego talerza. Napojów nie podawano w trakcie posiłku, lecz po nim. Piliśmy soki i słodzoną wodę. Nie rozmawialiśmy w trakcie jedzenia, chyba że ojciec specjalnie się do kogoś

zwrócił. Zwykle jednak panowała cisza, co było bardzo przyjemne. Na stole nie stawiało się żadnych kwiatów ani owoców.

Zaraz po posiłku elegancko ubrani niewolnicy podawali naczynia do mycia rąk. Zwykle jedliśmy rękami, używanie noży i widelców uważano za zbyt techniczne, dlatego wyciągano je tylko dla przyjemności gości z Europy. Mięso i ryby były już wcześniej pokrojone na małe kawałki, a do jedzenia płynnych potraw mieliśmy łyżki. Przedstawiciele wyższych klas zwykli perfumować sobie ręce po umyciu, żeby usunąć z nich pozostałości zapachu potraw. Nigdy nie jedliśmy owoców w trakcie głównego posiłku, podawano je raczej przed albo po nim. Wszystkim nam wysyłano pewną ilość różnego rodzaju owoców do pokojów. Pół godziny po śniadaniu i obiedzie eunuchowie serwowali kawę w tych znanych na całym świecie małych orientalnych kubkach pokrytych srebrem lub złotem. Kawa była bardzo mocna, gotowana do konsystencji syropu i przefiltrowana. Nie dodawaliśmy do niej cukru ani mleka, niczego też się w tym czasie nie jadło, może poza orzechami betel. Kawę zawsze nalewało się do kubków tuż przed wypiciem, a samo nalewanie wymagało pewnych umiejętności, tylko wybrani służący mogli wykonywać tę czynność. Lewą ręką należało podnieść cynowy czajnik z mosiężną rączką, a prawą pusty kubeczek w srebrnej lub złotej osłonce. Nalewającemu asystował zwykle drugi służący z tacą pełną pustych kubeczków i dużym czajnikiem z zapasem kawy. Jeśli służącym udało się zastać biesiadników jeszcze przy stole, mogli szybko uwinąć się ze swoimi obowiązkami, w przeciwnym razie ich praca polegała na odnalezieniu i obsłudze każdego z osobna.

Jak wiadomo, kawa jest bardzo ceniona na Wschodzie, dlatego tak wielką wagę przykładano do sposobu jej przygotowania. Odpowiednia ilość była za każdym razem palona, mielona i zaparzana tuż przed podaniem, dzięki czemu zachowywała świeżość. Nie przechowywaliśmy nadmiaru palonych ziaren ani palonej kawy, resztki albo się wyrzucało, albo oddawało służącym niższej rangi, jeśli chcieli je wykorzystać. Drugi i ostatni posiłek jedliśmy po południu, dokładnie o czwartej, i niczego więcej poza owocami i kawą nie serwowano już aż do następnego ranka.

Rozdział VI

Narodziny oraz pierwsze lata życia księcia i księżniczki

Narodziny księcia lub księżniczki, choć nie były witane salwami artyleryjskimi, były jednak zawsze radosnym wydarzeniem, nawet jeśli mogły wywołać zazdrość. Cieszyli się nie tylko Seyyid Saïd i matka dziecka. Dla nas, rodzeństwa, to też był powód do radości, ponieważ narodzinom niemowlaka towarzyszyły liczne uroczystości, a świąteczna atmosfera udzielała się również najmłodszym. W naszej rodzinie przybawało zwykle pięcioro lub sześcioro książąt i księżniczek rocznie.

Zawód położnej nie jest znany wśród mahometan, którzy zatrudniają jedynie akuszerki, te jednak wykazują się niewiarygodną ignorancją. Większość przybyła na Zanzibar z Indii, ponieważ tutejsi wolą zatrudniać Hinduski, ale nigdy nie udało mi się dowiedzieć dlaczego, gdyż indyjskie akuszerki są tak samo pozbawione praktycznej wiedzy jak arabskie czy suahilijskie. Pewne jest to, że jeśli matka i dziecko zdołają przeżyć, zawdzięczają to Bogu i swojej własnej kondycji, a nie tym głupim stworzeniom. Gdy już dorosłam, niektóre z moich zamężnych

przyjaciółek opowiadały mi o prymitywnych metodach stosowanych przez te ignorantki. Nawet nie wypada opowiadać o nich publicznie.

Po dokładnym umyciu dziecka w ciepłej wodzie, jego szyję i pachy posypuje się pachnącym proszkiem, a następnie ubiera się je w małą perkalową lub muślinową koszulę. Potem kładzie się je na plecach, prostuje ręce i nogi, a całe ciało owija od pięt do ramion bandażem. Kończyny są więc obwinięte tak samo jak tułów. Przez czterdzieści dni i nocy niemowlę pozostaje w ten sposób uwięzione. Odwija się je tylko do kąpieli, która ma miejsce dwa razy dziennie. Celem bandażowania jest zapewnienie dziecku dobrej, wyprostowanej postawy. Dziecko jest przez cały czas z troską doglądane przez matkę, niezależnie od tego, jak wiele sług ta ma do dyspozycji. Niewolnicy na zmianę kołyszą przestronną, pięknie rzeźbioną drewnianą kołyską, która w zależności od pory roku może być też chroniona moskitierą. Sama matka rzadko kiedy kołysze dziecko, a jeśli robi ten wyjątek, uważa to za rodzaj rozrywki. Jeżeli nowo narodzone dziecko jest dziewczynką, siódmego dnia po urodzeniu przekłuwa się mu uszy igłą. W obu uszach robi się zwykle po sześć dziurek, które po upływie kilku tygodni zostają już na zawsze obciążone ciężkimi okrągłymi kolczykami. Mówię na zawsze, bo kobieta, która nie nosi kolczyków, jest albo w żałobie, albo nie ma dziurek w uszach.

Po upływie czterdziestu dni od narodzin ma miejsce ceremonia, która w Europie byłaby nie do pomyślenia: dziecku goli się głowę. Jakże zdziwiona była moja niemiecka pielęgniarka w Hamburgu długimi czarnymi włosami mojej córeczki i jak wielka była jej niecierpliwość, dopóki mój mąż nie kupił

szczotki! Golenie głowy niemowlęcia jest zadaniem głównego eunucha, towarzyszy temu wiele formalności, z których nigdy nie można pominąć okadzania rodzajem indyjskiej gummy. Pierwsze obcięte włosy traktuje się jak wielki skarb. Nie wolno ich ani spalić, ani wyrzucić na śmietnik. Zwykle zakopuje się je w ziemi, wrzuca do morza lub ukrywa w szczelinie muru. W ceremonii bierze udział dwadzieścia lub trzydzieści osób, a główny eunuch, którego doświadczenie jako fryzjera ogranicza się do takich okazji, podejmuje niemałe ryzyko uszkodzenia cennej czaszki dziecka. Nasz „nadworny goligłowa” i jego pomocnik byli zawsze hojnie wynagradzani przez mojego ojca.

Tego samego dnia dziecko uwalnia się też z bandaży. Jest ubierane w jedwabną koszulę, czapkę ze złotym obszyciem, kolczyki oraz bransolety na kostki i ręce. W tym momencie kończy się również izolacja dziecka od świata zewnętrznego, gdyż do tej pory nikt oprócz rodziców, kilku uprzywilejowanych przyjaciół i służby nie mógł go zobaczyć. Za tym zwyczajem stoi bardzo rozpowszechniona wiara w złe oko i wszelkiego rodzaju uroki.

Bez wątpienia dzieci w świecie Orientu wyglądają w tym okresie życia o wiele ładniej niż europejskie, ponieważ te noszą za dużo bieli. Choć mieszkam w Niemczech od lat, ciągle nie zmieniałam zdania w tej kwestii. Nawet moje własne dzieci wyglądały dla mnie okropnie w swoich niemowlęcych ubrankach. Zwłaszcza gdy porównywałam je z moimi pięknie ubranymi siostrzeńcami i siostrzenicami. Na Zanzibarze powszechnie używa się też perfum. Pościel dziecka, ręczniki i wszystkie jego ubrania były najpierw perfumowane słodkim jaśminem, tuż przed użyciem skrapiane bursztynem i piżmem, a na koniec

olejkiem z płatków róż. Należy przy tym pamiętać, że drzwi i okna były stale otwarte prawie przez cały rok, dzięki czemu ten osobliwy zwyczaj nie szkodził zdrowiu dziecka.

Żeby chronić dziecko przed złym okiem, daje się mu amulety. Niższe klasy społeczne stosują w tym celu cebulę, kawałki czosnku, kości, a także muszle, które przymocowuje się do lewego ramienia w małej skórzanej torebce. Wyższe klasy używają raczej cytatów z Koranu wyrytych na złotych lub srebrnych medalikach zawieszonych na szyi za pomocą łańcuszka. Chłopcy zachowują te medaliki tylko do pewnego wieku, ale dziewczęta często noszą je dłużej. Rodzajem popularnego amuletu jest też maleńka książeczka, o wymiarach siedem centymetrów na cztery lub pięć, spoczywająca w złotym lub srebrnym etui, także zawieszona na szyi za pomocą łańcuszka. Takie książeczki nazywa się „opiekunami”.

Oprócz mleka matki dziecko szybko zaczyna dostawać także inne rodzaje mleka kilka razy dziennie. Gotuje się je ze zmielonym ryżem i cukrem, a podaje w kubku z długim dzióbkiem. Kiedy mieszkałam na Zanzibarze, butelki były tam jeszcze kompletnie nieznane, a niemowlęta nie dostawały żadnego innego pokarmu aż do pojawienia się zębów. Potem mogły już jeść wszystko, co im się podobało. Dzieci nie noszono też zbyt często na rękach. Najchętniej kładziono je na dywanie, gdzie mogły się turlać i przewracać do woli.

Gdy tylko dziecko podejmie pierwsze próby siadania, odbywa się kolejna ceremonia. Matka, piastunki i dziecko zakładają swoje najlepsze szaty. Dziecko jest umieszczane w średniej wielkości kwadratowym wózku, który ma bardzo niskie koła i jest wyściełany poduszkami i draperiami. Do osi wózka przymoco-

wana jest krótka tyczka, tak żeby po obu stronach zmieściły się nóżki. W międzyczasie praży się indyjską kukurydzę, aż ziarna napęcznieją do wielkości naparstków. Miesza się je potem ze srebrnymi monetami i obsypuje tym dziecko, którego bracia i siostry tłoczą się i prześcigają, żeby złapać jak najwięcej.

Dopóki dziecko nie stąpa na tyle pewnie, by nosić sandały — drewniane dla kobiet i skórzane dla mężczyzn — chodzi po prostu boszo. Nie ma zwyczaju zakładania dzieciom pończoch, te noszą czasem tylko damy, kiedy jeżdżą konno, ponieważ zwyczaj wymaga, aby zakrywać kostki.

Kiedy dziecko ma trzy lub cztery miesiące, do piastunek dołącza kilkoro niewolników, którzy od tego momentu pozostają jego własnością. Im starsze jest dziecko, tym więcej ma niewolników, a jeśli jeden z nich umrze, ojciec obdarowuje go następnym lub odpowiednią sumą pieniędzy. Każdy książę przebywa z kobietami w domu aż do siódmych urodzin, kiedy to zostaje obrzezany zgodnie z prawem Mojżeszowym. Tej ceremonii, dokonywanej w obecności ojca, towarzyszy trwające trzy dni wystawne przyjęcie. W tym czasie chłopiec dostaje też własnego konia, żeby wcześniej nauczyć się sztuki jeździeckiej, a właściwie nabyć takiej biegłości i zręczności, jakiej można by oczekiwać tylko od jeźdźcy cyrkowego. W domu nie mieliśmy odpowiednich siodeł ani strzemion, a zatem umiejętność stabilnego siedzenia na koniu była czymś, czym można było się pochwalić.

Nasze piastunki, mimo że służyły dziecku bardzo krótko, były wysoko cenione i bardzo szanowane przez całe swoje życie. Ich pierwotnym stanem było niewolnictwo, ale z reguły otrzymywały wolność w uznaniu wierności i oddania. Najbardziej

zatroskana matka może bezpiecznie pozostawić swoje potomstwo piastunce, która prawdopodobnie będzie traktować jej syna lub córkę jak swoje własne dziecko i zapewni mu odpowiednią opiekę. Zupełnie odwrotnie niż niemieckie opiekunki, które zwykły traktować dzieci bezdusznie i je zaniedbywać! Wiele razy podczas spaceru miałam ochotę zbesztać jedną z tych służących, nawet jeśli jej nie znałam, za okrucieństwo wobec swojego delikatnego podopiecznego. Jakże inaczej zachowują się czarne piastunki! Zaczniemy od tego, że taka opiekunka może być w służbie swojej pani od lat, a być może nawet urodziła się w jej domu. Jest więc bardziej prawdopodobne, że nie będzie dążyła do własnych korzyści, a interes rodziny uczyni swoim własnym. Co równie ważne, taka piastunka bardzo często, a właściwie na ogół, nie musi rozstawać się ze swoim własnym dzieckiem. Je też to samo pożywienie co jej pani: to samo mleko, tę samą kurę. Jej dziecko kąpie się z księciem lub księżniczką, dostaje też po nich ubrania. Nawet jeśli służąca nie pełni już obowiązków opiekunki, jej dziecko pozostaje towarzyszem zabaw księcia lub księżniczki. Chyba nikt, oprócz naprawdę złej duszy, nie traktowałby źle przybranego brata lub siostry swojego dziecka.

Ten nieco patriarchalny system może tłumaczyć, dlaczego nasze piastunki są o wiele bardziej oddane i godne zaufania niż Europejki, którym często współczułam, pomimo ich odrażających braków, ponieważ konieczność zarabiania pieniędzy zmusiła je do opuszczenia własnych dzieci. Powiedziano mi, że te kobiety nie odczuwają bólu tak mocno, jak sobie wyobrażam, ale nie mogę w to uwierzyć. Nasze rodzime piastunki mają jednak jedną wadę: opowiadają swoim młodym podopiecznym

najbardziej nieprawdopodobne, potworne historie i legendy, czy to dla rozrywki, czy żeby ich uspokoić. Pełno w tych opowieściach lwów, lampartów, słoni i czarownic, czasem na tyle, aby przerazić dorosłych. Żadne napomnienia nie są w stanie zmienić tego zwyczaju.

Ogólnie rzecz biorąc, o wiele łatwiej jest wychowywać dzieci na Południu niż na Północy. Oszczędza im to wiecznych przeziębień, które prowadzą do wielu innych problemów ze zdrowiem. Dzieci są tu też bardziej samodzielne i aktywne, mimo ich luksusowego życia, i mają więcej okazji do skakania i zabawy poza domem. Chociaż formalnie nie znamy gimnastyki, nikogo nie dziwi, że chłopiec bierze rozbieg i przeskakuje przez konia lub nawet dwa. Ulubionym sportem jest skok wzwyż, w którym każdy stara się prześcignąć innych. Pływanie stanowi równie popularną rozrywkę. Wszyscy uczą się go samodzielnie. Także strzelectwo jest podejmowane z entuzjazmem w dość młodym wieku. Chociaż chłopcy chodzą uzbrojeni po zęby i noszą przy sobie tyle samo prochu i śrutu co mężczyźni, rzadko słyszy się o wypadkach spowodowanych nieostrożnością.

Tylko do pewnego wieku młody książę mieszka pod ojcowskim dachem. Potem wyznacza mu się osobną rezydencję, do której się przenosi — z matką, jeśli ta żyje. Sułtan wypłacał mu pensję w określonej kwocie, którą może podwyższyć w momencie ślubu, powiększenia rodziny lub jeśli syn nienaganie się prowadzi, ale nie z innego powodu. Jeśli w Omanie akurat wybuchła wojna — co niestety zdarzało się często — wszyscy książęta, także nastolatki, byli zobowiązani do wstąpienia do wojska i wzięcia udziału w walce jak zwykli żołnierze. Dys-

cyplina w naszym domu była surowa, ale zwiększała szacunek synów sultana do ojca i sprawiała, że obdarzali go większą czcią. Jako małe dziecko często byłam świadkiem, jak jeden z moich starszych braci, oczekując na służącego, ofiarowywał mojemu ojcu swoje sandały, które sam zostawił przy drzwiach, gdy wchodził do pokoju.

Niewiele można powiedzieć o wychowaniu księżniczek. Na początku traktuje się je podobnie jak chłopców, tyle że po skończeniu siódmego roku życia dzieci płci męskiej mają znacznie więcej swobody poza domem. Młodej księżniczce wkłada się we włosy szeroki, ciężki srebrny grzebień, zgodnie z miejscową modą, aby tył jej głowy był płaski, gdy dorośnie. Jeśli wyjdzie za mąż za jednego ze swoich kuzynów, których w Omanie jest więcej niż na Zanzibarze, to oczywiście opuszcza dom ojca i przeprowadza się do męża. Jeśli pozostaje niezamężna, może dalej być pod opieką ojca lub przenieść się do brata. Każda siostra ma swojego ulubionego brata i nawzajem; w radości i w smutku trzymają się zawsze razem, pocieszają się i wspierają. To godne pochwały uczucie wzbudza też jednak zazdrość, kłótnie i wszelkiego rodzaju spory rodzinne.

Nieraz siostra prosiła sultana o wybaczenie przewinień popełnionych przez jej ulubionego brata, a ten, zwłaszcza wobec starszych córek, był skłonny okazać pobłażliwość. Jeśli któraś z nich przychodziła do niego, wychodził im naprzeciw i pozwalał usiąść obok siebie na sofie, podczas gdy dorośli synowie i my, młodsze dzieci, staliśmy obok z należytym szacunkiem i pokorą.

Rozdział VII

Edukacja na Wschodzie

Szkoła ma niewielkie znaczenie dla ludzi Orientu. W Europie życie Kościoła i państwa jest związane ze szkolnictwem, które ma wpływ na wszystkich: od księcia po biedaka. Tutaj los jednostki zależy w bardzo dużym stopniu, zarówno jeśli chodzi o rozwój jej charakteru, jak i przyszłe perspektywy, od osiągnięć edukacyjnych, które na Wschodzie mają małe znaczenie, a wielu mieszkańców nigdy nie chodziło nawet do szkoły. Pozwólcie, że zacznę moje rozważania na ten temat od opisanego systemu, który stosowano w moim domu.

W wieku około sześciu lub siedmiu lat wszystkie dzieci — chłopcy i dziewczęta — musiały rozpocząć edukację. Z tym że chłopców uczono czytać i pisać, a dziewczynki tylko czytać. W pałacach Bet il Mtoni i Bet il Sahel mieliśmy tylko po jednej nauczycielce, którą nasz ojciec sprowadził specjalnie z Omanu. Kiedy zachorowała i leżała przykuta do łóżka, my cieszyliśmy się przymusowymi wakacjami, bo nie dało się znaleźć zastępstwa. Nie mieliśmy osobnej sali lekcyjnej, lekcje odbywały się po prostu na dziedzińcu, w miejscu, do którego wstęp

miały także gołębie, papugi, pawie i inne ptaki. Mieliśmy stamtąd widok na podwórko, po którym cały czas krzątali się ludzie. Mata do siedzenia stanowiła całe umeblowanie naszej klasy. Równie skromne było wyposażenie, potrzebowaliśmy tylko stojaka na Koran (nazywanego *marfa*), domowej roboty atramentu i wybielonej łopatkki wielbłąda, po której łatwo się pisało i która nie wydawała zgrzytających dźwięków jak inne tego typu tabliczki. Takie tabliczki z wielbłądzich kości zwykle przygotowywali dla nas niewolnicy.

Na początku nauczyliśmy się skomplikowanego arabskiego alfabetu, za elementarz służył nam Koran, fragmenty którego chłopcy przepisywali. Ci, którzy potrafili już czytać dość płynnie, czytali na głos. Oczywiście nikt nam nigdy nie wyjaśnił, o czym właściwie czytamy. Dlatego tak naprawdę może jeden na tysiąc rozumie i jest w stanie wyjaśnić sens słów proroka Mahometa, chociaż może być i osiemdziesięciu na stu, którzy nauczyli się na pamięć co najmniej połowy świętej księgi. Dyskutowanie i spekulowanie na temat jej zawartości było uważane za bezbożne i skazujące na potępienie. Ludzie mieli po prostu wierzyć w to, czego ich uczono, i tej zasady kurczowo się trzymało.

O siódmej rano, po zjedzeniu kilku owoców, byliśmy już na werandzie, czekając na nauczycielkę. W oczekiwaniu na jej przybycie, urządzaliśmy mecze skoków i zapasów. Wspinaliśmy się po balustradzie, starając się jak najbardziej ryzykować życiem. Jedno z nas stało jako wartownik w odpowiednim miejscu, skąd — kaszląc — ostrzegało resztę o zbliżającej się nauczycielce. Wtedy wszyscy padaliśmy na matę i w mgnieniu oka wyglądaliśmy już jak obrazek niewinności. Na widok nauczy-

cielki podrywaliśmy się na równe nogi, by oddać jej posłuszną cześć. W jednej ręce trzymała ogromny metalowy pojemnik z atramentem, a w drugiej odrażającą bambusową laskę. Staliśmy więc grzecznie, dopóki nie usiadła, a wtedy szliśmy za jej przykładem. Siadaliśmy po turecku wokół niej, a ona recytowała rozdział otwierający Koran, czyli pierwszą surę, która dla mahometan jest tym, czym dla chrześcijan „Ojcze nasz” i brzmi następująco: „W imię Boga Miłosiernego, Miłującego. Chwała Bogu, Panu światów. Miłosiernemu i Miłującemu, Władcy Dnia Sądu. Tylko Ciebie czcimy i tylko Ciebie prosimy o pomoc. Prowadź nas drogą prostą, drogą tych, których obdarzyłeś Swymi błogosławieństwami, a nie tych, którzy zasłużyli na Twój gniew, ani tych, którzy zblądzili”. Następnie wspólnie powtarzaliśmy za nią tę surę, kończąc ją zwyczajowym *amin* (nie amen).

Po tym przychodził czas na powtórkę tego, czego nauczyliśmy się poprzedniego dnia, następnie przerabialiśmy nowe fragmenty do czytania i pisania. Lekcja trwała do dziewiątej, kiedy to mieliśmy przerwę na śniadanie, po czym wracaliśmy i uczyliśmy się aż do drugiej modlitwy w południe. Wolno nam było przyprowadzać na lekcje niewolników, którzy zwykle siadali w pewnej odległości za nami. My usadawialiśmy się z przodu, nie mieliśmy na stałe przypisanych miejsc ani podziału na klasy. Nie znaleźliśmy systemu ocen, który jest tak ważny w europejskich szkołach. Nauczycielka ustnie powiadamiała rodziców o naszych postępach i o naszym dobrym lub złym zachowaniu w czasie lekcji. Nakazano jej, aby karała nas surowo za każdym razem, kiedy uzna to za stosowne, a my często dawaliśmy jej powody do użycia różgi.

Poza czytaniem i pisaniem uczono nas podstawowej arytmetyki, tj. liczenia na piśmie do stu i w głowie do tysiąca. Wszystko ponadto było uważane za złe. Nie przykładano w ogóle wagi do gramatyki i ortografii, te dziedziny można było opanować dopiero po wielu latach czytania. O takich przedmiotach, jak historia, geografia, matematyka, fizyka i inne usłyszałam dopiero po moim przyjeździe do Europy. Nie jestem jednak pewna, czy po tym, jak z dużym wysiłkiem udało mi się nieco poznać te dziedziny, jest mi lepiej niż ludziom z moich rodzinnych stron. Moja nowa wiedza nie uchroniła mnie przed byciem wielokrotnie oszukiwaną. Szczęśliwi ci, którym oszczędzono trosk leżących za oślepiającą zasłoną cywilizacji!

Oczywiście cały plan naszej nauki nie przewidywał jakichkolwiek przygotowań po godzinach. Chociaż nauczycielka w uczniach wzbudzała strach, była otoczona szacunkiem i respektem. Nieraz wzywano ją do pełnienia roli mediatora między osobami, które nie mogą dojść do porozumienia w jakiejś kwestii. Odgrywała więc rolę, którą katolicy zwykle powierzają duchownym. Jest jednak pewna rzecz, która cechują zarówno naszych, jak i zachodnich nauczycieli. Mam na myśli skłonność do przyjmowania drobnych łapówek od uczniów. Kiedy moje dzieci w Niemczech prosiły mnie o pieniądze, by kupić kwiaty dla panny takiej a takiej, od razu przypominałam sobie swoje własne dzieciństwo. Takie zachowanie nie jest specyficzne dla żadnego narodu, można je zaobserwować na całym świecie. Zanim jeszcze dowiedziałam się, że istnieje takie miejsce jak Niemcy, ofiarowywałam mojej nauczycielce — podobnie jak inni — różne słodycze, aby zyskać jej przychyłność. Próbowalam przebłagać ją najsmaczniejszymi francuskimi bonbona-

mi, które dawał nam ojciec. Niestety, obiekt naszych zabiegów był ofiarą bólu zębów i dlatego raczej chłodno odnosił się do naszej dyplomacji. Nauczycielka myślała zapewne, że karmiąc ją słodyczami, mieliśmy nadzieję wywołać u niej taki ból zębów, że będzie zmuszona dać nam wolne.

Nie mieliśmy z góry ustalonych lat nauki szkolnej. Wszyscy mieli nauczyć się tego, co uważano za stosowne, a czas, jaki to zajęło, był uzależniony od zdolności każdego z uczniów. Jeden mógł nauczyć się w rok, drugi dwa, a trzeci potrzebował jeszcze więcej czasu. Na Wschodzie istnieją co prawda szkoły, ale uczęszczają tam dzieci z biedniejszych rodzin. Wszyscy, których na to stać, zatrudniają prywatnych nauczycieli i guwernantki. Zdarza się, że sekretarz pana dom udziela lekcji dziewczętom, ale tylko wtedy, kiedy są jeszcze bardzo młode.

Ze względu na moje pochodzenie trudno mi nie porównywać wschodniego sposobu nauczania z systemem europejskim, którego przywilejami cieszyły się moje dzieci. Z pewnością istnieje wielka rozbieżność pomiędzy niemieckim wręcz przesadnym wykształceniem a arabską ignorancją. Tutaj wymaga się zbyt wiele, tam zbyt mało. Przypuszczam, że te różnice nigdy się nie zatrą, lecz będą trwać do końca świata, ponieważ żadna rasa nie wydaje się zdolna do znalezienia złotego środka. W Europie w umysły dzieci wypycha się większą ilością wiedzy, niż są w stanie przyswoić. Po rozpoczęciu nauki szkolnej rodzice rzadko je widują. Z powodu różnych zadań, które należy wykonać na następnym dniu, prawdziwe życie rodzinne nie wchodzi w rachubę, a rodzice tracą stały, przeważający wpływ na rozwój młodzieńczego charakteru. W ciągu dnia nie ma czasu na życie, bo jego miejsce zajmuje ciągły pośpiech i gonienie

z jednej lekcji na drugą. Za dużo czasu traci się na mozolne poznawanie faktów, które mają okazać się zupełnie bezużyteczne. Dzieci uczą się ich tylko po to, żeby później o nich zapomnieć! Jak pochylać system okradający młodych ludzi z czasu, który mogliby lepiej spędzić w domu?

Poza tym biedactwa są codziennie zamykane na pięć lub więcej godzin w przestrzeni wielkości więziennej celi nazywanej szkolną klasą, gorącej i dusznej nie do opisania. W szkole moich dzieci są tylko cztery kubki do picia wody, a uczą się tam dwie setki dzieci! Czy nie obrzydziłoby to matki, która chciałaby ucałować swoje dziecko po powrocie z tego miejsca? Czy można się dziwić, że w takich warunkach maluchy chorują? Nawet jeśli matka w domu czyni wszystko, aby utrzymać je w zdrowiu, to duszne powietrze budynku szkolnego musi udaremnić wszystkie jej wysiłki. Jak nędznie wygląda wielu uczniów w tym kraju i jak moje serce krwawi z powodu ich żalostnego stanu! Dajcie im tę naszą otwartą, przewiewną werandę. Co nam da najwyższe nawet wykształcenie, jeśli w trakcie jego zdobywania doprowadzimy ciało do ruiny?

Zauważyłam tutaj niewiele szacunku, który my wszyscy, moi bracia, siostry i ja, okazywaliśmy naszym rodzicom i nauczycielom, a właściwie po prostu starszym od nas ludziom. Również lekcje religii udzielane w szkołach nie wydają się tak skuteczne, jak powinny być, i nic dziwnego, skoro przybierają czysto mechaniczną formę: niekończące się listy dat z historii Kościoła, których dzieci uczą się na pamięć, zamiast zachęcania ich do regularnego uczęszczania do kościoła, gdzie dobre kazanie zainspirowałoby je o wiele bardziej niż te jałowe fakty historyczne. My też musieliśmy zapamiętywać to,

czego uczyliśmy się na lekcjach, ale nie z całkowitym zaniedbaniem duszy, która tutaj cierpi kosztem umysłu. Dzieci za dużo uczą się tu z książek — takie jest moje zdanie. Wszyscy chcą przez edukację wznieść się tak wysoko, że w końcu praca fizyczna staje się dla nich hańbą; zbyt wielką wagę przywiązuje się do wiedzy i kultury. Dlatego też nie należy się dziwić, jeśli skromność, uczciwość, pobożność i zadowolenie ustępują miejsca przerażającej bezbożności, pogardzie wobec wszystkiego, co święte i ustalone, oraz pozbawionej skrupułów pogoni za dobrami tego świata. Z tak zdobytym wykształceniem rosną potrzeby ludzi i ich wymagania względem życia, stąd tak surowa i bezduszna konkurencja pomiędzy nimi. Tak, umysł jest kultywowany, ale serce pozostawia się samemu sobie. Należy studiować najpierw słowo Boże i jego święte przykazania, a spekulacjami na temat „siły i materii” zająć się w dalszej kolejności.

Z przerażeniem zauważyłam kiedyś w tabeli statystycznej obłądki, że ogromna większość tych nieszczęśników rekrutowała się z byłych uczniów gimnazjów i wybitnych instytucji naukowych. Niewątpliwie wielu z nich popadło w idiotyzm przez swoje ambicje do zdobycia dobrego wykształcenia. Nie mogłam nie pomyśleć o moim własnym kraju, w którym nawet nie ma czegoś takiego jak azyle dla obłąkanych. Nigdy nie słyszałam tam nawet o żadnych szaleńcach oprócz dwojga, jednego Murzyna i kobiety z Indii.

Kultura europejska obraża poglądy mahometan na niezliczone sposoby. Europejczycy często wysmiewają połowiczne wykształcenie Turków, a jednak Turcy zrobili więcej, niż jest to dla nich dobre, aby stać się cywilizowanymi, choćby tylko

powierzchnie. Osłabili się tymi staraniami, pomimo których pozostali w oczach Europejczyków niecywilizowani, ponieważ cywilizacja europejska przeczy i sprzeciwia się wszystkim ich podstawowym wartościom. Nie można wytworzyć cywilizacji siłą i należy dać innym narodom prawo do podążania za własnymi ideami i tradycjami – które musiały powstać w wyniku dojrzałego doświadczenia i praktycznej mądrości w poszukiwaniu oświecenia na własną modłę. Pobożny Arab poczułby się głęboko urażony, gdyby ktoś próbował zaszczerpieć w nim naukę, według której nie może być kultury wyższej niż europejska. Byłoby to dla niego szokiem, wstrząsnęło jego mentalnością, gdyby ktoś mówił mu o „prawach naturalnych”, ponieważ Arab w całym wszechświecie, nawet w jego najdrobniejszych elementach, oczami swojej niezłomnej wiary widzi tylko jedną rzecz – wszechprzewodzącą, wszechzarządzającą rękę Boga!

Rozdział VIII

Moda

Tutaj w Europie ojciec rodziny wydziela swojej żonie i niezamężnym córkom określoną kwotę pieniędzy na miesiąc lub kwartał i na tym kończą się jego obowiązki w zakresie zapewnienia im strojów. Zupełnie inaczej jest na Zanzibarze. Nie mamy tam żadnego przemysłu, a w konsekwencji ani jednej fabryki. Materiały i gotowa odzież dla całej populacji sprowadzane są z zagranicy.

Z tego powodu mój ojciec utrzymywał rozbudowany system wymiany barterowej. Raz w roku flota jego żaglowców, załadowanych rodzimymi produktami, zwłaszcza goździkami i przyprawami, wyruszała do portów brytyjskich, francuskich, perskich, indyjskich i chińskich. Tam z kolei nasi przedstawiciele dokonywali ich wymiany na zagraniczne towary. Kapitanowie zawsze zabierali ze sobą niezwykle długą listę potrzebnych artykułów, z których większość w jakiś sposób wiązała się z ubraniami. Na powrót statków czekano oczywiście z wielką niecierpliwością, ponieważ oznaczał on nie tylko coroczny podział łupów, lecz także niejako otwarcie nowego sezonu w modzie.

Dla nas, dzieci, to zawsze była rozkoszna niespodzianka, ponieważ statki przywoziły nam z Europy rozmaite piękne zabawki. Po przybyciu floty ustalano dzień, w którym towary miały być rozdawane wysoko i nisko postawionym, starym i młodym. Jakieś dwadzieścia lub trzydzieści skrzyń było pełnych zabawek: koników, wózków, lalek, rybek i kaczuśzek, którymi można było poruszać za pomocą magnesu, pozytywek wszelkich rozmiarów, harmonijek, fletów, trąbek, pistoletów i innych. Jeśli prezenty nam się nie spodobały, biada kapitanowi! To on był za to odpowiedzialny, bo powierzono mu pełnię władzy. Chociaż nie nakładano na niego żadnych ograniczeń, miał rozkaz kupować tylko to, co najlepsze, bez względu na koszty.

Podział wszystkich przywiezionych rzeczy w Bet il Mtoni i Bet il Sahel zajmował trzy lub cztery dni, należało bowiem obdarować kilkaset osób. Eunuchowie zajmowali się rozpakowywaniem i sortowaniem, a kilka starszych córek sułtana dokonywało właściwego przydziału. Zazdrość, zawiść i złośliwość były niestety bardziej widoczne przy tej szczęśliwej okazji niż w jakimkolwiek innym czasie w roku. Materiały na suknie, czy to proste czy kosztowne, były rozdzielane tylko po kawalku, a to, czego się nie chciało, można było zamienić na inny artykuł. Takie handlowanie mogło zająć nawet dwa tygodnie. Ponieważ nie miałyśmy stołów, kroiliśmy tkaniny, siedząc na podłodze. Pracowałyśmy nożyczkami tak gorliwie, że co chwilę któraś z nas rozcinała sobie niechcący własne ubranie.

Statki przywoziły też piżmo, bursztyń, olejek z płatków róż, wodę różaną i inne perfumy, a także szafran (który kobiety mieszają z różnymi innymi składnikami i używają do wło-

sów), jedwabie we wszystkich odcieniach, złote i srebrne nici do haftowania, tkane złożone guziki — słowem wszystko, co należało do toalety arabskiej damy. Każda z nas dostawała też pewną sumę srebrnych dolarów zależnie od rangi i wieku. Niektóre rozrzutne kobiety wydawały czasem w ciągu miesiąca więcej, niż otrzymały. Wtedy musiały błagać ojca lub męża o dodatkowe pieniądze, ale należało to czynić w wielkiej tajemnicy, gdyż marnotrawstwo nie było mile widziane i mogło się skończyć reprimendą. Jak w każdym innym gospodarstwie domowym, taki i u nas oprócz osób rozrzutnych były też bardzo oszczędne, które uważały, że nie należy trzymać niewolników na pokaz, ale wykorzystywać ich jedynie do prac przynoszących wymierne korzyści. Takie osoby kazały swoim niewolnikom szkolić się w różnych rzemiosłach. Mężczyźni uczyli się ciesielstwa czy rymarstwa, a kobiety szycia, tkania i modniarstwa. Rzeczywiście była to dobra metoda oszczędzania. Ci, którzy zaniedbywali edukację niewolników, musieli za te same usługi płacić obcym i często nie byli w stanie związać końca z końcem. Szczególnie cenieni byli niewolnicy obeznani z handlem, a jeśli zostali wyzwoleni, łatwiej im było się utrzymać. W Omanie, gdzie ludzie trzymają niewielu niewolników, wszystkich uczy się jakiegoś zawodu, aby mogli z korzyścią służyć zarówno swoim panom, jak i sobie. Wielu czarnych niewolników z Zanzibaru wysyłano do Omanu, aby tam się uczyli, co też znacznie podnosiło ich cenę.

Wracając zaś do przywożonych statkami darów, to jeśli w okresie ich rozdzielania przebywał u nas akurat jakiś gość, otrzymywał taki sam udział, wliczając w to gotówkę, do jakiego miał prawo domownik tej samej rangi. Cokolwiek zo-

stało z całego ładunku, sułtan wysyłał do swoich krewnych w Omanie.

Ponieważ na równiku panuje wieczne lato, a mieszkańcy znają cztery pory roku tylko z nazwy, łatwo zaopatrzyć się na cały rok. Konieczność przygotowania się na jesień, zimę i wiosnę znacznie utrudniłaby całą sprawę. Pora deszczowa, która trwa sześć lub osiem tygodni i podczas której temperatura spada do osiemnastu stopni Réaumura¹, to cała zima, jaką znają ludzie żyjący w tym regionie. W tym wilgotnym, ale nie zimnym okresie zwykle ubieraliśmy się w aksamit i inne ciężkie rzeczy, a zamiast czekać na śniadanie do dziewiątej, piliśmy herbatę i przegryzaliśmy herbatniki godzinę lub dwie wcześniej.

Wszystkie ubrania były robione ręcznie; o maszynach do szycia nie słyszano w czasach mojej młodości. Na Wschodzie dla obu płci obowiązują te same proste kroje. Kobiety Orientu nie znają szkodliwego, obrzydliwego zwyczaju wiązania gorsetów. Ubrania szyje się w tym samym stylu każdego roku, zmieniają się jedynie materiały. Europejczyk narzekałby zapewne na monotonię, niemniej jednak w Europie ciągle zmiany mody powodują kłótnie rodzinne i sceny z powodu nadmiernych wydatków. Nie łudzę się, że moja opinia cokolwiek zmieni ani też nie chciałbym zamienić moich oświeconych europejskich przyjaciół w filistynów, ale pozwolę sobie zauważyć, że arabskie kobiety są o wiele mniej ekstrawaganckie. Mają mniej rzeczy. Nie potrzebują zimowego płaszcza lub peleryny, innego na wiosnę, nieprzemakalnego na lato, mnóstwa sukier-

¹ Około dwudziestu dwóch stopni Celsjusza — przyp. tłum.

nek, kilkunastu kapeluszy (w Europie są panie, które mają osobny do każdego stroju), kilku parasoli przeciwsłonecznych pasujących do kapeluszy i sukienek itd.

Strój arabskiej kobiety jest prosty bez względu na jej pozycję społeczną. Nosi koszulę sięgającą do kostek oraz parę długich, szerokich spodni ściągniętych nad stopami — nie krótkie pumpy — i chustę na głowę. Stroje szyje się z różnych materiałów. Bogate kobiety wolą złote brokаты w wielu wydaniach, bogato obszyte aksamity lub jedwabie, ale w bardzo gorące dni zadowolają się zwykłymi lekkimi perkalami lub muślinami. Koszula i spodnie nigdy nie mają takiego samego wzoru. Koszula nie może być również zbyt długa, żeby nie ukrywać haftów na spodniach i złotych bransolet, na jednej z których zawsze zawieszona jest kilka złotych dzwoneczków wydających przyjemny dźwięk przy każdym kroku. Z owiniętej wokół czoła przepaski zwisają dwie długie wstążki z dużymi frędzlami opadającymi na plecy lub po jednej z każdej strony. Jedwabna chusta sięga aż do kostek.

Kiedy arabska dama wychodzi z domu, okrywa się szalem, który jest jej żakietem, peleryną, płaszczem i ochroną przed deszczem w jednym. To duża chusta z czarnego jedwabiu, obszyta na brzegach złotymi lub srebrnymi wzorami, których bogactwo zależy od zamożności i gustu właścicielki; ale ani bogata, ani biedna kobieta nie ma więcej niż jednej, dlatego jej styl nigdy się nie zmienia. Moim skromnym zdaniem orientalna dama, z całym swoim wolnym czasem i beczynnością wymuszona przez upał, ma lepszy pretekst do zajmowania się swoimi strojami niż bystra, zapracowana Europejka. Muszę przyznać, że nie mieści mi się w głowie, jak tak mądrzy ludzie, o tak wy-

sokim rozwoju umysłowym, mogą być do tego stopnia pochłonięci błahostkami tego rodzaju.

W czasie pory deszczowej dobrze sytuowani zakładają *djocha*, rodzaj długiej peleryny sięgającej do stóp, bogato haftowanej i złotonej. Nosi się ją w domu, na wszystko inne. *Djocha* ma u góry otwór, a na piersi przytrzymują ją metalowe klamry. Starsze panie wolą zwykle gruby perski szal.

Byliśmy jednak przygotowani na wszelkie ewentualności, a pałac był wyposażony w system grzewczy. W zimne dni umieszczano się mosiężny trójnóg stojący piętnaście centymetrów nad podłogą na środku pokoju i wypełniało go rozżarzone węglem drzewnym, a po pomieszczeniu rozchodziło się przyjemne ciepło. Wtedy również wypadał sezon zbiorów kukurydzy. Obieraliśmy kolby i umieszczaliśmy je na trójnogu, aby się upiekły. Były gotowe już po około pięciu minutach. W międzyczasie ziarna ciągle strzelały, co było wspaniałą rozrywką dla nas, dzieci. Jednak nawet wtedy, kiedy ogrzewaliśmy pomieszczenie piecem, drzwi i okna były z reguły otwarte.

Rozdział IX

Podróż sułtana do Omanu

Kiedy miałam jakieś dziewięć lat, sułtan wybrał się w podróż do Omanu, jak to miał w zwyczaju co trzy lub cztery lata, aby doglądać swoich azjatyckich posiadłości. Mój skromny brat Tueni reprezentował go w Maskacie, zarówno jako władcę, jak i głowę rodziny. Tym razem jednak ojciec miał ważny powód, aby odwiedzić Oman. Persowie kilkakrotnie najeżdżali region Bandar Abbas, co prawda bez większego powodzenia, mogło to jednak doprowadzić do wojny. To niegdyś perskie, niewielkie terytorium, strategicznie dość ważne, ponieważ położone u ujścia zatoki, nigdy nie przyniosło mojemu ojcu żadnych realnych korzyści, a wręcz przeciwnie, dawało obfite żniwo kłopotów i wydatków. Tak więc jego ostateczna utrata nie okazała się dla nas nieszczęściem. Gdy trakt Bandar Abbas był w naszym posiadaniu, Persowie ani przez chwilę nie dawali nam spokoju, za co zresztą trudno ich winić.

Ponieważ nie mieliśmy do dyspozycji parowców, a jedynie żaglowce, byliśmy całkowicie zależni od kaprysów wiatru, a termin podróży często trzeba było przesuwac. Przygotowania

trwały co najmniej osiem lub dziesięć tygodni, ponieważ na taki mniej więcej czas należało zapewnić żywność dla tysiąca osób. Wypiekanie niepsującego się ciasta bardzo długo trwało. Nie znaleźliśmy piklowanego mięsa, a konserwy, nawet gdybyśmy mieli do nich dostęp, i tak zostałyby w islamie uznane za nieczyste. Dlatego też zabierano na pokład ogromną liczbę żywego bydła, w tym nawet kilkanaście mlecznych krów. Ilość ładowanych na pokład owoców wymyka się moim obliczeniom, ale wiem, że wszystkie nasze czterdzieści pięć plantacji wysyłało w tym celu swoje plony przez wiele dni. Nic dziwnego, że podczas rejsów czasem wybuchała epidemia czerwonki.

Każdy z synów mógł wsiąść na pokład, ale zwykle zabierano tylko kilka córek i mniej ważnych żon ze względu na niewygody podróży. Niewielu z nas zresztą chciało odwiedzić Oman, którego zarozumiali mieszkańcy lubili traktować przybyszów z Zanzibaru jak gorszych od siebie. Nawet członkowie naszej rodziny urodzeni w Omanie przyjmowali taką postawę względem swoich zanzibarskich krewnych, zakładając, że musimy być podobni do Murzynów, ponieważ wychowaliśmy się pośród nich. Naszą najbardziej typową reakcją na traktowanie nas z góry było mówienie w innym języku niż arabski.

Jak już wspomniałam, w Omanie mieliśmy wielu potrzebujących krewnych i przyjaciół, którzy wraz z przybyciem sułtana oczekiwali darów, przez co musieliśmy zabierać jeszcze większy ładunek. Podróże uzupełniały też skromną i nieczęstą korespondencję z Azją. Nieznajomość sztuki pisania okazywała się jednak w wielu przypadkach poważną trudnością. Za niepiśmienne osoby listy musiał pisać ktoś inny, a potem obcy ludzie czytali je adresatom. Moi bracia i służący, którzy nabyli umiejętność

pisania, byli z tego powodu oblegani, a jeśli odmówili, trzeba było szukać pomocy kogoś spoza domu. Oto przykład tego, co mogło się zdarzyć:

Pewna dama przywołuje swego zaufanego niewolnika i mówi mu: „Feruz, idź do takiego a takiego kadiego. Powiedz mu, żeby napisał piękny list do mojego przyjaciela w Omanie i zapłać mu tyle, ile zażąda”. Wyjaśnia mu ze szczegółami, co ma być zawarte w liście. Niestety kadi jest zajęty. W tym samym czasie nagabuje go tuzin innych korespondentów, tak że w końcu mieszają mu się zlecenia. Feruz wraca triumfalnie do swojej pani z napisanym przez kadiego listem, ale ta jest na tyle ostrożna, że każe komuś piśmiennemu przeczytać sobie treść korespondencji. Pierwszym uczuciem, które ją ogarnia, jest zaskoczenie, a zaraz po nim przerażenie. List jest pod każdym względem źle napisany: tam, gdzie pani chciała złożyć kondolencje, kadi wyraził gratulacje i tak dalej. Tak list często bywa więc pisany kilka razy przez różne osoby, zanim zostanie wysłany.

W końcu wszystko było gotowe do wypłynięcia. Jeden statek był zarezerwowany dla mojego ojca i członków jego rodziny. Jego orszak miał płynąć wraz z bagażami na dwóch lub trzech innych statkach. Każdy statek musiał pomieścić pokaźną liczbę ludzi, ale podróżni ze Wschodu nie potrzebują dużo miejsca: nie domagają się osobnej kabiny, a kiedy zapada noc, rozkładają po prostu matę na pokładzie. Najpierw zaokrętowała się służba wraz z orszakiem sultana. Wczesnym rankiem przyszła kolej na kobiety. Mniej więcej w połowie dnia pojawił się Seyyid Saïd i jego męscy krewni. Moi bracia, Khaled i Madżid, jak pamiętam, zeszli na brzeg z kilkoma młodszymi braćmi, aby zobaczyć

sultana, który uczcił wypłynięcie salwą z dwudziestu jeden dział.

W domu, który wydawał się teraz opustoszały — choć ciągle zamieszkiwało go mnóstwo ludzi — bez głowy rodziny, zapadła cisza. Khaled, jako najstarszy syn sultana na Zanzibarze, miał go reprezentować podczas jego nieobecności. Przychodził do naszego domu kilka razy w tygodniu, aby zapytać, co u nas. Równie często udawał się do Bet il Mtoni, żeby odwiedzić mieszkańców i skonsultować się z naszą wysoko postawioną i potężną macochą Azze bint Sef.

Khaled był surowym zarządcą. Często mieliśmy powody, by obrażać się na jego surowość. Pewnego dnia w Bet il Sahel wybuchł pożar, który na szczęście został szybko ugaszony. Kiedy jednak wszystkie w panice pobiegłyśmy do drzwi, zastałyśmy je zamknięte i strzeżone przez żołnierzy z rozkazu Khaleda, który chciał uniemożliwić nam wystawienie się na widok publiczny w biały dzień. Innym razem wyrzucił z meczetu dalekiego, ale wpływowego krewnego za to, że ośmielił się ubiegać o rękę jednej z jego sióstr. Nieszczęsny zalotnik nie pokazał się już nigdy Khaledowi na oczy ani nie zapuścił się do meczetu, w którym kiedyś się modlił. Los jednak chciał, że po śmierci Khaleda i Seyyida Saïda odrzucony zalotnik miał poślubić inną z sióstr.

Na czas swojej nieobecności mój ojciec mianował Chole nadzorczynią — jeśli mogę użyć takiego określenia — dwóch domów: Bet il Sahel i Bet il Tani. Powierzenie tego zadania jasnej gwieździe naszej rodziny wzbudziło wielką dezaprobatę, oczywiście z powodu zazdrości. Mimo dobroci serca Chole nie mogła zadowolić wszystkich, była w końcu tylko zwykłym człowiekiem jak my wszyscy. Oczekiwano od niej rzeczy niemożliwych,

naruszono granice przekazanej jej władzy. To nie była wina Chole, że sułtan ją faworyzował, ale zazdrość zaślepiła rozum.

W międzyczasie nasi trzej kapitanowie żeglowali tam i z powrotem między Omanem a Zanzibarem, a my często otrzymywaliśmy wiadomości i prezenty od sułtana. Przybycie statku zawsze wywoływało więc wielką radość. Tylko na Południu można zobaczyć, jak rozemocjonowany i gwałtownie gestykulujący tłum robi taki tumult. Niestety, wkrótce Pan zabrał Khaleda do siebie. Władza została przekazana Madżidowi, który miał do niej prawo jako następny syn sułtana i którego miłe usposobienie podbiło wszystkie serca.

W końcu przybył z Omanu statek z radosną nowiną, że sułtan wraca. Wieść szybko się rozeszła i ucieszyła wszystkich mieszkańców wyspy. Po ponaddwuletniej nieobecności mojego ojca bardzo za nim tęskniono. Ktokolwiek nie czuł do niego prawdziwego przywiązania, przynajmniej oczekiwał jego powrotu z radością ze względu na prezenty, które dostawali wszyscy na Zanzibarze, starzy i młodzi. Jednak kiedy minął czas, który powinien wystarczyć podróżnym na przebycie dystansu między Omanem a naszą wyspą, w zasięgu wzroku nie pojawił się ani jeden statek. Zarówno w mieście, jak i na wsi czuć było niepokój. Warto w tym momencie wyjaśnić, że Arabowie są uzależnieni od wypytywania tak zwanych jasnowidzów o przyszłość, co na Zanzibarze, jak również wśród Suahilijczyków, prowadzi do nieprawdopodobnych wręcz nadużyć. Cyganie mogliby się wiele nauczyć od swoich suahilijskich braci, którzy zatrwając często dopuszczają się oszustw, choć z drugiej strony trzeba przyznać, że spotykają się z zadziwiającą wręcz łatwowiernością. Ponieważ próbowano na wszelkie spo-

soby dowiedzieć się, dlaczego podróż sultana się przedłużyła, mieliśmy istny wyps jasnovidzów. Przybywali ze wszystkich części wyspy, nawet tych najodleglejszych. Jeśli byli bardzo starzy, przywożono ich na osiołkach.

O najbardziej zdumiewającej z tych postaci mówiono, że ona, a raczej jej nienarodzone jeszcze dziecko, może przepowiadać przyszłe wydarzenia, i ponoć dlatego po nią posłano. Dość dokładnie pamiętam dzień, w którym się pojawiła. Była nadzwyczaj masywnej postury. Dziecko, które – jak twierdziła – nosiła w swoim łonie od lat, miało być obdarzone wszechwiedzą: nic, co działo się na wysokości górskich szczytów lub w głębinach mórz, nie mogło się przed nim ukryć. Niektórzy pytali, jak się miewa sultan i dlaczego jego podróż trwa tak długo. Dziecko odpowiadało wprost z brzucha cichym, piskliwym głosem. Kilka trójmasztowców, jak twierdziło, zmierzano w stronę Zanzibaru. Obiecywało też przyjrzeć się statkowi sultana, aby sprawdzić, co tam się dzieje, po czym zdawało szczegółową relację z aktywności poszczególnych członków załogi. Następnie nakazywało złożenie hojnej ofiary na przebłaganie duchów wody, aby czuwały nad podróżnymi i uchroniły ich od nieszczęścia.

Oczywiście ludzie sumiennie przestrzegali zaleceń jasnovidza, więc przez kilka dni zawodowi żebracy – a nasza piękna wyspa ma ich całe legiony – rozkoszowali się mięsem, drobiem i ryżem, które im rozdawano, nie mówiąc już o ubraniach i pieniądzach. W końcu odkryliśmy, ku naszemu wielkiemu obrzydzeniu, że padliśmy ofiarą brzuchomówczyń. Wszyscy wierzyliśmy w cudowne dziecko i jego zdolność do ujawniania tego, co niewidzialne, do odkrywania tajemnic ukrytych przed ludz-

kim okiem. Nikt z nas nigdy nie słyszał o brzuchomówstwie. Co więcej, mieszkańców Zanzibaru pociąga wszystko, co okultystyczne i tajemnicze. Im mniej zrozumiałe są więc okoliczności jakiegoś zdarzenia, tym bardziej prawdopodobne nam się to wydaje. Wszyscy wierzą w niewidzialne duchy: dobre i złe. Pokój, w którym zmarła jakaś osoba, jest przez wiele dni dokładnie okadzany, a ponieważ dusza zmarłego ma upodobanie do odwiedzania dawnego domu, wszyscy przez jakiś czas unikają tego miejsca, szczególnie w nocy, nikt nie poszedłby tam wtedy za żadne pieniądze.

Na Zanzibarze królują przesady. Choroba, zaręczyny, ciąża — wszystkie powody są dobre, żeby wezwać jasnowidza. Pyta się ich, czy choroba jest uleczalna i jak długo będzie trwała, czy można spodziewać się chłopca czy dziewczynki itd. W przypadku, gdy przepowiednia okaże się błędna, co zdarza się dość często, jasnowidz i tak znajdzie jakąś wiarygodną wymówkę. Powie, że akurat ten dzień był dla niego pechowy, ale następnym razem bez wątpienia pójdzie mu lepiej. I zawsze jakoś to przechodzi! Przepowiadanie przyszłości to tak dochodowy interes, że każdy, kto się tym zajmie, może bardzo szybko stać się bogatym człowiekiem.

Rozdział X

Śmierć Seyyida Saïda

Mijały dni i tygodnie, a sułtan nie przybywał. Pewnego popołudnia, gdy niektórzy byli jeszcze na modlitwie, dotarła do nas dobra wiadomość, że rybak zauważył kilka statków pływających pod naszą narodową flagą, choć ze względu na złą pogodę nie odważył się wypłynąć w ich stronę. To musiał być sułtan! Wszyscy rzucili się więc szykować najlepsze stroje i przygotowywać na to radosne wydarzenie.

Podczas gdy my kazaliśmy rybakowi powtarzać raz po raz, co widział, i tyleż razy przysięgać prawdziwość swoich słów, wysłano konnego posłańca do naszej macochy w Bet il Mtoni. Na podwórku zaczęła się rzeź, gotowanie i pieczenie. Mieszkania skrapiano perfumami. Wszystko miało wyglądać idealnie. Według rybaka statki miały przybyć już za kilka godzin. Madżid pospieszył z eskortą na spotkanie z ojcem. Popłynęli dwoma kutrami, walcząc ze sztormem i ryzykując zatopienie. Spodziewali się jednak, że tego wieczoru znów znajdą się w towarzystwie Seyyida Saïda.

Zapadła noc, a ciągle nie było widać żadnego statku. W mieście, a zwłaszcza w naszym domu, zapanował niepokój.

Po jakimś czasie podniesiono alarm. Przypuszczano, że Madżid i jego eskorta zginęli w burzy. Obawiano się, że cała flota zatonęła. Wymieniano przypuszczenia i domysły. Nikt, nawet niemowlęta, nie położyłby się spać, nie dowiedziawszy się o bezpiecznym przybyciu podróżników.

Nagle rozniosła się plotka, która początkowo nie znajdowała żadnego potwierdzenia, że pałac jest otoczony i strzeżony przez żołnierzy. Wszyscy rzuciliśmy się do okien, by to sprawdzić. Noc była ciemna jak smoła, ale od czasu do czasu dało się dostrzec błysk lufy karabinu, który to widok zdecydowanie nie działał kojąco na zdenerwowane kobiety i przerażone dzieci. Poza tym dano nam do zrozumienia, że żołnierze założyli na dom blokadę: nie można było ani wejść, ani wyjść. Wszyscy chcieli wiedzieć, co się stało i dlaczego nas zamknęto, ale najważniejsze było pytanie, kto był inicjatorem tych działań. Madżid, o ile wiedzieliśmy, nie powrócił. Również po jego domu, który był strzeżony podobnie jak nasz, kręcili się niespokojni mieszkańcy.

Kobiety i dzieci były tym bardziej przerażone, że eunuhowie i wszyscy mężczyźni niewolnicy spali poza pałacem. Kilka najodważniejszych przeniosło się do sali na parterze, gdzie przez okna mogły rozmawiać z żołnierzami. Żołnierze okazali się jednak nieugięci i trzymali się instrukcji, aby nie udzielać żadnych informacji. Posunęli się nawet do groźby zastrzelenia najgłośniejszych służących. Wszystkiemu towarzyszyły kobiece lamenty i krzyki dzieci, które nie dawały się uciszyć, a także pobożne modlitwy do Wszechmogącego. Trudno opisać panujący wtedy chaos. Ktoś, kto nagle zostałby przeniesiony do tego okropnego zamieszania tej strasznej nocy, musiałby pomyśleć, że znajduje się w zakładzie dla obłąkanych.

Nastał ranek, a my nadal nie wiedzieliśmy, dlaczego zostaliśmy uwięzieni i co się stało z Madżidem. Kiedy jednak rozchodziliśmy się o zwykłej godzinie modlitwy, ktoś oznajmił, że w porcie zakotwiczona jest flota z wywieszonymi żałobnymi flagami. Wtedy przybyli nasi bracia — bez sułtana. Wtedy też zrozumieliśmy, co oznacza żałoba na statkach i jaką niepowetowaną stratę poniósł naród: podczas podróży z Omanu na Zanzibar wierny Sługa Pański został wezwany na wieczny spoczynek. Rana postrzałowa w nodze, która tak długo go dręczyła, dokonała swego śmiertelnego dzieła. Zmarły był nie tylko oddanym ojcem swojej rodziny i narodu, lecz także najbardziej sumiennym z władców. Jak bardzo był kochany, pokazała jego śmierć: na każdym domu, nawet na najskromniejszej chacie, wywieszono czarną flagę.

Barghasz, który podróżował na statku naszego ojca i był świadkiem jego śmierci, przekazał nam smutne wieści. Byliśmy winni Barghaszowi podziękowania za uratowanie zwłok ojca od pochówku w oceanie, co byłoby zgodne z religią mahometańską. Ten jednak nalegał na sprowadzenie ciała z powrotem na Zanzibar i nakazał wykonanie na pokładzie swego rodzaju trumny dla jego zachowania. Chociaż kierował się głębokim uczuciem do swego ojca, popełnił poważne wykroczenie przeciwko naszym zasadom religijnym i zwyczajom. Nie uznajemy używania trumien, ponieważ wierzymy, że każdy — zarówno książę, jak i biedak — powinien wrócić w naturalnym stanie do ziemi, z której przybył.

Dowiedzieliśmy się też, dlaczego nocą pilnowali nas strażnicy. Madżid minął się w swojej małej, rzucanej na wszystkie strony przez sztorm łódce z Barghaszem, który — jako najstarszy

z rodziny na statku i dowodzący flotą — wyładował zwłoki niepostrzeżenie, by pochować je potajemnie na naszym cmentarzu. Tradycja nakazuje, by w przypadku sporu o sukcesję, sprawę rozstrzygnąć publicznie w obecności zmarłego. Barghasz pragnął jednak sam przejąć władzę. Wiedział, że gdyby doszło do wymaganej przez nasze prawo, uroczystej debaty, to jego starszy brat Madżid byłby pierwszym pretendentem do tronu, postanowił więc temu zapobiec. Zaraz po przybiciu do brzegu nakazał otoczenie obu pałaców. Jego plan się nie powiódł, ponieważ nie złapał Madżida, który jeszcze nie wrócił z morza. Barghasz próbował później usprawiedliwić swoje postępowanie tym, że chciał zapobiec możliwemu wybuchowi rewolucji.

Ostatecznie to Madżid został władcą Zanzibaru i ogłosił się sułtanem jeszcze tego samego dnia. Wszyscy mieliśmy jednak wątpliwości, czy uda mu się utrzymać władzę. Nasz najstarszy brat Tueni, który mieszkał w Omanie, miał bowiem prawo do tronu. Nie było wykluczone, że spróbuje odebrać Madżidowi Zanzibar siłą.

W czasie żałoby po Seyyidzie Saïdzie wszyscy musieliśmy zrezygnować z naszych pięknych ubrań i zamienić je na grubą czarną wełnianą odzież; pięknie haftowane welony ustąpiły miejsca welonom ze zwykłego czarnego materiału. Nie wolno było namaszczać się olejami ani perfumować. Ktokolwiek skropił odrobiną wody różanej swoje ubranie, aby zamaskować nieprzyjemny zapach barwnika indygo, narażał się na uznanie go za bezdusznego lub kokieterijnego. Przez pierwsze kilka dni dorośli spali na podłodze, a nie w łózkach, aby okazać swój szacunek dla zmarłego, który leżał w twardej ziemi. Przez całe dwa tygodnie nasz dom przypominał hotel, a każdy, żebrak czy ksią-

żę, mógł przyjść i jeść do woli. Zgodnie ze starą tradycją gotowano w dużych ilościach ulubione danie zmarłego sultana i serwowano je biednym.

Żony zmarłego sultana, zarówno główne, jak i drugorzędne, musiały przejść okres religijnej żałoby, która trwa cztery miesiące. Nieszczęśnice spędziły cały ten czas w ciemnych pomieszczeniach. Nie wolno im było celowo wystawiać się na światło dzienne, a tym bardziej na promienie słoneczne. Jeśli wdowa była z jakiegoś powodu zmuszona opuścić swój zamknięty pokój, zarzucała na welon ciężką czarną tkaninę, tak że z trudem odnajdywała drogę. Długotrwałe zamknięcie w ciemności jest szkodliwe dla oczu, dlatego trzeba potem zachować pewną ostrożność w przyzwyczajaniu ich do światła. Zgodnie ze zwyczajem na początku tego okresu kadi, czyli muzułmański odpowiednik sędziego, przypomina kobietom, które oczywiście występują przed nim w pełni zakryte, o ich wdowieństwie w pewnych ustalonych zwrotach. Gdy miną cztery miesiące, ten sam urzędnik kończy ich odosobnienie przez wypowiedzenie innej formuły.

W tym czasie wdowy muszą też poddać się rytualnemu obmyciu od stóp do głów. Podczas tego obrzędu za każdą z kobiet stoi służąca, bijąc parą mieczy nad głową swojej pani. (W przypadku wdowy po biedaku dozwolone jest bicie parą gwoździ lub czymkolwiek z żelaza). Ze względu na dużą liczbę żon pozostawionych przez mojego ojca ceremonia obmycia nie mogła się odbyć w łaźniach, choć były one rozległe. Przeprowadzono ją więc nad brzegiem oceanu, co zaowocowało dziwnym, ożywionym spektaklem. Po tym wszystkim wdowy mogły wreszcie się przebrać. Wtedy też uznawano, że kwalifikują się do ponowne-

go małżeństwa. Zazwyczaj żony sultana pokazywały się w domu wszystkim męskim krewnym i ich własnym męskim służącym, ale podczas tych czterech miesięcy nie mogli ich zobaczyć żadni mężczyźni poza braćmi i przyrodnimi braćmi.

W pierwszym roku po śmierci Seyyida Saïda niektórzy z nas przychodzili na miejsce jego pochówku w każdy czwartek, w przeddzień mahometańskiej niedzieli. Grób był prostokątną budowlą przykrytą dużą kopułą, w której spoczywało kilkoro z moich braci i sióstr. Po odmówieniu pierwszej sury Koranu, a następnie innych modlitw, poproszeniu Wszchemmogącego o wybaczenie grzechów zmarłym, wylewaliśmy na miejsca ich spoczynku olejek z płatków róż i wodę różaną, które dodatkowo pachniały bursztynem i piżmem, cały czas głośno lamentując nad naszą stratą. Mahometanie wierzą mocno w nieśmiertelność duszy. Wierzą też, że (niewidoczne dla oczu) duchy zmarłych odwiedzają od czasu do czasu swoich żyjących przyjaciół, którzy okazują im zainteresowanie przez nabożeństwa przy grobach. Krótko mówiąc, kult zmarłych jest dla nas bardzo ważny. Kiedy mahometanin o dobrej reputacji przysięga na głowę lub imię kogoś zmarłego, wiesz, że prędzej zginie niż złamie swoją przysięgę.

Po tym jak wysłaliśmy statek do Omanu, aby poinformować o ogromnej stracie, którą wszyscy ponieśliśmy, mój brat Muhammad, reprezentujący wszystkich moich braci i siostry w Omanie, przybył na Zanzibar, aby nadzorować podział dziedzictwa. Po czym wrócił do Maskatu zaraz po wykonaniu tego zadania. Muhammad był uważany za najbardziej pobożnego członka całej naszej rodziny; od młodości starał się unikać spraw doczesnego świata. Niechętny bogactwu i jego zewnętrzn-

nym przejawom, nigdy nie korzystał ze swojej pozycji księcia. Tym bardziej nie podobał mu się luksus dworu na Zanzibarze, zwłaszcza że Oman nie znał takich wspaniałości. Czuł się nieszczęśliwy w otoczeniu tych wszystkich luksusów, dlatego chciał jak najszybciej wrócić do swojego zwykłego, prostszego życia.

Kwestia sukcesji nie została właściwie rozstrzygnięta. Madżidowi, który panował na naszej wyspie, wcale nie zależało na tym, żeby Tueni, który objął władzę w Omanie, uznał go za sułtana Zanzibaru, czego zresztą Tueni nigdy nie zrobił. W końcu dzięki brytyjskim wpływom udało się osiągnąć pewien kompromis. Madżid zobowiązał się do płacenia starszemu bratu określonej sumy każdego roku, jednak dotrzymał umowy tylko przez krótki czas. Zaprzestał płacenia, ponieważ mogłoby to wyglądać na hołd dla władcy od wasala. Tueni był bezradny: miał dość kłopotów u siebie i był o wiele za biedny, by zbrojnie dochodzić swoich praw od bogatego władcy Zanzibaru. I tak bez podpisania żadnego paktu Zanzibar i Oman odłączyły się od siebie, a każde z nich istniało odtąd jako niezależne państwo. Z drugiej strony Muhammadowi udało się wymyślić zadowalający sposób podziału prywatnej fortuny mojego ojca na Zanzibarze. Koncepcja państwa w rozumieniu Europejczyków nic nie znaczy w naszej rzeczywistości. Nie znamy pojęć przychodu i dochodu narodowego, a wszystko, co jest pobierane w formie opłat, staje się osobistą własnością sułtana. Mój ojciec zasiliał z tego i z dochodów pochodzących z jego czterdziestu pięciu plantacji — był największym właścicielem ziemskim na wyspie — swój skarbiec i pokrywał wydatki. Za moich czasów nie było ani podatku dochodowego, ani podatku gruntowego, ani żadnego innego podatku w rodzaju tych znanych tutaj.

Cały prywatny majątek mojego ojca, nawet okręty wojenne, został więc podzielony pomiędzy Tueniego i Madżida. Prawo mahometańskie faworyzuje synów w dziedziczeniu, ponieważ uważa się, że mężczyzna musi utrzymać rodzinę, do czego kobieta nie jest zobowiązana. Każda z moich siostr dostała zatem tylko połowę tego co każdy z braci. Mój brat Ralub, niegdyś mój towarzysz zabaw w Bet il Mtoni, i ja zostaliśmy uznani za pełnoletnich, chociaż żadne z nas nie miało wówczas więcej niż dwanaście lat. Było to sprzeczne ze zwykłą praktyką, ale nadzwyczajne okoliczności przyniosły osobliwe zmiany. Oboje otrzymaliśmy swoją część spadku i w ten sposób staliśmy się wyemancypowanymi obywatelami w wieku lat dwunastu. Nasi młodsi bracia i siostry wraz z ich udziałami pozostali pod opieką i kontrolą Madżida.

Testament mojego ojca nakazywał, aby jego bezdzietne żony miały zapewnione utrzymanie aż do ich śmierci, za to matki jego dzieci miały otrzymywać ryczałtem jedynie stosunkowo niewielkie kwoty. Musiał przypuszczać, że zajmiemy się naszymi matkami, skoro odziedziczyliśmy znacznie więcej niż one. Przyznaję, że nie pomylił się w swojej ocenie, a moi bracia i siostry zasłużyli na uznanie. Trzydzieścioro sześćcioro przeżyło mojego ojca i żadne z nich nie nadużyło jego milczącego zaufania. Matka jest matką, czy to urodzona księżniczka, czy kupiona niewolnica, i bez względu na majątek czy stanowisko ma prawo do synowskiego przywiązania.

Wkrótce po rozdzieleniu spuścizny ojca nasz niegdyś przeludniony pałac stał się opustoszały i osamotniony, w każdym razie w porównaniu z dawnymi czasami. Wielu moich braci i siostr opuściło Bet il Sahel wraz ze swoimi matkami i niewol-

nikami obu płci, by zamieszkać we własnych domach. Chole, Assha i Shewane nie poszły w ich ślady, a moja matka i ja pozostałyśmy z nimi w Bet il Tani. W Bet il Mtoni sprawy przybrały podobny obrót. Nie było w tym niczego dziwnego, że niektórzy z nas, którzy teraz mieli zasoby finansowe i wolność decydowania o własnym losie, wybrali własną drogę i zwolnili miejsce w największych i najgęściej zaludnionych domach naszym młodszym braciom i siostram. Madzid zajął się młodszymi dziećmi, ich matkami i służbą, oczywiście pokrywając wszystkie wydatki z ich dochodów.

Rozdział XI

Pozycja kobiety

Trudno mi pisać o pozycji kobiety na Wschodzie. Ponieważ tam się urodziłam i wychowałam, będę uważana za stronnictwo i prawdopodobnie nie uda mi się obalić stereotypów, w które wierzy się w całej Europie, a zwłaszcza w Niemczech, na temat stosunków między arabską żoną i jej mężem.

Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Europy, sama również popełniłam błąd, oceniając po pozorach. Ponieważ podczas różnych spotkań towarzyskich widziałam za każdym razem uśmiechnięte twarze, uznałam, że sytuacja domowa w Europie bardziej sprzyja szczęściu niż w moim rodzinnym kraju. Ale później, kiedy moje dzieci dorastały i potrzebowały mniej mojej opieki i uwagi, głębiej wniknęłam w ten świat. Wtedy zauważyłam, że się myliłam, a ludzie i rzeczy są inni, niż się wydawali. Poznałam wiele związków, które nosząc nazwę małżeństwa, wydawały się istnieć tylko po to, żeby poddawać skrępowane węzłem małżeńskim pary piekielnym torturom tu na ziemi. Widziałam też wystarczająco dużo nieszczęśliwych małżeństw, by nie wierzyć, że instytucja ta stoi u chrześcijan o wiele wyżej

niż u mahometan lub zapewnia o wiele większe szczęście. Ani religia, ani akceptacja tradycyjnych poglądów nie mogą zagwarantować szczęśliwego pożycia; wszystko zależy od tego, jak dobrze mąż i żona rozumieją się nawzajem. Tylko to może przynieść pokój i harmonię, które czynią małżeństwo cudownym. Znam dokładnie tylko warunki panujące na Zanzibarze i wiem, że Omanie jest bardzo podobnie. Jednak to właśnie w Arabii i wśród Arabów mahometanizm został zachowany w najczystszej formie i dlatego mogę twierdzić, że mówię ogólnie o całym muzułmańskim Wschodzie, pomijając te jego części, które są skażone elementami wynikającymi z bliskiego obcowania z chrześcijańskim Zachodem.

Zacznijmy od tego, że błędne jest przypuszczenie, jakoby muzułmańska kobieta cieszyła się mniejszym szacunkiem społecznym niż jej mąż. Główna żona mężczyzny – kupione drugorzędne żony nie są oczywiście przedmiotem tej dyskusji – jest pod każdym względem równa mężowi, zachowując swoją rangę i związane z nią prawa i przywileje. To, co sprawia, że arabska kobieta wydaje się bezradna i do pewnego stopnia ograniczona w swej wolności, to zasady, według których żyje. Dzieje się tak we wszystkich mahometańskich krajach Wschodu, a także w niektórych, w których nie panuje religia muzułmańska, a im wyższa jest jej pozycja, tym surowsza są zasady. Jej twarz nie może być widziana przez żadnego mężczyznę z wyjątkiem ojca, męża, synów, wujów, siostrzeńców i jej własnych niewolników. Jeśli ma się pokazać w obecność obcego mężczyzny lub z nim rozmawiać, zasady wiary nakazują, by była w pełni zasłonięta. Część twarzy, broda, szyja i kostki muszą być zakryte. Posłuszna temu prawu żona może swobodnie poruszać się

po ulicach i chodzić, dokąd chce. Kobiety o niskich dochodach, które mają mało służby lub nie mają jej wcale, muszą często wychodzić, przez co mają więcej swobody. Jeśli zapytasz taką kobietę o jej zdanie, powie, że te prawa nie zostały stworzone dla biednych ludzi. I muszę przyznać, że znane mi damy zazdroszczą tej przewagi biedniejszym kobietom z Omanu, które nie mogą mieć wielu służących w swoim niezbyt bogatym kraju.

Jednak bogata kobieta także może wyjść w ciągu dnia. W razie choroby lub śmierci krewnego może udać się do jego domu, może też stanąć przed sędzią, aby reprezentować swoje interesy, gdyż nie korzystamy z usług adwokatów. Tradycja nakazuje jednak, by nie korzystała z tego przywileju, chyba że w nagłej potrzebie. Pokusa bywa jednak często silniejsza niż tradycja, a próżność powoduje, że kobiety nie lubią się zakrywać i przypominać chodzących manekinów. Chociaż przyznaję, że orientalne podejście do ubioru jest bardzo restrykcyjne, uważam, że europejskie wcale nie jest lepsze. Stroje noszone tutaj przez damy na balach wydają się jeszcze większą przesadą, choć w przeciwnym kierunku.

Kobieta bez męskich krewnych jest rzeczywiście godna pożałowania. Odcięta całkowicie od silniejszej płci przez religię i obyczaj, a zatem pozbawiona rady i ochrony, może znaleźć się w poważnych tarapatach. Ponieważ nie może rozmawiać nawet ze swoimi własnymi zarządcami, często jest oszukiwana. Kilka moich znajomych rzeczywiście wyszło za mąż, aby uciec przed ciągłym padaniem ofiarą oszustw. Tak więc wymuszone odosobnienie kobiet może posunąć się tak daleko, że stanie się niezwykle uciążliwe. Niemniej jednak kobieta ze Wschodu nie potrzebuje tego całego współczucia, jakim obdarza się ją

w Europie. Nie odczuwa ona zbyt swoich ograniczeń, gdyż przyzwyczajenie czyni każde życie znośnym.

Bardziej zasługuje na współczucie z powodu poligamii, ponieważ jest zmuszona dzielić miłość swego męża z innymi kobietami. Muzułmanin ma prawo do czterech żon, a jeśli jedna umrze lub uzyska rozwód, może wziąć piątą. Tak zwanych drugorzędnych żon może kupić tyle, ile chce. Nigdy jednak nie widziałam człowieka, który miałby cztery stałe żony naraz. Biedak może sobie pozwolić tylko na jedną, a bogaty nie ma zwykle więcej niż dwóch, które żyją oddzielnie, każda w swoim własnym domu. Niektóre kobiety zachowują niezależność i żądają od zalotnika podpisania umowy, w której ten zobowiąże się do niepoślubiania ani niekupowania nikogo innego.

W praktyce dominuje więc monogamia. Jeśli jednak mężczyzna korzysta w pełni ze swoich praw, może doprowadzić do przykrego stanu rzeczy. W poligamicznych związkach naturalnie pojawiają się nienawiść i zła wola, a gorąca południowa krew gotuje się ze złości i zazdrości, której częste przejawy powinny świadczyć o tym, że kobieta Orientu kocha bardziej niż jej spokojniejsza siostra z Północy. Przez zazdrość życie w poligamicznej rodzinie często staje się nie do zniesienia, i tak jest lepiej. Wielu zamożnych mężczyzn wzdraga się na myśl o codziennych scenach i kłótniach, i dlatego decyduje się na posiadanie tylko jednej żony. To, że poligamia nie ma ani usprawiedliwienia, ani nic na swoją obronę, musi widzieć każdy człowiek zdolny do rozumnego myślenia, a zwłaszcza każda kobieta.

Ale co z małżeństwami chrześcijan, cywilizowanych Europejczyków? Pomijam poligamię istniejącą pod nazwą mormoni-

zmu w chrześcijańskiej sekcie w chrześcijańskim kraju. Czy małżeństwo jest rzeczywiście dla szacownego towarzystwa świętą instytucją? Czy mówienie o jednej żonie nie jest często absurdalne? To prawda, że chrześcijańskie zasady wiary pozwalają tylko na jednego małżonka, i jest to wielkie błogosławieństwo. Chrześcijaństwo nakazuje dobro i słuszość, podczas gdy mahometanizm pozwala na zło. Jednak panujące zwyczaje i rzeczywistość dnia codziennego w muzułmańskich krajach w znacznym stopniu łagodzą negatywne skutki prawa, podczas gdy tutaj grzech bardzo często bierze nad nim górę. Główną różnicą pomiędzy kobietą ze Wschodu i z Zachodu jest to, że ta pierwsza zna liczbę, a być może także usposobienie i charakter swoich rywalek, podczas gdy ta druga żyje w słodkiej nieświadomości.

Oczywiście nikt poza zamożnymi mężczyznami nie może sobie pozwolić na zakup tzw. drugorzędnych żon. Jeśli te na początku są niewolnicami, macierzyństwo zapewnia im emancypację. W rzadkich przypadkach okrutni panowie sprzedają żony po śmierci dziecka z powodu znudzenia lub dla pieniędzy. Po śmierci mężczyzny wszystkie jego drugorzędne żony stają się wolne. Jeśli jedna z nich wejdzie w związek z bratem lub innym krewnym swojego byłego pana, czyni to jako zwykła, czyli główna żona.

To, że Arab traktuje swoją partnerkę z pogardą, jest mitem. Zapobiegają temu same zasady naszej wiary. Nawet jeśli kobieta jest pod pewnymi względami oceniana jako gorsza od mężczyzny, to jednocześnie podlega jego ochronie ze względu na swoją słabość. Pobożny, bogobożny muzułmanin okazuje tyle samo dobroci, ile dobrze wychowany, wykształco-

ny Europejczyk, a może nawet podchodzi do tego bardziej rygorystycznie, ponieważ nigdy nie zapomina o wszechobecności Pana, ani do ostatniego tchnienia nie wyrzeka się swojej mocnej wiary w karę Boską. Oczywiście, wszędzie można znaleźć nędzników, którzy odmawiają swoim żonom należnej uprzejmości i względów, ale mogę z całą świadomością stwierdzić, że tutaj częściej słyszałam o z pozoru czułych mężach, którzy biją swoje żony, niż tam, skąd pochodzę. Dobry Arab sądziłby, że zhańbi się takim postępowaniem. Z Murzynami na plantacjach sprawa wygląda inaczej. Niejednokrotnie interweniowałam i przywracałam pokojowe stosunki między parą, która się nawzajem okładała.

Kobieta nie musi też ulegać wszystkim zachciankom swojego małżonka. Jeśli któraś z nich ją obrazi, może szukać wsparcia u swoich krewnych. A jeśli jest sama na świecie, ma prawo zwrócić się o sprawiedliwość do kadięgo. Czasami sama o siebie walczy. Moja bliska przyjaciółka w wieku szesnastu lat przyjęła oświadczenia dużo starszego kuzyna, który był jej zupełnie niegodny. Był niezwykle zuchwały i wyobrażał sobie, że jego żona zniesie wszystko. Jakie było jego zdziwienie, gdy po powrocie do domu pewnej nocy jej nie zastał. Czekala na niego jedynie napisana bez ogródek wiadomość. Miałam zwyczaj odwiedzać moją przyjaciółkę w jej posiadłości bez uprzedzenia, ponieważ wiedziałam, że jej „uroczy” małżonek woli szukać przyjemności w mieście. Jednak pewnego dnia przyszła mi powiedzieć, że nie mogę jej więcej odwiedzać bez uprzedniego zawiadomienia, ponieważ jej mąż jest teraz zawsze w domu. Przyszedł po nią skruszony i błagał ją o wybaczenie. Przekonawszy się raz, jak bardzo jest stanowcza, za-

dbał o to, by ponownie jej nie urazić. Mogłabym przytoczyć inne przykłady kobiecej niezależności.

Małżonkowie całują się w ręce na przywitaniu. Posiłki jadają razem z dziećmi. Kobieta wykonuje różne małe przedmioty w dowód miłości do swojego męża. Kiedy on wychodzi, podaje mu broń i zdejmuje ją z niego po powrocie, podaje mu wodę do picia i tak dalej. Krótko mówiąc, wykonuje wszystkie te z pozorów błahe gesty, które czynią wspólne życie przyjemnym i szczęśliwym, i robi to bez żadnego przymusu. To ona zarządza domem. Dawanie kieszonkowego na utrzymanie domu nie jest u nas w modzie. Mąż i żona czerpią z tej samej sakiewki, chociaż jeśli mężczyzna ma dwie główne żony mieszkające w osobnych domach, dzieli pomiędzy nie swój dochód. To, jak duże żona ma przywileje, zależy od usposobienia jej samej i męża. Pewnego razu, gdy organizowałam duże przyjęcie na jednej z moich plantacji i wydawało się, że wielu z gości mi odmówi z powodu trudności w zdobyciu wierzchowców na czas, pewna dama zaferowała, że pożycz mi wszystkie osły i woźniców, jakich mógłbym potrzebować. Na moją sugestię, aby uzyskała zgodę swojego męża na tę hojną propozycję, odpowiedziała kurtuazyjnie, że nie ma w zwyczaju prosić go o zgodę w tak nieistotnych sprawach. Inna z moich zanzibarskich znajomych miała jeszcze większą kontrolę nad sprawami domowymi i gospodarczymi, zarządzając wiejskimi posiadłościami i domami w mieście. Mąż nie znał nawet wysokości swoich dochodów. Gdy potrzebował pieniędzy, otrzymywał je z jej rąk, a dzięki sprytowi i dalekowzroczności żony wyszedł na tym bardzo dobrze.

Wychowanie dzieci leży całkowicie w gestii matki, czy to legalnej żony, czy kupionej niewolnicy, i w tej kwestii ma ona

więcej szczęścia niż modna Angielka, od której oczekuje się, że będzie zaglądać do żłobka nie częściej niż raz na dwadzieścia cztery godziny, albo Francuzka wysyłająca swoje potomstwo na wieś, gdzie zajmują się nim obcy ludzie. Arabka opiekuje się swoimi dziećmi z troską i dbałością, nie spuszczaając ich z oczu, dopóki wymagają matczynej opieki. Wielka miłość i głęboki szacunek są jej nagrodą. Stosunki z dziećmi rekompensują jej szkody wynikające z wielożenstwa, czyniąc jej życie rodzinne szczęśliwym i przyjemnym. Ten, kto widział lekkoduszność i wesołość wschodnich kobiet, musi wiedzieć, jak mało prawdy kryje się we wszystkich opowieściach o ich ucisku i degradacji, a także o ich nieśmiały, niespełnionych marzeniach.

Nie można naprawdę poznać czyjegoś życia podczas krótkiej wizyty. Mimo całej swojej uprzejmości Arab nie lubi, gdy obcy – zwłaszcza jeśli należą do innego narodu lub wyznania – interesują się jego prywatnymi sprawami. Za każdym razem gdy odwiedzała nas Europejka, zwracaliśmy uwagę przede wszystkim na ogromny obwód jej sukni, gdyż w tamtych czasach noszono krynoliny na szerokość schodów. Rozmowa z nią była zdawkowa i zazwyczaj ograniczała się do ubioru. Po okazaniu damie zwyczajowych uprzejmości, skropieniu jej wodą różaną przez eunucha i wręczeniu jej prezentów na pożegnanie odjeżdżała z takim samym zasobem wiedzy, z jakim do nas przybyła. Była w haremie, widziała „nieszczęsne” zasłonięte kobiety, dziwiła się naszym strojom, biżuterii, naszej zręczności w siadaniu na podłodze, ale to wszystko. Nigdy nie mogła się pochwalić, że dowiedziała się czegoś więcej niż inni Europejczycy, którzy nas odwiedzili. Od drzwi do drzwi odprowadzali ją eunuchowie. Ani na chwilę nie zostawiano jej samej. Osobie

z Zachodu rzadko pokazuje się wewnątrz domu poza pokojem, w którym jest przyjmowana. Czasami nie jest nawet w stanie rozpoznać zawołanej damy, która ją zabawia. Krótko mówiąc, nie ma okazji, żeby poznać życie orientalnej rodziny i dowiedzieć się czegoś więcej o pozycji naszych kobiet.

Jeszcze jedna uwaga dotycząca małżeństwa: wejście dziewczyny w stan małżeński nie powoduje zmiany jej rangi ani nazwiska. Żona księcia wywodząca się z ludu nigdy nie pomyślałaby, by domagać się tytularnej równości. Mimo zawartego związku pozostaje córką tego i tego, i tak wszyscy się do niej zwracają. Jeśli zaś arabski książę lub wódz pozwoli córce lub siostrze poślubić własnego niewolnika, sługa pozostaje służką, a ona jest jego panią jak dawniej. Taki mężczyzna formalnie traci status niewolnika, ale ciągle musi się zwracać do swojej żony per „wasza wysokość” lub „pani”. Mężczyzna nawiązujący w rozmowie do swojej żony — czego raczej się unika — nigdy nie powie „moja żona”, ale „córka tego i tego”. Może też ją nazwać matką swojej rodziny, niezależnie od tego, czy ma dzieci, czy nie.

Parze, która nie знаła się przed ślubem, czasem trudno się porozumieć. Mahometańska zasada łatwego rozwodu jest w takich sytuacjach korzystna. Z pewnością lepiej jest, aby para radykalnie różniąca się poglądami i charakterami rozeszła się pokojowo, niż była przykuta do siebie przez całe życie ku wzajemnej udręce, być może zakończonej aktami przemocy lub zbrodnią. Kobieta odzyskuje wtedy swoją własność, nad którą przez cały czas miała nieograniczoną kontrolę. Jeśli mąż wystąpi o rozwód, zatrzymuje prezent ślubny, ale zrzeka się go, jeśli rozwód następuje z inicjatywy kobiety.

Z tego wszystkiego, co napisałam powyżej, widać już chyba, że muzułmańska kobieta nie jest takim pokrzywdzonym, ucisnionym i nic niewartym w oczach innych stworzeniem, jak często się słyszy w Europie. Znamienny jest przykład mojej macochy Azze bint Sef, która sprawowała całkowitą władzę nad Seyyidem Saïdem. Nie tylko dwór, lecz także całe państwo podlegały jej kaprysom. Jeśli ktoś z nas chciał o coś poprosić sultana, to ona musiała się najpierw zgodzić. Azze bint Sef zachowała swoją władzę aż do śmierci mojego ojca.

Inny podobny przypadek, który pamiętam, to córka oficera wojskowego z Omanu. Przyjechała z mężem na Zanzibar. Była bystra i dowcipna, ale jednocześnie bardzo przeciętna z wyglądu. Mimo to mąż ją uwielbiał, spełniał wszystkie jej zachcianki i fanaberie z anielską cierpliwością. Musiał ją eskortować, do kądkolwiek się udawała, nigdy nie mógł być pewny, czy będzie miał choć trochę czasu dla siebie. Był po prostu jej niewolnikiem.

Przychodzi mi do głowy jeszcze jedna postać, która obala tezę o rzekomej niższości kobiet na Wschodzie. Do dziś moja ciotka — siostra mojego dziadka — jest uważana za wzór sprytu, odwagi i skuteczności.

Po śmierci mojego dziadka, władcy Omanu, znanego jako Imam z Maskatu, pozostało troje dzieci: mój ojciec Saïd, mój wuj Selim i moja ciotka Assha. Mój ojciec miał dziewięć lat, trzeba więc było ustanowić regenta. Wtedy to moja wspianiała ciotka, wbrew wszelkim precedensom, oświadczyła, że sama będzie rządzić, dopóki bratanek nie osiągnie pełnoletności, i oddaliła wszystkie sprzeciwy. Ministrowie, którzy mieli nadzieję, że będą mogli sprawować władzę po swojemu, byli bardzo roz-

czarowani, ale musieli być posłuszni. Każdego dnia stawiali się więc przed regentką, aby składać raporty i otrzymywać rozkazy. Ciotka miała oko na wszystkich i zdawała się wiedzieć o wszystkim, ku rozpaczy beczynnych i niedbałych. Samowolnie zrezygnowała też z etykiety. Kiedy konsultowała się z ministrami, zakładała jedynie chustę, jakby wychodziła z domu. Była całkiem obojętna na krytykę świata, a swoje zadania wykonywała z rozwagą i energią.

Nie panowała jeszcze zbyt długo, gdy wybuchła wojna, co niestety często się zdarza w Omanie. Pewien klan, spokrewniony z naszym, chciał zachwiać rządem i zagarnąć tron dla siebie. Sądził, że będzie to łatwe, skoro w Omanie panuje kobieta. Żołnierze pomaszzerowali więc do Maskatu, niszcząc po drodze kraj ogniem i mieczem. Oblegali miasto, wpędziwszy do środka wielu szukających schronienia i pomocy chłopów. Maskat jest silnie ufortyfikowany, ale co pomogą najgrubsze nawet mury, jeśli zabraknie żywności i amunicji?

Teraz moja ciotka pokazała, na co ją stać, zdobywając nawet podziw wroga. Nocą wyjeżdżała w męskim ubraniu, aby sprawdzić posterunki, a czasami udawało jej się uniknąć schwywania tylko dzięki szybkości jej konia. Pewnego wieczoru opuściła mury miejskie w bardzo złym nastroju, ponieważ dowiedziała się, że wróg zamierza spróbować przekupstwa w celu włamania się do twierdzy i zabicia całego garnizonu. Postanowiła wystawić wierność swoich żołnierzy na próbę. Podeszła więc do wartownika, zapytała o jego przełożonego i zaoferowała sowitą zapłatę w imieniu strony przeciwnej. Gniew tego walecznego żołnierza ją uspokoił, choć sama niemal została zabita przez swoich zwolenników, którzy wzięli ją za szpiega.

Sytuacja Maskatu zmieniła się z trudnej w beznadziejną. Zaczął się głód i zapanowało ogólne przygnębienie. Ponieważ nie spodziewano się pomocy z zewnątrz, postanowiono przy najmniej umrzeć z honorem i wykonać ostatni, desperacki ruch. Prochu wystarczyłoby na jedną bitwę, ołowiu już nie było. Regentka nakazał więc zebrać wszystkie gwoździe, a nawet kamyczki odpowiedniej wielkości, aby zrobić amunicję do muszkietów. Wszystkie inne przedmioty z żelaza i mosiądzu zostały rozbite i przerobione na kule armatnie. Poświęcono nawet srebrne dolary ze skarbca — przetopiono je na kule. Te ekstremalne środki przyniosły sukces. Zaskoczeni żołnierze wroga rozpierzchli się na cztery strony świata, pozostawiając za sobą połowę zabitych i rannych. Maskat został uratowany.

Moja wspaniała ciotka rządziła już potem bez przeszkód. A gdy przyszedł czas, żeby przekazać władzę mojemu ojcu, Oman był w tak dobrym stanie, że ten mógł wyruszyć za granicę w poszukiwaniu nowego terytorium do zdobycia — Zanzibaru. To, że kiedykolwiek zdobyliśmy te terytoria, było więc w dużej mierze jej zasługą.

A była przecież kobietą Orientu!

Rozdział XII

Arabskie konkury i małżeństwo

U Arabów związek małżeński jest zazwyczaj aranżowany przez ojca lub głowę rodziny. Nie ma w tym niczego szczególnego. Zdarza się to także w Europie, choć panuje tu ogromna swoboda w kontaktach między płciami. Często się tu słyszy o jakimś lekkomyślnym rozrzutniku, tak bardzo zadłużonym, że jedynym wyjściem jest dla niego poświęcenie pięknej, czarującej córki swojemu wierzycielowi; albo o frywolnej, światowej kobiecie, która popycha swoje dziecko do nieszczęśliwego małżeństwa tylko po to, by się go pozbyć za wszelką cenę. Są też despotyczni arabscy rodzice, którzy, głusi na głos sumienia, lekceważą przyszłe dobro swego potomstwa. Tutaj jednak nie uznaje się tego za nadużycie władzy. Decyzja należy do rodziców. Odosobnienie kobiet sprawia, że taki sposób postępowania jest konieczny. Żyjąc zupełnie z dala od męskiego świata, starsze dziewczynki spotykają się tylko z najbliższymi krewnymi płci brzydkiej, choć trzeba przyznać, że mimo wszelkich środków ostrożności od czasu do czasu młodym udaje się nawiązać znajomość i ją podtrzymywać. Co do zasady jednak

dziewczyna nawet nie widzi swojego przyszłego męża, chyba że przez okno, ani nie rozmawia z nim aż do dnia zaślubin.

Nie jest on jej jednak całkiem obcy, gdyż jego matka, siostry i ciotki prześcigają się w opisywaniu go z najdrobniejszymi szczegółami. Czasami para bawiła się razem w dzieciństwie, ponieważ chłopcy i dziewczynki mogą przebywać ze sobą bez ograniczeń do dziewiątego roku życia. Kilka lat później młodzieniec prosi ojca swojej dawnej towarzyszkę zabaw o jej rękę, ale nie bez uprzedniego wysłuchania przyszłej żony za pośrednictwem matki lub siostry. Ilekroć młody człowiek udaje się w konkury, uważny ojciec zaczyna od pytania: „Jak udało ci się zobaczyć moją córkę?”, właściwa odpowiedź to: „Nigdy nie miałem przywileju zobaczenia pańskiej szanownej córki, ale słyszałem o wszystkich jej cnotach i wdziękach od moich krewnych”.

Tylko w przypadku, gdy zalotnik zupełnie się nie spodoba, spotyka się z natychmiastową odmową ze strony ojca, który zwykle prosi o czas na rozważenie oferty, po czym zachowuje się w domu, jak gdyby nic się nie stało. Obserwuje jednak uważnie żonę i córkę. Jakby zupełnie od niechcienia wspomina, że myśli o zorganizowaniu męskiego przyjęcia, a potem zapytany, kogo zamierza zaprosić, wylicza swoich przyjaciół. Jeśli zauważy jakąkolwiek oznakę zadowolenia na wspomnienie nazwiska zalotnika, nabiera przekonania, że kobiety po obu stronach są zgodne. Następnie oświadcza córce, że taki i taki ubiega się o jej rękę, i pyta, co ta o nim myśli. Jej odpowiedź zwykle rozstrzyga sprawę. Nikt poza bezdusznym lub dominującym ojcem nie podejmie decyzji bez skonsultowania jej z córką.

I w tym względzie nasz ojciec był bardzo sprawiedliwy, pozostawiając swoim dzieciom decyzję o ich własnym losie. Moja siostra Zuena miała zaledwie dwanaście lat, gdy o jej rękę poprosił daleki kuzyn. Sułtan, choć zirytowany myślą o jej zamążpójściu w tak młodym wieku, nie odmówił bez konsultacji z dziewczyną. Zuena właśnie straciła matkę, nie miała więc nikogo, kto mógłby jej doradzić, przyjęła więc ofertę kuzyna po prostu dla rozrywki, a sułtan się zgodził.

Zdarzają się przypadki, że zaręczyny, a nawet ślub, mają miejsce w bardzo młodym wieku. Dwóch moich braci z Zanzibaru umówiło się, że ich dzieci wezmą ślub. Kiedy chłopiec z jednej strony miał siedemnaście lub osiemnaście lat, a dziewczynka z drugiej około siedmiu lub ośmiu, zaczęto już rozmawiać na temat wprowadzenia tego planu w życie. Matka chłopca, bystra i roztropna kobieta, skarżyła się na upór swojego męża i jego brata, którzy próbowali sprowadzić jej synową tak młodą, że musiałaby się nią opiekować i ją wychowywać. Jednak matka dziewczynki miała zgoła odmienne zdanie i nie chciała stracić takiej okazji. Ostatecznie kobiety uzgodniły, że odroczą rozmowy o małżeństwie o dwa lata. Co wynikło z tej sprawy, nie jestem w stanie powiedzieć, ponieważ opuściłam wyspę.

Zaręczyny są oficjalnie ogłaszane przyjaciółom i znajomym przez służbę, która chodzi od domu do domu, ubrana w najlepsze stroje, rozdając zaproszenia na ślub, i dostaje za to drobne upominki. Na tym etapie dużo dzieje się w domu panny młodej, ponieważ zaślubiny mogą nastąpić nawet w ciągu miesiąca. Zaręczyny nigdy nie trwają długo, a sam ślub nie wymaga aż tylu przygotowań na uprzywilejowanym Południu. Ludzie Orientu

nawet nie słyszeli o niezliczonych artykułach, które Europejczycy uważają za niezbędne. Arabska narzeczona byłaby oszołomiona na widok całej wyprawy europejskiej panny młodej. Dlaczego ludzie tutaj muszą zabierać ze sobą taki balast? Arabska panna młoda otrzymuje stosunkowo niewiele za swój posag, który może się składać – w zależności od jej pozycji – z pięknych ubrań, biżuterii, niewolników obu płci, domów, plantacji i gotówki. Nie tylko jej rodzice, lecz także pan młody i przyszli teściowie obdarowują ją prezentami, które pozostają jej osobistą własnością.

Podczas pierwszego tygodnia od narzeczonej o wysokiej pozycji oczekuje się, że będzie zmieniać ubranie dwa lub trzy razy dziennie. Specjalne stroje ślubne, w rodzaju białej sukni i tiulowego welonu, nie są tutaj w modzie, ale dama musi nosić od stóp do głów nowe rzeczy. Sama wybiera stroje, co czasami skutkuje bardzo śmiałymi zestawieniami kolorów, ale tutaj nikt tego nie razi. Na tę okazję przygotowuje się za to specjalne perfumy, na przykład *riha*, czyli kosztowną pomadę do włosów ze sproszkowanego drzewa sandałowego, piżma, szafranu i olejku z płatków róży. Z drzewa aloesowego, piżma i bursztynu robi się przyjemnie pachnące kadzidło. Wiele osób zajmuje się w tym czasie wypiekami, przygotowywaniem słodczy i ubojem zwierząt.

Uciążliwym zwyczajem, któremu musi się poddać kobieta, jest spędzenie ostatniego tygodnia panieństwa w zaciemnionym pokoju. W tym czasie należy się powstrzymywać od noszenia czegokolwiek poza najprostszyimi ubraniami. Pocieszeniem może być jedynie myśl, jak pięknie panna młoda będzie wglądać w dniu ślubu. W ciągu tygodni poprzedzających ten okres nar-

rzeczona przyjmuje jednak mnóstwo gości. Wszystkie stare kobiety, które znała, a zwłaszcza jej piastunki, których mogła nie widzieć od lat, składają jej wyrazy szacunku otwartą dłońią. Także główny eunuch, który kiedyś po raz pierwszy ogolił jej głowę, z dumą przypomina tamten moment i przychodzi prosić o dalszą protekcję, a także coś na pamiątkę. Zwykle otrzymuje cenny szal, pierścień na mały palec lewej ręki, zegarek lub kilka sztuk złota.

Narzeczony, choć jemu oszczędza się zamknięcia w ciemnym pokoju, nie jest zwolniony z obowiązku nagradzania każdego, kto kiedykolwiek zrobił choć jedną rzecz dla jego przyszłej żony lub jego samego. Przez ostatnie trzy dni pozostaje w domu i pokazuje się tylko najbliższym przyjacielom, w międzyczasie wymieniając komplementy i prezenty ze swoją ukochaną za pośrednictwem obu rodzin.

Zaślubiny odbywają się zazwyczaj po zachodzie słońca; nie w meczecie, ale w domu panny młodej. Ceremonię prowadzi zwykle kadi, ale jeśli akurat żaden nie jest dostępny, wystarczy człowiek o uznanej pobożności. Bohaterka wieczoru, jeśli mogę ją tak nazwać, sama nie pojawia się na ślubie. Reprezentuje ją ojciec, brat lub inny bliski męski krewny. Jeśli panna młoda nie ma w rodzinie żadnych dorosłych mężczyzn, może sama stanąć przed kadim, zakryta tak, że aż trudno ją poznać. Powtarza wtedy zwyczajowe frazy tonem głosu prawie niesłyszalnym. Panna młoda wchodzi pierwsza do pustego pokoju, za nią kadi, pan młody i świadkowie. Po ceremonii musi się jednak udać do swoich apartamentów, podczas gdy jej nowo zaślubiony mąż i reszta mężczyzn urządzają ucztę.

Zazwyczaj żona nie przenosi się do domu męża zaraz po zawarciu węzła małżeńskiego. Odkłada się to do trzeciego dnia po ślubie, kiedy upiększona i przyozdobiona jak nigdy wcześniej jest zabierana do nowego domu, około godziny dziewiętej lub dziesiątej w nocy, przez swoje żeńskie krewne. Tam spotyka się z mężem i jego męskimi krewnymi. Jeśli ma wyższą rangę, siedzi, gdy on wchodzi do pokoju. Młoda żona czeka, aż mąż się do niej zwróci, dopiero wtedy może z nim porozmawiać, chociaż nadal ma zakrytą twarz. Odślania ją dopiero, gdy małżonek okaże swoje oddanie w formie prezentu odpowiadającego jego zamożności. Biedni ludzie ofiarują w takiej sytuacji kilka pensów, ale bogaci przekazują duże sumy.

W tę noc dom pana młodego otwiera się dla gości, a odwiedziny trwają nawet dwa tygodnie. Mile widziani są nie tylko przyjaciele i znajomi, lecz także obcy ludzie. Wszyscy mogą jeść i pić do woli. Co prawda nie podaje się ani wina, ani piwa, a ibadytom (to odłam islamu, do którego należymy) nie wolno nawet palić tytoniu, ale mimo to ludzie bawią się doskonale. Jedzą, co chcą, piją mleko z migdałów i lemoniadę, śpiewają, wykonują tańce wojenne i słuchają recytacji. Eunuchowie palą przez cały czas kadzidło i skrapiają gości wodą różaną.

Podróże poślubne nie są znane na Wschodzie. Młoda para pozostaje w domu przez pierwszy tydzień lub dwa. Nikogo w tym czasie nie widuje. Dopiero potem żona może zacząć przyjmować przyjaciółki, które przychodzą tłumnie każdego wieczoru, aby złożyć jej gratulacje.

Rozdział XIII

Nasze zwyczaje

Każda dama, która chce złożyć komuś wizytę, zapowiada swoje przybycie przez służącego. W naszej kulturze rzadko pozwalamy sobie na niezapowiedziane wizyty. Mieszkańców miasta odwiedzałyśmy zwykle pieszo, ale na wieś jechałyśmy na mule lub konno. Na Zanzibarze przy takiej okazji należy się odpowiednio ubrać, podobnie jak w Niemczech, aby okazać szacunek gospodyni, ale też zaprezentować własny szyk (i przyćmić stroje innych ludzi).

Muzułmańskie kobiety unikają pokazywania się publicznie w ciągu dnia. Tradycja zmusza je do wychodzenia z domu wczesnym rankiem albo po zmroku. Kiedy mieszkałam na Zanzibarze, ulice nie były oświetlone, musiałyśmy więc same zapewnić sobie źródło światła. Używałyśmy dużych latarni, niektóre miały nawet do półtora metra obwodu. Te najpiękniejsze przypominały rosyjskie cerkwie: miały dużą centralną kopułę i cztery mniejsze. W każdej paliła się świeca, której światło przenikało przez kolorowe szkło. Bogaci ludzie brali ze sobą kilka takich latarni, które nosili za nimi służący. Ludzie z klasy średniej zadowalali się jedną.

Miałyśmy eskortę uzbrojonych niewolników. Wyglądali groźnie, ale w rzeczywistości niekoniecznie tacy byli. Sprawiali nam sporo kłopotów i powodowali duże wydatki. Cała ich broń, z wyjątkiem karabinów i rewolwerów, była bowiem inkrustowana złotem lub srebrem, a ci łajdacy oddawali ją w zastaw za jakieś drobiazgi u wschodnioindyjskich lichwiarzy, byle tylko ugasić pragnienie i napić się *pombe* (wina palmowego). Co mogła zrobić dama w takiej sytuacji? Odkupić przedmioty za dziesięciokrotność kwoty, za którą zostały zastawione, albo wyposażyć te stworzenia na nowo po uprzednim solidnym ich ubiczowaniu. Z przykrością muszę jednak stwierdzić, że nawet ten surowy środek odstrasżający nie był tak skuteczny, jak powinien.

Tak więc dama wyruszała z tuzinem lub większą liczbą uzbrojonych niewolników. Dwóch szło z przodu, niosąc latarnie, a wystrojone kobiety z tyłu. Jeśli napotkano pieszego, niezależnie od jego rangi, niewolnicy kazali mu zejść z drogi, a on powinien ustąpić i usunąć się w boczną uliczkę, wejść do sklepu lub w jakieś drzwi i poczekać, aż cały korowód go minie. Niestety jedynie rodzinie królewskiej z łatwością przychodziło egzekwowanie tej zasady w praktyce. Inne dystyngowane damy nie zawsze były w stanie dojsć swoich praw, ponieważ szubrawcy i awanturnicy sprzeciwiali się tej formie uprzywilejowania. Chociaż przyzwoitość wszędzie nakazuje najcichsze i najbardziej dyskretne zachowanie na zewnątrz, często wesołość brała górę i poruszające się w orszaku kobiety rozmawiały i żartowały tak głośno, że ciekawscy wyglądali z okien lub drzwi albo nawet wychodzili na płaskie dachy.

Po przybyciu na miejsce gościa natychmiast się zapowiada. Nie trzeba czekać w ciemnym korytarzu lub przedsionku, pod-

czas gdy pani domu jeszcze się szykuje. Gość podąża za służką i od razu jest przyjmowany w pokoju gospodyni lub — jeśli mamy akurat księżycową noc — na wysprzątanym i otoczonym balustradą dachu, gdzie gospodyni siedzi na otomanie lub grubej, długiej, bogato haftowanej poduszce z plecami opartymi o drugą poduszkę i o ścianę. Nie ma u nas zwyczaju wychodzenia na spotkanie, jak na Zachodzie nakazuje prawdziwa lub udawana serdeczność, żeby okazać przybyszowi szacunek pani domu po prostu wstaje.

Arabskie kobiety są małomówne i powściągliwe w obecności obcych, bez względu na ich pochodzenie społeczne, ale między drogimi sobie przyjaciółmi różnice urodzenia i pozycji nie mają znaczenia. Muszę przyznać, że mieszkańcy Południa są przeraźliwie zazdrośni, ale też bardziej żarliwi w miłości niż ludzie Północy. U nas to serce jest panem, tutaj górę często bierze chłodny rozsądek, ale być może należy to usprawiedliwić cięższymi warunkami życia.

Po ucałowaniu gospodyni w głowę, rękę lub brzeg jej chusty — osoby równe rangą chwytają się za ręce — siada się na otomanie. Jeśli gość ma niższą pozycję społeczną, powinien poczekać, aż gospodyni go o to poprosi, a potem okazać jej szacunek, siadając nieco dalej. Po wejściu do cudzego domu nie zdejmujemy się chusty ani żadnego wierzchniego okrycia poza butami. Na takie okazje noszone w domu drewniane sandały zamienia się na bogato zdobione skórzane pantofle, które ławo zrzucić przed wejściem do pokoju, a z tego obowiązku absolutnie nikt nie jest zwolniony. Pozostawionymi butami zajmują się służący, którzy dbają o to, aby właściciel z łatwością odnalazł potem swoją parę. I w tym wypadku należy przestrzegać etykie-

ty: buty osób najszlachetniej urodzonych umieszcza się w środku, a pozostałe ustawia się obok nich w półkolu.

Po pojawieniu się gościa służba podaje kawę w małych filiżankach, dla każdego nowego przybysza serwuje się ją po raz kolejny razem ze świeżymi owocami i słodyczami. Naciskanie na kogoś, by się częstował, byłoby jednak uznane za niegrzeczne. Pani domu nie jest też zobowiązana do podtrzymywania rozmowy w ten boleśnie sztuczny, europejski sposób. Goście rozmawiają swobodnie i spontanicznie na każdy temat, na jaki mają ochotę. Ponieważ nie ma u nas teatrów, koncertów, cyrków czy balów, o których można by dyskutować, a o pogodzie też niewiele da się powiedzieć, zakres tematów jest dość ograniczony. Zazwyczaj rozmowa toczy się wokół spraw osobistych i kwestii związanych z rolnictwem. Każdy poważny człowiek na Zanzibarze zajmuje się rolnictwem, bez większych umiejętności czy stosowania zaawansowanych technik, ale z wielkim entuzjazmem. Rozmowa toczy się wspaniale wśród szczerzej radości i niepohamowanego śmiechu, ponieważ my, południowcy, mamy zwykle wesołe usposobienie. Dlaczego miałyby być inaczej? Jasne światło słoneczne napełnia nas radością, a dzięki hojności darów natury nie musimy martwić się o jutro.

Pan domu nie może w żadnym wypadku wejść do pokoju, w którym jego żona, matka lub siostra zabawia swoje przyjaciółki. Tylko władca i jego najbliżsi mężczyźni krewni stoją ponad tym prawem. Jeśli więc ktoś odwiedza zamężną siostrę, jej małżonek musi pozostać w ukryciu aż do chwili opuszczenia domu przez gościa. W przypadku, gdy trzeba przekazać coś ważnego, posyła służbę, by zawołać żonę na chwilę do innego pokoju. Kobiety czynią to samo, gdy ich mężczyźni krewni mają u siebie gości.

To prawo jest egzekwowane nawet wtedy, gdy wizyta trwa cały dzień: od szóstej rano do siódmej w nocy. Dla Europejczyka ten obyczaj byłby uciążliwy, ale człowiek Orientu tak nie uważa. Wychowany w pewnych poglądach i nieznający innych, z którymi mógłby je porównać, w naturalny sposób myśli, że są one całkiem słuszne i właściwe. Siła zwyczaju i jego wpływ na nasze życie są wszędzie takie same. W żadnym wypadku nie zaprzeczam, że Świat Orientu ma niepotrzebne lub ekstrawaganckie obyczaje, ale czy Europa jest od nich wolna? Tam panuje jak najdalej idąca separacja płci, tutaj nieograniczona niczym wolność obcowania ze sobą. Tam zasłania się twarzą, nie zważając na panujący upał, tutaj nosi głębokie dekolty pomimo zimnego klimatu. Tak więc wszędzie można znaleźć skrajności i przesadę. Złoty środek nie został moim zdaniem jeszcze nigdzie osiągnięty.

Zwykle wizyty u pani domu trwają trzy lub cztery godziny. Potem trzeba obudzić niewolników i ponaglić ich, żeby szykowali się do wymarszu. W międzyczasie latarnie wciąż się palą, co z pewnością jest marnotrawstwem, ale mimo to jest modne. Po wręczeniu gościom prezentu na do widzenia, choćby najmniejszego, gospodyni pozwala im odejść. Kobiety muszą być w domu najpóźniej o północy, kiedy to przypada czas piątej modlitwy. Arabskie wizyty mają jedną wielką zaletę: odwiedzający nie są zobowiązani do dziękowania za gościnę — jest to zdecydowane ulepszenie w porównaniu do praktykowanego czasem na Zachodzie prawienia gospodyni komplementów w jej obecności i szkalowania jej, gdy tylko znajdzie się za drzwiami.

Stary zanzibarski zwyczaj wymaga, aby władca udzielał audiencji dwa razy dziennie — przed śniadaniem i po czwartej

modlitwie — mężczyznom ze swojej rodziny, swoim ministrom, innym urzędnikom i wszystkim, którzy mogą chcieć z nim porozmawiać. Sala audiencyjna, czyli *barza*, znajdowała się na parterze naszego pałacu, roztaczał się z niej piękny widok na morze. Choć była bardzo duża, zgromadzony tłum czasem się w niej nie mieścił. Jak każde arabskie mieszkanie, była urządzona z uderzającą prostotą, nie znajdowało się tam nic poza dywanami, lustrami aż po sufit, zegarami i krzesłami po bokach. Ponieważ żaden szanujący się Arab nie wychodzi z domu sam, wokół wejścia zawsze kłębiło się kilkuset służących i innych towarzyszy. Kto mógł znaleźć miejsce, siadał na kamiennych ławach biegnących wzdłuż ścian, reszta czekała na swoich panów lub przyjaciół na otwartym placu przed pałacem. Interesanci zawsze przychodzili na audiencję w pełnym odświętnym stroju: turbanie, *djocha* (wierzchnim płaszczu sięgającym do kostek) i szarfie.

W domu Arab nosi na głowie — golonej raz w tygodniu — białą, często ładnie haftowaną czapkę, nazywaną w suahili *kofia*, ale wychodząc, zakłada turban. Jego zawiązanie wymaga pewnych artystycznych zdolności i zajmuje trochę czasu, dlatego mężczyzna zdejmując tę delikatną konstrukcję z wielką ostrożnością. Materiał na turbany jest stosunkowo tani, ale materiał na szarfę może kosztować nawet dwieście srebrnych dolarów. Szlachcic ma zawsze wiele szarf i zmienia je tak, jak mężczyzna w Europie zmienia krawaty. Te najzwyczajniejsze białe lub czarne, wykonane z jedwabiu, są noszone przez osoby mniej zamożne, starsze i obojętne na modę. Jak już wspomniałam, strój Araba jest niekompletny bez jego broni.

Mężczyźni o wysokiej pozycji społecznej zdejmowali buty przy drzwiach do sali audiencyjnej, plebejusze już w pewnej odległości od nich. Nie jest to żaden despotyczny wymóg, ale znany od dawnych czasów sposób oddawania szacunku ludziom różnej rangi. Arabowie chętnie to czynią, zwłaszcza wobec rodziny królewskiej.

Kiedy sala się zapełniła, zaczynała się audyencja. Za życia mojego ojca królewski orszak poruszał się w następującej kolejności: najpierw kompania murzyńskich strażników, potem młodszy eunuchowie, starsi eunuchowie, sułtan, starsi synowie sułtana, a na końcu jego młodszy synowie. Przy drzwiach strażnicy i eunuchowie stawali po bokach, tworząc przejście dla mojego ojca i braci. Wszyscy obecni wstawali, by powitać Seyyida Saïda. W taki sam sposób sułtan wychodził z audyencji. Jeśli któryś ze szlachciców wyszedł przed nim, przechodził z nim może kilka kroków po sali, podczas gdy pozostali stali.

Rzadko podawano kawę rano, ale jej serwowanie było z reguły elementem wieczornych audyencji. Petycje i skargi przedstawiano ustnie i w takiej też formie uzyskiwano odpowiedź. Na Zanzibarze niechętnie posługiwano się dokumentami. Zwykle więc petenci musieli przychodzić osobiście. Sprawy mniejszej wagi przekazywano ministrowi, kadiemu lub głównemu eunuchowi. Audyencja trwała około dwóch godzin, a pytania, na które nie udzielono odpowiedzi, musiały poczekać do następnego dnia.

Książęta w wieku od czternastu do szesnastu lat mogli brać udział w audyencjach, starsi byli już do tego zobowiązani. Również każdy notabl musiał pojawić się przed swoim władcą raz dziennie, chyba że uniemożliwiły mu to naprawdę istotne oko-

liczności. W przypadku dłuższej nieobecności sułtan wysyłał za-
pytanie, a jeśli powodem była choroba, sam udawał się na miej-
sce. Żadnej choroby, choćby najbardziej zaraźliwej, ani cholery,
ani ospy, nie uważano za przeszkodę. Wszystko jest bowiem
w rękach Boga.

W świecie Orientu mężczyźni najchętniej odwiedzają się
o tej samej porze co kobiety, czyli po siódmej wieczorem. Arab
musi mieć konkretny cel, żeby wyjść z domu. Obca jest mu idea
spacerów, a jeśli widzi Europejczyka przechadzającego się wie-
czorem po dachu, wyobraża sobie, że to jakaś forma chrześci-
jańskiej modlitwy. Same wizyty mężczyzn nie różnią się zbytnio
od tych składanych przez płć przeciwną, jedynie rozmowa
obejmuje szerszy zakres tematów zarówno lokalnych, jak i kra-
jowych. Omawia się ostatnią audiencję u sułtana, różne wniesi-
one petycje i rozstrzygnięte sprawy sądowe. Europejczycy,
których często zaprasza się na męskie spotkania towarzyskie, są
bardziej zaznajomieni z tą stroną naszego patriarchalnego spo-
łeczeństwa niż z toczącym się w odosobnieniu życiem kobiet
na Wschodzie.

Rozdział XIV

Mahometańskie święta

Powszechnie wiadomo, że świat muzułmański pości przez cały dzień przez jeden miesiąc w roku. Katolicyzm jest pod tym względem dużo mniej surowy. Post jest obowiązkowy dla wszystkich wyznawców islamu, w tym dzieci powyżej dwunastego roku życia. Moja matka była jednak niezwykle pobożną kobietą, dlatego kazała mi pościć w ramadan, odkąd tylko skończyłam dziewięć lat. Powstrzymywanie się od jedzenia i picia przez czternaście i pół godziny dziennie jest bardzo trudne dla tak małego dziecka. Głód jest dużo bardziej znośny niż pragnienie, którego doświadcza się w tropikach. W tym wieku miałam naturalnie dość mgliste pojęcie o religii i przyznaję, ku mojemu zawstydzeniu, że od czasu do czasu wypijałam ukradkiem łyk wody. Wypytywana przez matkę przyznawałam się do swojego występku, a ona mi wybaczała pod warunkiem, że nie złamię świętego prawa ponownie. Ścisłe przestrzeganie reguł nie pozwala nawet na celowe przełknięcie śliny.

O czwartej nad ranem strzela się z armaty, jest to sygnał do rozpoczęcia postu. Gdyby ktoś był w trakcie jedzenia, musi

natychmiast przestać; gdyby właśnie miał podnieść naczynie z płynem do ust, po usłyszeniu dźwięku musi je odstawić. Od tego momentu żaden zdrowy dorosły nie może zjeść ani kęsa ani wypić nawet kropli wody. Dlatego podczas ramadanu ludzie w ciągu dnia najczęściej śpią, a nocą bawią się do późna. Słońce zachodzi o szóstej, post można przerwać po modlitwie, czyli o wpół do siódmej. Jako pierwsza przekąska na poszczających czekają owoce i zimna woda źródłana w glinianych słojach. Wkrótce potem rodzina zbiera się, by w ramach rekompensaty za cały dzień postzczenia spożyć obfity posiłek. Ceniący na co dzień prostotę i umiar przy stole Arab podczas ramadanu staje się żarłokiem.

Wieczory, a raczej noce, spędzane są wspólnie na śpiewaniu pieśni religijnych, recytowaniu, opowiadaniu różnych historii oraz oczywiście jedzeniu i piciu. O północy armata budzi tych, którzy już zasnęli. To znak, że czas przygotować *suhur*, posiłek podawany między trzecią a czwartą rano w prywatnym pokoju. W ten sposób mija cały miesiąc. Na początku zdarzają się przypadki omdleń, a ludzie wyraźnie chudną. Stopniowo się jednak przyzwyczajają, coraz mniej osób śpi przez cały dzień, a wielu z tych, którzy wychodzili tylko na modlitwę i posiłek o wpół do szóstej, zaczyna się pokazywać publicznie jak zwykle.

Wszyscy mieszkańcy domu muszą ściśle przestrzegać postu. Oczekuje się, że będą też upominać swoich służących. Robotnicy na plantacjach, w dużej mierze niewyznający żadnej religii, mają swobodę postzczenia lub nie, jak im się podoba. Małe dzieci i chorzy są zwolnieni z zachowywania postu, ale ci ostatni muszą odrobić ramadan po wyzdrowieniu poprzez postzczenie przez taką samą liczbę dni. Również podróż-

ni i kobiety przebywające w odosobnieniu mogą odłożyć post w czasie.

Sam post jest oczywiście tylko zewnętrznym przejawem obchodzenia ramadanu, podczas którego religijny muzułmanin poddaje się refleksji, aby mógł naprawić swoje moralne błędy i prosić o przebaczenie za grzechy – podobnie jak w Wielkim Tygodniu pobożny chrześcijanin przygotowuje się do przyjęcia sakramentu komunii. Człowiek stara się w tym miesiącu czynić wszystko, co dobre, unika nawet zabijania dzikich zwierząt. Ramadan zmiękcza serca, zbliża człowieka do Boga, ulepsza i uszlachetnia przynajmniej na ten czas, jeśli nie na całe życie.

Tradycyjna gościnność Arabów osiąga w tym okresie swoje apogeum, staje się wręcz dogmatem religijnym. Każdy, kto ma dom lub rodzinę, przyjmuje u siebie ogromną liczbę gości, z których niektórych nie zna nawet z imienia. Po prostu prosi czytającego modlitwy w meczecie, do którego uczęszcza, o przysłanie pewnej liczby osób na kolację każdego wieczoru. Nie ogranicza się to do ubogich, zaproszeni są też mężczyźni z wielkim majątkiem oraz obcy przebywający w tym świętym okresie z dala od własnego domu. Prawdziwie gościnny Arab jest zachwycony, że może przyjąć taką osobę. Nikt nie wzbrania się przed otrzymywaniem jedzenia i picia od kogoś o niższej pozycji społecznej, nie ma też mowy o zapłacie, zaoferowanie w zamian pieniędzy stanowiłaby zniewagę. Dzięki takim zasadom gościnności samolubstwo nie ma szans na zakorzenienie się wśród ludzi. Szczęśliwy jest naród, który uważa miłość braterską za swój święty obowiązek.

Ramadan do pewnego stopnia przypomina tygodnie poprzedzające Boże Narodzenie, ponieważ na początku miesiąca,

który po nim następuje, rozdaje się prezenty. Nieczęsto ofiarowuje się robótki ręczne, a jeśli już, to tylko w gronie najbliższych. I tutaj niełatwo zachować w tajemnicy ich przygotowanie. Wiele razy widziałem samotną postać pochylającą się nad swoim zadaniem w nieodwiedzanym zakątku pałacu przy jasnym świetle afrykańskiego księżyca. Zwykle jednak kupuje się gotowe prezenty, a jubilerzy dobrze w tym okresie zarabiają. Ten rodzaj handlu został całkowicie zdominowany przez wschodnioindyjskich Banianów, niezrównanych w sprycie, oszustwie i podstępie. Są tak biegli w swoim rzemiośle, że całkowicie wyparli arabskich złotników. W tym sezonie zalewają ich zamówienia, a oni nikomu nie odmawiają. Gdy chcieliśmy zapewnić sobie szybkie wykonanie zamówienia, wysłaliśmy kilku uzbrojonych niewolników, aby pilnowali naszego człowieka przy pracy i uniemożliwili mu wykonywanie innych zleceń. To bez wątpienia drastyczna metoda (wymyślona przez moją siostrę), ale konieczna w przypadku tych nieszczęśliwych Hinduśców, których słowo nic nie znaczy i którzy są nędznymi tchórzami.

Najbardziej pożądanymi prezentami były biżuteria i broń, choć podarować można było w zasadzie wszystko, w tym pełnokrwiste konie, białe muły, a także — co zapewne będzie szokujące dla cywilizowanego Europejczyka — niewolników!

Ostatni tydzień jest więc wypełniony różnymi zajęciami i oczekiwaniem. Dwudziesta szósta noc Ramadanu jest szczególnie ważna, ponieważ to wtedy Mahomet otrzymał Koran w darze od Niebios. Kiedy wreszcie nastaje ten wielki dzień, a raczej kiedy zapada zmierzch, wszyscy wychodzą na zewnątrz, żeby obserwować księżyc. Nie ma innego wyjścia, ponieważ na-

sze almanachy są przeznaczone tylko dla uczonych, nie są więc zbyt pomocne. Post można zakończyć, tylko kiedy księżyc w nowiu jest rzeczywiście widoczny. Bardzo pożądane są w tym okresie teleskopy i lornetki. Takie przedmioty wędrują z rąk do rąk, a przyjaciele i znajomi nawet z bardzo daleka posyłają prośby, żeby je pożyczyć. Nasz ojciec wysyłał ludzi z sokolim wzrokiem na dach fortu – reliktu portugalskiego panowania – i na maszty swoich statków z misją wypatrzenia srebrnego półksiężyca. Tego dnia już od południa daje się wyczuć powszechne napięcie. Co chwila ktoś wyobraża sobie, że usłyszał wyczekiwany sygnał – każdy dźwięk jest z nim mylony. Wreszcie, gdy rozlega się strzał, całe miasto daje głośno upust radości i wymienia się świątecznymi życzeniami.

Trudniej jest na wsi. Tam nie dociera sygnał dźwiękowy od przezornego władcy, że nadszedł właściwy czas. Ludzie mieszkający na plantacjach wysyłają do miasta konnego posłańca, który po usłyszeniu dźwięku wielkiego działa wraca wiadomością, że wypatrzone księżyc w nowiu. Inni pozwalają niewolnikom wspinać się na najwyższe palmy, z których ci skanują horyzont. Jeśli jednak sługa pomyli podłużny obłok z księżycowym sierpem, post jest przerwany przedwcześnie, a błąd pozostaje niezauważony, dopóki nie nadejdą wieści z miasta. W takiej sytuacji brakujący post należy nadrobić, co niewątpliwie jest dużym zawodem dla przepelnionego już duchem świąt ciała.

Ostatni tydzień Ramadanu to nie tylko czas wielkiego pieczenia, lecz także kupowania ogromnych ilości wołów, owiec, kóz, gazeli, kurczaków i gołębi, które przepelniają stajnie, obory i kurniki. Nie jemy cielęciny, a muzułmanom surowo

zabrania się spożywania wieprzowiny. Dobrze sytuowani ludzie rozdają w tym okresie pieniądze biednym, aby i oni mogli zaspokoić swoje potrzeby.

Po odgłosie armaty, pozwalającym na rozpoczęcie tak zwanej małej uczty, w arabskim domu panują coraz większe podniecenie i tumult. Setki rozpromienionych śmiertelników spieszą się tam i z powrotem, zapominając nawet o tym, żeby zachować dostoyny wygląd, żeby pobłogosławić rodzinę i przyjaciół oraz przekazać im najlepsze życzenia. Wśród tego religijnego uniesienia dwaj wrogowie często podają sobie ręce, mając nadzieję, że dzięki zgodzie pomiędzy sobą i oczyszczeniu serc zasłużą na Boże przebaczenie.

Z powodu radosnych okrzyków w różnych językach i przekleństw rzucanych w stronę przepracowanych niewolników tej nocy trudno jest zasnąć. Zwłaszcza służący nie mają czasu na odpoczynek. Rzeźnicy rzucają się na swoje krzyczące lub piszczące ofiary, aby je zabić, wypowiedziawszy najpierw zwyczajową formułę „w imię Boga Wszechmiłosiernego”. Zgodnie ze świętym rytuałem zwierzęciu podrzyna się gardło, odcina głowę, a tuszę obdziera ze skóry. W takiej postaci trafia do kuchni. Ze wszystkim trzeba zdążyć przed ucztą, która ma miejsce następnego dnia.

Po tym hurtowym uboju nasze podwórko zamieniało się w ocean krwi. Mieszkający na Zanzibarze wegetarianie, Baniarowie, nie znosili naszych uczt i stronili od miejsc, w których kładziono zwierzęta pod nóż. To praktycznie jedyni producenci dóbr na wyspie, a jednocześnie lichwiarze i dusigrosze. Szczerze znienawidzeni przez swoje ofiary, są przez nie przy tych okazjach w okrutny sposób wyśmiewani. Pod pretekstem, że jakaś

bogata dama chce dokonać zakupu, ludzie zwabiają Banian — którzy zawsze szukają okazji, żeby ubić jakiś interes — do tej krwawej łaźni, gdzie wystawiają ich na drwiny. Trzeba jednak przyznać, że ci czciciele gwiazd, jakkolwiek skorumpowani, wiernie przestrzegają wegetariańskich nauk swojego wyznania.

Nie tylko hałas nie daje tej nocy spać damom, które głowią się nad tym, jak przyćmić inne kobiety przepychem swoich strojów. Festiwal trwa trzy dni, na każdy z nich trzeba przygotować inne ubranie: zupełnie nowe, aż do najmniejszego szczegółu, od stóp do głów. Perfumy są wtedy używane w takiej obfitości, że można to porównać do ilości piwa wypijanego w Berlinie podczas Zielonych Świątek. Wiele arabskich dam wydaje pięćset srebrnych dolarów rocznie na perfumy, których zapach mógłby zapewne zemdląć, gdyby nie to, że okna i drzwi są cały czas otwarte.

Ważną rolę w orientalnej odświeżonej toalecie odgrywa otrzymywana z liści pewnego krzewu henna, której używa się do trwałego barwienia dłoni kobiet i dzieci na czerwono, ale także do leczenia pryszczycy, piegów i świądu. Jednak liście henny — przypominające liście mirtu — nie są skuteczne same w sobie. Po wysuszeniu i sproszkowaniu miesza się je z sokiem z cytryny i odrobiną wody, następnie wyrabia się z nich ciasto, które wystawia się na słońce, a na koniec ponownie dodaje sok z cytryny, aby zapobiec stwardnieniu mikstury.

Poddawana zabiegowi hennowania kobieta leży sztywno na plecach. Najpierw masę nakłada się na jej stopy: wierzch pozostawia się niepofarbowany, za to pokrywa się henną każdy palec, podeszwy i boki. Następnie nakłada się warstwę miękkich liści i szczelnie bandażuje. Z rękami postępuje się dokład-

nie w ten sam sposób. Pozostawia się tylną część dłoni, za to hennuje się i owija krawędzie i każdy palec aż do pierwszego stawu. Próżna piękność leży nieruchomo na swoim łożu całą noc, aby nie oszpeciło jej przesunięcie się masy. Ważne jest bowiem to, że tylko wymienione przeze mnie części ciała mogą być zabarwione. Jeśli henna pojawiłaby się na grzbiecie dłoni lub powyżej pierwszego stawu palca, zostałoby to uznane za ohydne. Kobieta nie ma jak się bronić przed komarami i muchami. Bogaci mają tu pewną przewagę, ponieważ do ich odganiania mogą wykorzystać niewolników. Rano masa jest starannie usuwana. Tortura powtarza się kolejnej nocy i jeszcze następnej, ponieważ trzy aplikacje są niezbędne, by pozostawić na skórze odcień bogatej, ciemnej czerwieni, która utrzyma się przez miesiąc pomimo codziennego mycia. Starsze kobiety i dzieci nie poddają się tym zabiegom, ale używają henny w płynnej postaci do ochładzania i obmywania dłoni.

W świąteczny poranek wszyscy wstają o czwartej i długo przeciągają pierwszą modlitwę, gorąco dziękując wszechmocnemu Stwórcy i Władcy Wszechświata za wszelkie dobrodziejstwa, a nawet za choroby, które na nas zesłał, by poddać nas próbie. Potem można zobaczyć wystrojone kobiety spieszące werandami, aby pokazać się choć kilku innym, gdyż już godzinę później, wśród ogólnego przepychu i masy wspaniałości, jednostka nie ma szansy się wyróżnić. Można by to porównać do sali balowej, gdyby nie blada monotonia bieli, tak znamienna na Północy. U nas, na Wschodzie, nosi się tylko jaskrawe zestawienia kolorów. Modna Europejka byłaby zszokowana widokiem Arabki ubranej w podobną do długiej koszuli, obszytą na całej długości złotą i srebrną nicią, czerwoną, wzorzystą, je-

dwabną szatę zestawioną z parą zielonych satynowych spodni! Zapewne uznałaby taki widok za niezwykle, podobnie jak ja, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Europejczyków chodzących w szarościach zestawionych z szarościami i czernią z czernią. Nie lubiłam kolorów zachodniej cywilizacji i długo musiałam się przekonywać do tego uznawanego za elegancki sposobu noszenia się.

O szóstej słycać następny wystrzał z armaty, a potem kolejne. Nawet obce okręty wojenne, które znalazły się w porcie, dołączają do salw z dwudziestu jeden dział, aby uczcić to wydarzenie. Każdy, jak tylko może, manifestuje swoją radość, strzelając, i nie szczędzi prochu. Ktoś obcy zapewne pomyślałby, że miasto jest bombardowane. Wszystkie statki są pięknie udekorowane, flagi powiewają na rejach i masztach zarówno rodzimych, jak i zagranicznych jednostek.

Jeszcze godzina i wszystkie meczety się zapelniają. Setki ludzi, które nie dały rady dostać się do środka, odprawiają swoje modlitwy na zewnątrz. Sprawowanie kultu wymaga od muzułmanina wysiłku fizycznego, gdyż czciciel musi wielokrotnie nisko się schylać, dotykając czołem ziemi w Boskiej obecności. Na brudnej, kamienistej ulicy nie jest to żadna przyjemność, ale żaden wierny uczeń islamu nie pozwoli, by deszcz, burza czy cokolwiek innego zakłóciło jego modlitwy, a w dni świąteczne uważa za obowiązek odprawienie ich w meczecie lub w jego pobliżu. Seyyid Saïd miał zwyczaj przestrzegać tej zasady. Odwiedzał święty przybytek w pobliżu pałacu z synami i niezliczoną eskortą. Kolejna salwa artyleryjska oznacza zakończenie nabożeństwa i od tego momentu można rozkoszować się do woli ulubionymi przysmakami, a post przestaje obowiązywać.

My, kobiety, czekałyśmy na powrót sultana w jego apartamentach. Wstawaliśmy na jego powitanie, aby mu pogratulować i złożyć pełen szacunku pocałunek na jego dłoni. Aristokratyczna ręka każdej płci musi sporo znieść w święta religijne. Jest myta i perfumowana bez końca: od świtu do zmierzchu. Równi sobie całują się w rękę, osoby z klasy średniej dotykają ustami pochylonej głowy wyżej urodzonego, pospółstwo może tylko ucałować jego stopy.

Podczas świąt mój ojciec zarządzał wielkie rozdawanie prezentów. Różniło się to tyle od opisanego przeze mnie wcześniej obdarowywania się podarkami, że tym razem ich wręczanie odbywało się pod nadzorem głównego eunucha. Te prezenty były uniwersalne. Sultan obdarowywał nie tylko swoją rodzinę, lecz także azjatyckich i afrykańskich szlachciców przebywających w stolicy, wszystkich urzędników państwowych, żołnierzy i ich oficerów, kapitanów i ich marynarzy, zarządców swoich czterdziestu pięciu plantacji oraz wszystkich swoich niewolników, których było być może około ośmiu tysięcy. Uroczy niemiecki zwyczaj, zgodnie z którym dzieci dają rodzicom prezenty urodzinowe i świąteczne, nie jest znany w moim kraju, gdzie urodziny mijają niepostrzeżenie, a głowa rodziny nigdy nie otrzymuje nic od swoich dzieci.

Mahometanie obchodzą tylko dwa święta w roku, co może się wydawać niezrozumiałe dla katolików z ich licznymi dniami świątecznymi. „Małe święto” [ramadan — przyp. tłum.] dzieli od „wielkiego święta” [Święta Ofiarowania, zwanego też kurbanem — przyp. tłum.] dwa miesiące zwane *bajram*. Drugie z nich obchodzi się bardzo podobnie do pierwszego, ale jeszcze bardziej wystawnie i z większym zapalem. Jest to czas na pielgrzym-

kę do Mekki, którą każdy wierzący powinien odbyć co najmniej raz w życiu. Niezrażeni cholerą i innymi chorobami przenoszonymi przez tysiące pielgrzymów gorliwi muzułmanie napływają w niezliczonych ilościach do świętego miasta Proroka, żeby tam prosić o przebaczenie grzechów. Pielgrzymujący muszą pokonywać ogromne odległości pieszo, a warunki podróży na statkach tak zatłoczonych, że ludzie prawie na sobie leżą, są przerażające. Mimo to muzułmanie pielgrzymują dalej, a ich los jest w rękach Pana. Taka niezłomność – pomimo wysiłków, trudów i niebezpieczeństw – zaiste zasługuje na Jego przychylnie spojrzenie.

Święto Ofiarowania przypada na dziesiąty dzień dwunastego miesiąca i trwa od trzech do siedmiu dni. Każdy, kto może sobie pozwolić na kupno owcy, zabija ją pierwszego dnia i rozdaje mięso ubogim. Prawo nakazuje, aby zwierzę było doskonałe, bez żadnej skazy, bez choćby brakującego zęba. Ani właściciel zwierzęcia ofiarnego, ani jego rodzina, ani nawet słudzy nie mogą dotykać mięsa; każdy kęs należy do biednych.

W krajach Orientu (nie wliczam tu Turcji, Egiptu i Tunezji, bo to cywilizacje na wpół europejskie) nikt nie wie, co to akcje i obligacje, nie znamy też słowa „inwestycja”. Na majątek Araba składają się plantacje, domy, niewolnicy, bydło, biżuteria i gotówka, a zasady moralne nakazują mu oddawać biednym dziesiątą część wszystkiego, co pozostaje mu z jego upraw, wynajmu domów lub innych źródeł dochodu. Co więcej, jego zasoby zgromadzone w złocie, srebrze i kamieniach szlachetnych muszą zostać wycenione przez eksperta, ponieważ również jedną dziesiątą z nich należy przeznaczyć dla ubogich – to jak podatek dochodowy i podatek od nieruchomości w jednym! To wszystko odbywa się bez odgórnych regulacji narzuconych

przez władze, każdy jest związany swoją własną duszą. Jest to prawo Proroka, dlatego należy się do niego stosować bez zbędnych komentarzy i dyskusji, i to w ukryciu, żeby lewa ręka nie wiedziała, co czyni prawa. Przestrzegamy więc tej zasady z największą skrupulatnością, aby nie dręczyły nas wyrzuty sumienia.

W takich okolicznościach każde państwo muzułmańskie musi dysponować armią ubogich. Jak inaczej można by się wiązać z obowiązku samoopodatkowania? Tutejsi nędzarze nie przypominają jednak nieszczęsnych stworzeń, które widziałam w Europie. Charakteryzują się raczej tym, że posiadają może połowę tego, ile by chcieli. Zebranie jest ich zawodem, jest ich drugą naturą i gdyby przestali to robić, byłiby nieszczęśliwi. Czasami żebractwo przechodzi z pokolenia na pokolenie, dlatego czasem można usłyszeć: „Nie znasz mnie? Jestem synem (lub córką, lub szwagierką itd.) takiego i takiego, dla którego byłeś tak dobry, kiedy żył. Ja zająłem jego (lub jej) miejsce, dlatego jeśli masz coś do oddania, proszę, przyślij to do mnie”.

Kiedykolwiek musieliśmy spełnić nasze obowiązki, a zdarzało się to kilka razy w roku, żebracy przychodzili, aby uczestniczyć w zwyczajowym rozdawaniu jałmużny. Gdy ktoś zachorował, dowiadywali się o tym i stawali na straży pod oknami, za co dostawali sowite wynagrodzenie. Nie wiem, czy ta forma dobroczynności jest wyrazem braterskiej miłości, czy raczej sposobem na przebłaganie Wszechmogącego; w każdym razie jest to piękny zwyczaj.

Wielu jest jednak też żebraków pokrytych wrzodami. Zdarzają się osoby okropnie okaleczone, a także takie, którym odpały nosy. Te ofiary choroby, którą nazywamy *belas*, mają ręce

i stopy białe jak śnieg. Nikt nie chce mieć niczego wspólnego z tymi ludźmi, których dolegliwość jest uważana za zaraźliwą. Nie wiem, czy choroba, o której mowa, to trąd. Ci nieszczęśnicy otrzymują obfite jałmużny, które czynią ich żalospną egzystencję nieco bardziej znośną. Obowiązek wspomaganía ubogich nie ogranicza się do okresu świątecznego. Ci, którzy byli chorzy lub z innego powodu nie mogli uczestniczyć w tym czasie w rozdawaniu jałmużny, na przykład z powodu podróży, nie rezygnują z przypadających im datków. Mogą upłynąć całe tygodnie i miesiące od zakończenia święta, może się nawet zbliżyć następane, a ubodzy wciąż przychodzą i proszą o należne im dary.

Rozdział XV

Medycyna

Ludzie wychowani na Wschodzie nie dbają jakoś szczególnie o zdrowie i nie przestrzegają żadnych zasad z tym związanych. Pomocy szuka się dopiero w wypadku ciężkiej choroby, ale stosowane środki to zwykle czary-mary. Uniwersalnym lekiem na wszystko, od ospy po cholere, jest stawianie baniek z upuszczaniem krwi. Ten okropny zabieg jest też uważany za środek profilaktyczny. Dlatego osoby w dobrej kondycji poddają się mu przynajmniej raz w roku, aby ich krew została oczyszczona, a ciało wzmocnione przed ewentualną przyszłą chorobą. Pamiętam, że przy pewnej okazji w Bet il Mtoni aż głośno krzyknęłam, gdy zobaczyłam moją siostrę, która po upuszczeniu krwi zrobiła się biała jak ściana. Zemdląła z powodu osłabienia spowodowanego utratą krwi, a ja myślałam, że umarła.

Masaże kończyn są za to przyjemne i korzystne. Nasi niewolnicy byli w tej sztuce naprawdę biegli. Wspomniałam już wcześniej, że tak nas usypiali i budzili. Masaże są bardzo modne w przypadku różnych rodzajów niedyspozycji, zwłaszcza

tw. bólów ciała. Kolejnym lubianym sposobem leczenia jest wywoływanie wymiotów. Wymaga to wypicia ziół tak okropnych w smaku, że samo zbliżenie do nich nosa powoduje pożądany efekt.

W przypadku naprawdę ciężkiej choroby odwołujemy się do Siły Wyższej, używając sentencji z Koranu. Osoba znana z przykładnego życia zapisuje wybrane cytaty na talerzu wyciągiem z szafranu, który potem miesza się z wodą różaną. Napis zamienia się w napój dla chorego, który przyjmuje trzy dawki dziennie. Lekarstwo sporządza się z wielką ostrożnością, aby nie rozlać ani kropli świętego napoju. Sama zażywałam to lekarstwo przez kilka tygodni, gdy cierpiałam z powodu przewlekłej gorączki.

Zdarzały się wyjątkowe przypadki, że do łóżka chorego wzywano medyka, którym mógł być prawdziwy lekarz albo czarownik. Moja siostra Chole, po długim cierpieniu z powodu uporczywego, nieustającego bólu ucha, miała się udać do znanego perskiego lekarza, a ja dostałam pozwolenie na uczestniczenie w tej konsultacji. Chole ubrano tak, że nie można było jej rozpoznać, tylko chore ucho pozostawiono odkryte. Siostra siedziała na kanapie, a mój ojciec zajął miejsce po jej prawej stronie. Po lewej mój brat Khaled. Moi młodsi bracia, ubrani w odświętne szaty i w pełnym uzbrojeniu, utworzyli wokół nich półkole. Lekarz, eskortowany przez grupę eunuchów, wszedł do pokoju. Innych eunuchów rozstawiono w różnych częściach domu, aby odseparować inne kobiety, które mogłyby spotkać Persa. Sam lekarz nie odważył się zwrócić bezpośrednio do mojej siostry, przeprowadzał badanie za pośrednictwem mojego ojca i braci.

Kiedy w późniejszym czasie zachorowałam na tyfus, a wszystkie domowe środki zawiodły, siostra mojego ojca Assha postanowiła wezwać europejskiego lekarza. Mój ojciec już wtedy nie żył, a ja byłam do pewnego stopnia swoją własną panią, więc wizyta nie wymagała aż tylu formalności jak w przypadku Chole. Lekarz, o którym mowa, choć znał arabskie zwyczaje, nalegał na zbadanie pulsu, na co ciotka, szczerze o mnie zatroskana, w końcu wyraziła zgodę. I tym razem zebrano jednak zastępy eunuchów, a ja musiałam być całkowicie zakryta (byłam wtedy nieprzytomna, a historię tę usłyszałam potem od Asshy). Gdy medyk poprosił o obejrzenie mojego języka, główny eunuch tak gwałtownie go skarcił za tę zuchwałą prośbę, że uczeń Eskulapa opuścił nasz dom dotkliwie obrażony w swej zawodowej godności.

Arabowie nie mają pojęcia o klasyfikowaniu chorób. Znają tylko dwa rodzaje: bóle ciała i bóle głowy. Do pierwszej kategorii należą wszelkie dolegliwości żołądka, wątroby i nerek, do drugiej zalicza się wszystkie przejawy schorzeń atakujących głowę, czy to udar słoneczny, czy „rozmiękczenie mózgu”. Nikt nigdy nie dąży do odkrycia zasadniczej przyczyny choroby, a jeśli krajowe panacea okazują się bezskuteczne, czasami posyła się po lekarstwa do europejskiego lekarza. Ten jednak jest w niezręcznej sytuacji: nie wolno mu zobaczyć pacjentki i ma jedynie szczątkowe informacje o jej stanie. Nic więc dziwnego, że często zaleca niewłaściwe lekarstwo lub, w najlepszym razie, coś nieszkodliwego.

O dietach również tu nie słyszano. Jeśli ofiara cholery, ospy lub tyfusu ma apetyt, może go zaspokoić dowolnymi produktami spożywczymi, które oferuje kuchnia. Uznaje się, że jeśli oso-

ba ma na coś ochotę, musi to być dla niej dobre. Według mużulmanów wszystkim i tak rządzi wola Boska, dlatego pozostają ślepi na ryzyko zarażenia. Nikt nie pomyślałby na przykład o odizolowaniu chorych na ospę. Wspomniana przeze mnie łaźnia, nad którą przebiegało przejście łączące Bet il Sahel i Bet il Tani, popadła w ruinę i służyła jako dół na śmieci. Kiedy jednak pojawiło się zapotrzebowanie na dodatkowe pomieszczenia, wybudowano je na jej pozostałościach, tak że mieszkańcy praktycznie żyli nad masą brudu.

Naszą wyspę regularnie nawiedza ospa, zabierając ze sobą tysiące ofiar. Całe ciało chorego jest smarowane balsamem, a następnie wystawiane na słońce; albo pokrywa się je mlekiem kokosowym. Jeśli ze względu na bolesne wrzody chory nie może znieść kontaktu z pościelą, kładzie się go na miękkiej słomianej macie lub dużym świeżym liściu bananowca po usunięciu z niego sztywnego grzbietu. Nie próbuje się stosować żadnych metod uśmierzania bólu od wewnątrz, nie przemywa się jego ran wodą.

Suchoty też nie są tu niestety rzadkim gościem. Nijak się ich nie leczy, chociaż jest to choroba, której najbardziej się obawiamy i która jest zakaźna – jak twierdzą europejscy medycy. Wszyscy unikają chorego, nikt nie podaje mu ręki i nie pije z używanej przez niego szklanki. Wielu członków mojej rodziny zachorowało na gruźlicę w sile wieku. Rzeczy należące do zmarłych były dezynfekowane: ubrania i pościel prano nad brzegiem morza, a złote i srebrne przedmioty rozpalano do czerwoności.

Krztusiec u dzieci występuje na Zanzibarze tak często jak w Niemczech. Poi się je rosą zebraną z liści bananowca, a przesady załatwiają resztę: wysuszoną skórę dyni tnie się

na małe krążki, które nawleka się na sznurek i zawiesza na szyi. Czynaki różnego rodzaju pokrywa się z kolei wyschniętymi łupinami cebuli, które pełnią funkcję plastrów. Jeśli ktoś chce, żeby wrzód pękł, stosuje ciepłe ciasto. Nigdy nie wzywa lekarza! Nic poza prymitywnymi domowymi metodami!

Z drugiej strony bardzo poszukiwani i dobrze opłacani są wszelkiego rodzaju wróżbici. Zazwyczaj konsultowaliśmy się ze starą, jednooką jędzą po pięćdziesiątce. Jej magiczny przybory mieściły się w brudnej skórzanej torbie: małe muszelki i kamiki, wybielone kości zwierząt, kawałki potłuczonego szkła i porcelany, zardzewiałe żelazne gwoździe, wyszczerbione miedziane i srebrne monety itp. Kiedy kazało się jej odpowiedzieć na jakieś pytanie, modliła się do Boga o wskazówki, błędziła workiem i wysypywała przed sobą cały ten bałagan. W zależności od położenia tych wszystkich śmieci przepowiadała następnie wyzdrowienie pacjenta. Los zdawał się sprzyjać tej kobiecie, gdyż jej słowa często się sprawdzały, co czyniło jej interes podwójnie lukratywnym, a każda udana przepowiednia przynosiła dodatkową gratyfikację.

O wiele łatwiej leczy się zewnętrzne urazy. Krwawienie tamuje się za pomocą podpalki, ale ze złamaniami to już inna sprawa, o czym przekonałam się na własnej skórze. Byłam wtedy jeszcze dość młoda i nie mogłam siadać do stołu z sułtanem i resztą rodu. Pewnego dnia ojciec przysłał mi na talerzu jakieś smakołyki. Tak się spieszyłam, by pokazać je matce, że upadłam i zламаłam przedramię. Moja ciotka Assha i mój brat Barghasz zabandażowali mi je, ale nie ustawili kości prawidłowo. Kości krzywo się zrosły i stale przypominają mi, jak bardzo moim rodakom brakuje ekspertów z zakresu medycyny i chirurgii.

W moich rozważaniach na temat chorób zaniedbałam jak dotąd bardzo ważną postać — jego Szatańską Mość! To, że prawie wszyscy ludzie Orientu wierzą w diabła, jest — jak sądzę — faktem ogólnie znanym. Powszechnie wierzy się tu też jednak, że ma on skłonność do zamieszkiwania w istotach ludzkich. Nie ma na Zanzibarze żadnego dziecka, które nie zostałoby uznane za opętane. Wystarczy, że noworodek zbyt głośno krzyczy lub nie da się go uciszyć, natychmiast podejmuje się odpowiednie kroki, aby wypędzić z niego diabła. W tym celu dla dziecka przygotowuje się naszyjnik z małych główek cebuli i czosnku — nie jest to zły pomysł, jeśli założyć, że diabeł ma nos. Dorosłych też uznaje się za opętanych, choć zdecydowanie częściej kobiety niż mężczyźni. Zewnętrzne oznaki to skurcze, utrata apetytu, bezczynność, zamiłowanie do przebywania w ciemnych pomieszczeniach i podobne niezdrowe objawy.

Jednak aby dowiedzieć się, czy przyczyną rzeczywiście jest opętanie, przeprowadza się formalne dochodzenie. W ceremonii biorą udział osoby uważane za opętane i ich krewi. Pacjentka siedzi w ciemnym pomieszczeniu z głową zawiniętą tak szczelnie, że nie przenika do niej nawet nikły promień światła. Jest okadzana w dosłownym znaczeniu tego słowa, gdyż kadzielnica trzymana jest poniżej jej nosa pod sukniem. Pozostali otaczają ją i śpiewają osobliwą pieśń, od czasu do czasu kiwając głowami. Nie może też zabraknąć pewnego dość smacznego abisyńskiego napoju przygotowanego z poddawanych fermentacji daktyli i pszenicy. Pod jego wpływem pacjentka wpada w swego rodzaju trans i zaczyna mówić bez ładu i składu. W końcu dostaje szału, tupie i płacze. Jest teraz wypełniona duchem. Uczestnicy ceremonii zwracają się do niego i pytają o je-

go intencje, bo nie tylko złe, lecz także dobre duchy nawiedzają ludzi, aby ich pocieszać i chronić. Może się zdarzyć, że dana osoba zostanie opętana przez dwa duchy obu rodzajów jednocześnie, wtedy toczy się w niej zaciekle walka. Nieliczni mają odwagę, żeby w takim przypadku pozostać i być świadkami przerażających zaklęć i egzorcyzmów. Zły duch może zostać wypędzony przez praktykującego jasnowidza, ale z dobrym zawiera się umowę: musi on tylko w ustalonym czasie odwiedzać swoją protegowaną, przez którą zawsze będzie uroczyście witany, i wyjawić jej wszystkie tajemnice.

Z tymi idiotycznymi przesądami wiążą się inne, które należy potępić jako brutalne. Wiele osób uznanych za opętane nie pozwala, aby kozy i kury wybrane na ofiarę podczas tych sekretnych obrzędów były wcześniej zabijane, ale nalega na picie ciepłej krwi z żywego zwierzęcia. W ich trakcie zjada się też surowe mięso i tuziny nieugotowanych jajek. Nic dziwnego, że egzorcyzmy wielu nieszczęśników dosłownie zwalają z nóg.

Ludzie szybko uczą się złych nawyków. Chociaż mahometanie generalnie są skłonni do wiary w przesady, Omańczycy odrzucają takie bezsensowne praktyki, jakie tu opisałam. Kiedy przybywają do Afryki, z początku uważają nas za barbarzyńców i chcą natychmiast wracać. Wkrótce jednak stają się otwarci na te same idee, które potępił, i przyjmują nawet te najbardziej absurdalne. Poznałam kiedyś Arabkę tego rodzaju, która uważała się za opętaną przez złego ducha. Sądziła, że to przez niego choruje. Była przekonana, że można go przebłagać, jeśli urządzi uroczystość na jego cześć.

Wydaje mi się, że lepiej byłoby wysłać na Zanzibar lekarzy niż demoralizującą brandy. Dlaczego cywilizacja musi zawsze

przybywać wraz ze złymi nawykami? To świetna okazja do praktykowania chrześcijańskiej miłości bliźniego. Nie powinno to też nastęczyć zbyt wielu trudności. Ze swej strony chętnie, gdyby jakieś stowarzyszenie zdecydowało się na wysłanie emisariuszki, pomogłabym jej w nauce arabskiego i suahili — tyle mogłabym zrobić dla mojego ukochanego kraju. A przedsięwzięcie powinno się udać z ekonomicznego punktu widzenia. Jedyne warunki to, że lekarka musi być kobietą. Taka osoba zarobiłaby na Wschodzie więcej niż tuzin mężczyzn. Nawet w Europie kobiety często wolą korzystać z usług innych kobiet, a serca ludzi Orientu łatwo zdobywa się uwagą, wesołością i życzliwością.

Rozdział XVI

Niewolnictwo

Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy upłynął termin, po którym, zgodnie z traktatem zawartym między Anglią a Seyyidem Saïdem, posiadający niewolników brytyjscy poddani mieszkający w Zanzibarze byli zobowiązani do ich uwolnienia. Był to ciężki okres dla właścicieli, którzy bardzo narzekali na tę zmianę i wysyłali do nas swoje żony i córki, aby pozyskać naszą sympatię, choć oczywiście nie mogliśmy nic dla nich zrobić. Niektórzy trzymali stu lub więcej niewolników do pracy w swoich posiadłościach, które bez robotników przestały przynosić dochody, a to oznaczało finansową ruinę dla właścicieli. Przy okazji nasza wyspa „wzbogaciła się” o kilka tysięcy włóczęgów i złodziei. Ci dorośli o umysłach dzieci rozumieli, że wolność oznacza zwolnienie ich z dotychczasowej pracy, i chcieli jak najpełniej z tego skorzystać. Jednocześnie jednak po raz pierwszy znaleźli się w sytuacji bez schronienia i środków do życia.

Humanitarni apostołowie walki z niewolnictwem się nimi nie interesowali. Osiągnęli już swój cel, uwolniwszy tych nieszczęśników z oków poddaństwa. Nie było ich żartowaniem,

co się stanie z nimi potem. Dość już zrobiono, kiedy szacowne damy dziergały grube wełniane pończochy dla tych mieszkańców strefy równikowej. Niech tamtejsi władcy radzą sobie z leniwymi włóczęgami najlepiej, jak potrafią. Każdy, kto odwiedził Afrykę, Brazylię, Amerykę Północną lub jakikolwiek kraj, w którym żyją Murzyni, musi być świadomy ich niechęci do pracy, niezależnie od ich zalet.

Tylko brytyjscy poddani nie mogą od tamtego momentu posiadać niewolników. Anglia nie miała jednak prawa ingerować w to, jak mój ojciec rządził swoim krajem, i dlatego niewolnictwo nadal istnieje w Zanzibarze, tak jak we wszystkich mahometańskich krajach Wschodu. Nie należy jednak formułować swoich poglądów na temat niewolnictwa na Wschodzie na podstawie tego, jak ten proceder wygląda w Ameryce Północnej i Brazylii, ponieważ mahometańscy niewolnicy mają się nieskończenie lepiej.

Najgorszym elementem niewolnictwa jest handel. Zabrani z głębi kraju ludzie muszą odbywać długie marsze na wybrzeże, podczas których giną z głodu, pragnienia i zmęczenia. Jednak sam handlarz też musi znosić trudy podróży, a w jego interesie nie leży utrata ludzi, ponieważ taka karawana może stanowić cały jego majątek. Po dotarciu do miejsca przeznaczenia niewolnicy są zwykle pod dobrą opieką. To prawda, że muszą pracować bez wynagrodzenia, z drugiej jednak strony mają zapewnione utrzymanie i nie muszą się o nic martwić, a ich właściciele dbają, by utrzymać ich w dobrej kondycji. A może każdy niechrześcijanin jest bezdusznym lajdakiem?

Murzyni są bardzo leniwi i nie będą pracować dobrowolnie, dlatego należy ich pilnować. Nie są też takimi aniołami, znaj-

dą się wśród nich złodzieje, pijacy, uciekinierzy, podjudzaczę. Co z nimi zrobić? Puszczanie ich bezkarnie nie wchodzi w rachubę, gdyż to oznaczałoby zaproszenie do anarchii. Tacy ludzie niewiele robią sobie z groźby trafienia do więzienia, są wręcz zadowoleni z perspektywy kilku dni odpoczynku w chłodnym miejscu, gdzie można zebrać siły do nowych występów. W takich okolicznościach nie pozostaje nic innego, jak tylko chłosta. Wiem, jakie oburzenie wywoła takie stwierdzenie w pewnych kręgach w Europie. Zawsze jednak łatwiej jest oceniać sytuację teoretycznie, kiedy nie miało się z nią do czynienia w praktyce. Tak, chłosta jest nieludzka, ale niech ktoś zapewni jakiś jej substytut. Nawiasem mówiąc, czy nie lepiej było wymierzyć sporadyczną chłostę w niemieckich więzieniach niż bezkrytycznie stosować pozorny humanitaryzm wobec wszystkich typów więźniów?

Tyranię należy potępić niezależnie od tego, czy jej ofiarą pada biedny Muszyn, czy cywilizowany biały człowiek ciężko pracujący w syberyjskiej kopalni. Ale żeby być sprawiedliwym, nie można wymagać stosowania tych samych standardów dobra i zła w każdym miejscu na świecie. Niewolnictwo jest uświęconą instytucją wśród ludów Orientu. Wątpię, czy kiedykolwiek zostanie całkowicie zniesione. W każdym razie próby niszczenia panujących od wieków zwyczajów za jednym zamachem są niemądre. Europejczycy powinni więc działać powoli, a przede wszystkim sami dawać właściwy przykład. Wielu Europejczyków trzyma niewolników na Wschodzie, kupuje ich dla własnej wygody. Nie donosi się o tym w kraju albo mówi się, że to „dla dobra nauki”. Jaka jest różnica z moralnego punktu widzenia pomiędzy Arabem używającym niewolników do prac

polowych lub domowych a Europejczykiem zmuszającym ich do cięższej pracy przewoźnika, czyli *coolie*? Ponadto europejscy właściciele niewolników nie zawsze uwalniają Murzynów po długiej służbie, jak to często czynią Arabowie, ale ich odsprzedają.

Wielkie oburzenie ogarnęło kiedyś mahometan z Zanzibaru, gdy dowiedzieli się, że wyjeżdżający Anglik sprzedał swoją czarną konkubinę — nie na otwartym rynku (gdzie obecnie stoi angielski kościół), ale po cichu arabskiemu urzędnikowi. Był też inny incydent, który w podobny sposób naruszył nasze poczucie przyzwoitości: Sąsiad francuskiego konsula karcił swego krnąbrnego niewolnika tak surowo, jak na to zasługiwał, ale że jak wielu innych Murzyn ten był tchórzliwy i niezdolny do znoszenia bólu w milczeniu, wydał z siebie przeraźliwy skowyt, co wywołało dość arogancką interwencję Francuza. Sam konsul też jednak nie był święty i zdawał się wyznawać maksymę: niech inni praktykują to, co ja głoszę. Mieszkał bowiem z kupioną przez siebie Murzynką, która dała mu czarną córeczkę. Dziewczynkę ostatecznie przygarnęła francuska misja.

Nie powinno dziwić, że po takich doświadczeniach Arabowie nie ufają Europejczykom i tęsknią za powrotem do czasów, kiedy byli bezpieczni od natrętnych, wywrotowych idei. Wierzą, że zniesienie niewolnictwa ma na celu ich zrujnowanie, a tym samym zachwianie islamem. Szczególnie podejrzewa się o to Anglików jako przebiegłych intrygantów.

Żeby zaistniała realna możliwość zniesienia niewolnictwa, trzeba postępować powoli i z największą ostrożnością. Murzynów należy najpierw nauczyć samodzielnego myślenia i pracy, a ich panów przekonać, że zastosowanie ulepszonych maszyn

rolniczych pozwoli im obejść się bez setek robotników potrzebnych obecnie do uprawiania pól. Właściciel musi uwierzyć, że nikt nie zamierza go zniszczyć i że sprawiedliwość jest zarówno dla niego, jak i dla poddanego. Byłoby to z pewnością bardziej humanitarne i bardziej chrześcijańskie niż ostentacyjne budowanie kościoła na rynku niewolników, co zresztą było zbyteczne, ponieważ dwa stojące już kościoły, jeden katolicki, drugi protestancki, doczekały się niewielu wiernych. Wszelkie tego typu metody mogą jedynie urazić Araba, który, jak większość ludzi Orientu, jest niezwykle konserwatywny i z największą wytrwałością trzyma się starych tradycji. Dlatego nie powinno mu się gwałtownie narzucać nowych idei, które są dla niego niezrozumiałe i oburzające. Brak zgody z europejskimi poglądami sprowadza na niego natychmiastowe oskarżenie o muzułmański fanatyzm, rzecz bardzo przesadzoną, o czym przekonałam się na własnej skórze, gdy wróciłam na Zanzibar po dziewiętnastu latach nieobecności. W międzyczasie zostałam chrześcijanką. Byłam więc zdrajczynią, czym powinnam sobie zasłużyć na nienawiść moich rodaków bardziej, niż gdybym się nią urodziła. Mimo to wszyscy powitali mnie ze szczerą serdecznością, polecając mnie opiece Boga. To nie fanatyzm, ale instynkt samozachowawczy, który bierze górę, gdy cenione od wieków instytucje są atakowane przez ignoranckich lub niegodnych przedstawicieli chrześcijaństwa.

Murzyni są zazwyczaj obojętni na jakiegokolwiek wyznania, a ich nawrócenie często zależy od tego, jakie zachęty mogą zaoferować misjonarze. Angielski duchowny na Zanzibarze skarżył mi się kiedyś, że liczebność jego trzódki zmienia się w zależności od stanu zaopatrzenia wysyłanego do niego z rodzimego

kraju. Zanim Murzyn będzie mógł wejść na wyższy poziom duchowy, musi zostać w nim obudzony instynkt religijny. I w tym wypadku trzeba działać powoli!

Ponieważ ja sama mogę być uważana za uprzedzoną w kwestii pracy bez wynagrodzenia czarnych robotników, odsyłam moich czytelników do ostatnich europejskich analiz tego zagadnienia. Po pierwsze do doniesień Reicharda z Niemieckiego Towarzystwa Afrykańskiego, a po drugie do książki Josepha Thomsona „Do jezior środkowoafrykańskich i z powrotem”. Obie publikacje ukazały się w 1881 roku. Pozwolę sobie zakończyć cytując to, co pewien Anglik powiedział mi po opuszczeniu Zanzibaru. Scharakteryzował on cały ruch antyniewolniczy z jego publicznymi wystąpieniami jako zwykły humbug.

Rozdział XVII

Spisek w rodzinie

Po śmierci ojca mieszkałam w Bet il Tani z moją matką i Chole, otoczona miłością i przyjaźnią. Niestety po trzech latach szczęśliwego życia naszą wyspę ogarnęła epidemia cholery, która codzinnie zabierała życie kilku osób z naszego domu. Epidemia ta wybuchła w najgorętszym okresie roku. Pewnej nocy, kiedy nie mogłam już wytrzymać w łóżku z powodu uciążliwej temperatury, kazałam mojej służącej rozłożyć na podłodze miękką matę. Miałam nadzieję, że w ten sposób znajdę ochłodę i odpocznę.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po przebudzeniu znalazłam moją ukochaną matkę wijącą się z bólu u moich stóp. W odpowiedzi na moje pełne niepokoju pytania, jęknęła, że spędziła tam pół nocy. Czuła, że cholera ją zabierze, dlatego chciała być blisko mnie w swoich ostatnich chwilach. Cierpienia mojej drogiej matki z powodu tej strasznej choroby były tym bardziej okropne, że nie mogłam w żaden sposób jej pomóc. Walczyła przez dwa dni, a potem opuściła mnie na zawsze. Moja żałoba nie знаła granic. Nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo zarażenia, de-

speracko przylgnęłam do ciała matki. Niczego nie pragnęłam bowiem w tamtej chwili bardziej niż tego, aby Bóg powołał mnie do siebie. Choroba mnie jednak oszczędziła, a ja z rezygnacją oddałam swoje serce Wszechmiłosiernemu i Wszechmądemu.

I tak w wieku piętnastu lat zostałam sierotą, nie miałam już ani ojca, ani matki. Dryfowałam jak statek bez steru na otwartym morzu. Moja matka zawsze kierowała mną z rozwagą i rozsądkiem, a ja nagle stanąłem w obliczu obowiązków i odpowiedzialności dorosłego człowieka, który musi dbać nie tylko o siebie, lecz także o swoich podopiecznych. Szczęśliwie Pan wraz z obowiązkami zsyła na nas też siłę, aby im sprostać. Dzięki temu byłam w stanie ocenić swoje położenie i załatwić swoje sprawy bez niczyjej pomocy.

Czekały na mnie jednak nowe kłopoty: niemal bezwiednie wpłatałam się w spisek przeciwko mojemu szlachetnemu bratu Madżidowi!

Wyglądało na to, że po śmierci ojca na zawsze zapanowała wśród nas niezgoda. Choć utrzymanie doskonałej harmonii między trzydziściorciem sześciorgiem rodzeństwa może być trudne w każdych okolicznościach, po odejściu Seyyida Saïda podzieliliśmy się na mniejsze grupy po trzy lub cztery osoby. Dla obcych ta sytuacja była niezrozumiała. Nawet nasi najbliżsi znajomi nie zawsze orientowali się w tym zawilym systemie sympatii i antypatii. Lojalny przyjaciel mojego brata, bliski przyjaciel mojej siostry mogli stać się moimi najzacieklejszymi wrogami, jeśli nie należeli do mojego kręgu. Chociaż taki stan ustawicznego sporu nie mógł mieć żadnych innych skutków niż katastrofalne, byliśmy zaślepieni pasją i nierozsądnie ścigaliśmy się nawzajem napędzani nienawiścią.

Osobiste kontakty pomiędzy nami wkrótce całkowicie ustały. Liczni szpierzy, których wszyscy utrzymywaliśmy, pogłębiali tę przepaść, donosząc o każdym słowie lub ruchu wroga. Szpierzy przychodzili nocą po swoją nagrodę, a jej wartość zmieniała się w zależności od rzeczywistej przydatności ich wiadomości lub tego, jak wiele zawierały jadu. Czasami zakapturzona postać pukwała po północy do bram, a my budziliśmy się ze snu, aby przeprowadzić wywiad z informatorem, który odchodził hojnie za nią wynagrodzony.

Madżid i Chole byli wtedy w jak najlepszych stosunkach, co bardzo mnie cieszyło, ponieważ kochałam ich oboje z całego serca. Po śmierci mojej matki oboje też traktowali mnie, jakbym był ich własnym dzieckiem. Niestety uczucia pomiędzy nimi stopniowo stygły za sprawą mojego brata Barghasza, aż w końcu całkowicie zerwali kontakty. Ponieważ byłam bardzo przywiązana do Chole, z przykrością przyznaję, że to ona, a nie Madżid, zawiła — choć nie mogę tu wyszczególnić czynów, które ich poróżniły.

W tamtym okresie toczyła się we mnie wewnętrzna walka. Mieszkałam z Chole, jadłam z nią posiłki, a w ciągu dnia byliśmy nierozłączni. Kiedy zaczęła unikać Madżida i okazywać mu wrogość na wszelkie sposoby — zupełnie bez powodu — miałam nadzieję, że uda mi się zachować neutralność. Próbowałam bronić mojego niewinnego brata, którego jedyne przewinienie polegało na tym, że to on, zamiast Barghasza, został sułtanem. Przez długie miesiące byłam pomiędzy młotem a kowadłem, wahając się, po której stronie stanąć. W końcu nadszedł moment, kiedy nie mogłam już dłużej odwlekać decyzji. Przyłączyłam się do mojej siostry Chole, choć ta była w gor-

szym położeniu. Ceniłam ją najbardziej ze wszystkich, a jej panowanie nade mną stało się absolutne.

Madżid, człowiek o bardzo szlachetnym usposobieniu, zdobył miłość całego swego ludu. Był jednak chorowity i nie mógł sam zajmować się wszystkimi sprawami państwowymi, pozostawiając wiele z nich swoim ministrom. Jeden z nich, Soliman bin Ali, posiadał niestety umiejętność czynienia siebie niezbędnym. Ten przebiegły łotr stopniowo doprowadził do tego, że to jego wola decydowała o losach kraju. Pozostali ministrowie stali się jedynie pionkami. Jego arogancja skłaniała go do odgrywania pana przy każdej okazji. Nie osiągnął jeszcze wieku, który Arabowie szanują. Brakowało mu doświadczenia, a do tego był rozpustnikiem. W swojej zarozumiałości i przebiegłości starał się o rękę jednej z moich macoch, która była na tyle dojrzała, że mogłaby być jego własną matką. On chciał położyć ręce na jej majątku, a ona była na tyle głupia, że go przyjęła, czego gorzko pożałowała po ślubie.

Soliman zyskał wpływ na Madżida, jednocześnie ukradkiem podsycając płomień niezgody wśród braci i siostr sultana, aby tym mocniej ugruntować swoją pozycję. W naszej rodzinie dochodziło do kłótni za kłótnią, notable byli pomijani lub lekceważeni, a sprawy przybrały taki obrót, że w końcu lud zaczął szemrać przeciw sultanowi. Błogosławieństwem było to, że pozostał przynajmniej jeden wierny, kompetentny minister, który w pewnym stopniu stanowił przeciwwagę dla działalności Solimana i przeciwdziałał skutkom jego błędów. Na innych doradcach Madżid nie mógł polegać, co z pewnością ułatwiło Barghaszowi podsycanie wrogości wobec niego wśród naszych krewnych i ludu. Ponieważ Madżid miał tylko

jedną córkę i żadnych synów, Barghasz był następny w kolejce do tronu. To, że dwaj starsi bracia, Muhammad i Tueni, wciąż żyli, nie miało znaczenia: mieszkali w Omanie, a Oman był daleko. Następcy tronu na Wschodzie zawsze spieszą się do rządzenia, nie zważając na prawa innych osób, a w pogoni za swoją ambicją zbyt często porzucają skrupuły i sprawiedliwość.

Barghasz, sfrustrowany tym, jak nie udało mu się przejąć rządów po Seyyidzie Saïdzie, trzymał się nadziei, a sprawy zaczęły przybierać korzystny dla niego obrót po tym, jak przyjechał do miasta wraz ze swoją siostrą Meje z Bet il Mtoni. Ich dom znajdował się naprzeciwko tego, który zajmowałyśmy ja i Chole. Ledwie się zadowili, a już między Chole i Barghaszem zrodziła się serdeczna przyjaźń. Barghasz spędzał z nami czasem cały dzień. Meje czuła się urażona i się z tym nie kryła, co ostatecznie wywołało konflikt pomiędzy nią i Chole. Skończyło się na tym, że obie ignorowały się nawzajem, a jeśli przypadkiem się spotkały, pokój opuszczał oba domy. Choć czułam się szczęśliwa, że nie jestem stroną tej nowej kłótni, to jednak rozgniewane siostry wciągnęły mnie w nią przez zwykłe opowiadanie mi o niej, nawet gdy o to nie prosiłam. Moja zażyłość z dwiema moimi siostrzenicami, Shembuą i Farshu, zbliżyła je do Barghasza, tak że i one weszły do gry. Obie mieszkaly naprzeciwko domu mojego i Chole, a od rezydencji Barghasza dzieliła je tylko wąska uliczka.

Głównym celem Barghasza było pozyskanie poparcia jak największej liczby notabli i przywódców klanów. Arabowie są podzieleni na niezliczone klany, o mniejszym lub większym znaczeniu, a członkowie każdego z nich są bezwarunkowo po-

słuszni swojemu przywódcy. Naturalnie więc każdy ksiązę stara się pozyskać przychylność jednego lub kilku z nich. Może to robić otwarcie lub w tajemnicy, żeby tylko w razie potrzeby móc liczyć na jakieś wsparcie. Składanie różnego rodzaju obietnic oczywiście odgrywa wielką rolę w tych negocjacjach. Żaden klan nie opuści swojego przywódcy, tak silna jest lojalność i oddanie wśród Arabów. Ten, kto potrafi pisać, umieszcza nazwę swojego klanu pod swoim imieniem. Mój pełny podpis zawiera nazwę Lebu Saïdi, małego, ale dzielnego klanu, do którego należymy. Wchodząc w bliskie stosunki z kilkoma przywódcami, Barghasz stopniowo utworzył coś w rodzaju małego dworu, co wywołało skandal. Poza tym osoby, które najczęściej zbierały się w jego domu, miały złą reputację. Była to bezładna i skłonna do awantur zbieranina. Wszyscy porządni ludzie trzymali się z daleka od jego intryg i spisków. Mimo to nie brakowało samozwańczych popleczników, zawiedzionych lub mściwych, gotowych mu pomóc, z których wielu wyobrażało sobie, że już awansowało na wysoki urząd, zostało obdarzonych jakimś innymi dobrami lub zajęło wygodne miejsce dworskich beneficjentów. Wszyscy zamierzali służyć swoim własnym interesom, a nie interesom swojego patrona.

W miarę jak liczba zwolenników Barghasza rosła, plany przyszłego powstania zaczęły przybierać coraz bardziej konkretną formę. Krótko mówiąc, Madzid miał zostać pojmany, a Barghasz ogłoszony sułtanem. Należało przygotować się na konflikt zbrojny. Co noc, zanim księżyc wszedł lub po jego zachodzie, w domu Barghasza odbywały się spotkania. Panowały gorączkowe podniecenie i powszechna nieufność. Cały czas miałyśmy wrażenie, że ktoś nas obserwuje i szpieguje. Często

wykonywałyśmy pracę służby, aby trzymać ją z dala i aby nikt nie dowiedział się o naszych planach. My, kobiety, przestałyśmy składać wizyty i rzadko je przyjmowałyśmy. Barghasz był coraz bardziej zniecierpliwiony i coraz mniej się ukrywał. Zaczął zaniedbywać codzienne audiencje u sułtana, w końcu w ogóle się na nich nie pojawiał. Zgodnie z tradycją Zanzibaru uznano to za przejaw buntu, a poddany, który w ten sposób ostentacyjnie pokazywał urazę, mógł zostać ukarany. Nie dało się już nie podejrzewać Barghasza o wrogie zamiany, a on sam zaczął działać z taką lekkomyślnością, że nie mogło to ujść uwadze stronników sułtana. Wydawało się coraz bardziej wątpliwe, że uda mu się zająć miejsce Madżida.

Sułtan podjął ostatnią próbę odwiedzenia mnie od popierania Barghasza, zanim będzie za późno. Ponieważ w istniejących okolicznościach nie mógł mnie odwiedzić osobiście, a ja od dawna stroniłam od jego pałacu, wysłał moją ulubioną macochę, aby mnie przebłagała. Prosił, abym zaniechała spiskowania z jego wrogami, którzy robią ze mnie głupca i od których nie mogę oczekiwać żadnej nagrody. Z drugiej strony mogłabym żałować konsekwencji trwania w moim uporze, bo gdyby doszło do jakiegoś ostrzału, mój dom nie zostałby oszczędzony. Lecz zanim nadeszła przestroga mego brata sułtana, przyrzekłam już poparcie Chole i pretendentowi do tronu i czułam się związana obietnicą. Macocha opuściła mnie ze łzami spływającymi po policzkach.

Chociaż byłam najmłodszym z konspiratorów, dzięki temu, że potrafiłam pisać, zostałam czymś na kształt sekretarza generalnego i prowadziłam całą korespondencję z przywódcami klanów. Byłam już wtedy na tyle dojrzała, żeby odczuwać wyrzuty

sumienia. Bolało mnie, że muszę zamawiać broń, proch i śrut do niszczenia niewinnych istnień. Ale co mogłam zrobić? Czy mogłabym złamać dane słowo i opuścić ukochaną siostrę w godzinie zagrożenia? Nigdy! Moje przywiązanie do Chole wpłynęło na mnie o wiele bardziej niż jakakolwiek rzeczywista skłonność do popierania jej brata. Barghasz, syn Abisynki, jest człowiekiem niezwykle utalentowanym, niedoścignionym w przenikliwości i sprycie, a jednocześnie dumnym, wyniosłym i impertynenckim, przez co przypisywano mu gwałtowny charakter. O tym, jak mało był lubiany, niech świadczy fakt, że z całej naszej rodziny nikt poza nami, czterema kobietami, i naszym dwunastoletnim bratem Abdem il Azizem, wychowankiem Chole, nie przeszedł na jego stronę.

Pomimo czujności, z jaką obserwowano nasze ruchy, kontynuowaliśmy przygotowania, spotykając się czasem w bardzo niebezpiecznych okolicznościach. Ustaliliśmy datę planowanego przewrotu. Nagle dom Barghasza został otoczony przez wojsko. Oczywiście spodziewaliśmy się, że i nas to spotka i że nie ma już dla nas nadziei. Rzeczywiście, jak się później okazało, ministrowie i niektórzy inni urzędnicy opowiadali się za blokadą wszystkich trzech rezydencji, ale Madżid nie wyraził na to zgody, ponieważ chciał oszczędzić kobiety.

Musieliśmy całkowicie zmienić nasze plany. Postanowiono, że wszyscy partyzanci Barghasza powinni się zebrać w posiadłości moich siostrzenic niedaleko stolicy i tam się okopać. Nie był to zły pomysł, ponieważ posiadłość tę można było z łatwością przekształcić w fortecę i mieściła nawet kilkuset ludzi. Tam więc przewieziono broń, amunicję i prowiant, a w pobliżu zakwaterowano żołnierzy. Z tego nowego centrum idee spiskow-

ców miały być rozpowszechniane na całą wyspę. Ponieważ nie mieliśmy regularnego źródła dochodu, każdy z nas dołożył tyle, ile mógł z prywatnych zasobów, w tym pewną liczbę dobrze uzbrojonych niewolników.

Kiedy już udało nam się przenieść, rozmyślaliśmy nad następnym posunięciem. Postanowiliśmy uprowadzić Barghasza i przywieźć go do wiejskiej rezydencji, aby mógł sam kierować spiskiem z tego miejsca. Zdawaliśmy sobie sprawę, jak niebezpieczne było to przedsięwzięcie, byliśmy jednak niezachwiani w naszym postanowieniu, aby je zrealizować.

Pamiętnego wieczoru Chole i ja opuściłyśmy nasz dom z licznym orszakiem, na ulicy dołączyły do nas siostrzenice ze służącymi, jak to było wcześniej ustalone. Cała ta kawalkada udała się do drzwi Barghasza. Tutaj nasz wóz został zatrzymany przez żołnierzy, którzy nie mieli pojęcia, kim jesteśmy. Potraktowana w ten sposób, głośno poskarżyłam się na nieuzasadnione upokorzenie i stanowczo nakazałam wezwanie kapitana. Było to zupełne pogwałcenie zwyczajów i etykiety, ale nasza sprawa usprawiedliwiała wszystko, a oficer był oszłomiony, gdy Chole i ja wyszłyśmy z orszaku, aby go zaczepić. Zaczęłyśmy się z nim głośno kłócić, że pozwolił, aby jego żołnierze weszli nam w drogę. Z początku zaniemówił, potem wymruczał jakieś wymówki, a w końcu ustąpił i pozwolił nam na odwiedzenie więźniów. Przychylił się nawet do naszej prośby, żeby dać nam trochę czasu.

W środku zastałyśmy Meje i Barghasza podekscytowanych do granic możliwości. Patrzyli na nas z okna i byli świadkami sporu, od którego wyniku zależało powodzenie lub fiasko naszego planu. Pojawił się jednak nowy problem: Barghasz w swej

męskiej dumie sprzeciwił się założeniu kobiecych szat, co było tym bardziej kłopotliwe, że nie mieliśmy zbyt wiele czasu. W końcu pozwolił nam przebrać się tak, że tylko jego oczy były widoczne. Podobnie przygotowaliśmy małego Abda il Aziza. Przed wyruszeniem w drogę odmówiliśmy modlitwę do Wszchemogącego.

Wyszliśmy z domu bez pośpiechu z Barghaszem pomiędzy najwyższymi kobietami. Rozmawialiśmy normalnie, nie zdradzając strachu, choć wewnątrz drżałyśmy, by żołnierze niczego nie zauważyli. Ustąpili nam jednak miejsca z szacunkiem należnym naszej randze, a my poszliśmy dalej bez przeszkód. Po opuszczeniu miasta Barghasz i Abd il Aziz zrzucili damskie okrycia, pożegnali nas pospiesznie i ruszyli w kierunku wiejskiej posiadłości.

Reszta wróciła do domu w małych grupach okrężnymi drogami. Nawet nie myślałyśmy o tym, żeby pójść tej nocy spać. Pod wpływem straszliwej przygody, z przerażeniem oczekując jutra i mając świadomość, że być może ledwo uniknęłyśmy śmierci, dałyśmy upust jękom i łzom, niektóre z nas nawet mdlały z osłabienia. Przez całą noc wydawało nam się, że słyszymy stukot koni i wystrzały muszkietów.

Nie później niż o godzinie siódmej nadeszła wiadomość, że nasi wrogowie wiedzą już, co się stało. Rząd nie mógł zrobić nic innego, jak tylko stawić czoła otwartej rebelii siłą, dlatego wysłał kilka tysięcy żołnierzy z artylerią do wiejskiej posiadłości moich siostrzenic. Ten uroczy pałac został całkowicie zburzony, a pokonani spiskowcy uciekli w nieładzie po krótkim, ale ostrym starciu, które kosztowało setki niewinnych istnień.

Czytelnik zapyta, jak ukarano nas, kobiety, za nasz śmiały udział w tym buncie. Nie spotkała nas żadna kara! Gdyby decyzja nie należała do dobrodusznego Madżida, z pewnością skończyłybyśmy znacznie gorzej, nasze czyny zasługiwały bowiem na surową karę.

Dotarła do nas wiadomość, że Barghasz, którego ludzie zostali rozgromieni, wrócił do miasta i dostał się do swojego domu. Wszyscy myśleli, że jego zamiarem jest dobrowolne poddanie się bratu. Madżid nawet próbował mu to ułatwić. Zamiast żołnierzy wysłał swojego siostrzeńca Suuda bin Hilala z wiadomością, że wybaczy i zapomni, jeśli tylko Barghasz wyrzeknie się takich czynów w przyszłości. Suud, łagodny i dobrotliwy człowiek, udał się ze swoją misją, aby pokazać, jak pokojowo nastawiony jest sułtan. Barghasz zaczął od odmowy przyjęcia go, żądając, by wysłannik — starszy od niego o wiele lat — przekazał wiadomość z ulicy. Suud naturalnie odmówił i po długim oczekiwaniu drzwi zostały otwarte na tyle szeroko, by go wpuścić. Następnie musiał się wspiąć (dosłownie) po zabarykadowanych schodach, a na górze przeczołgać się przez zapadnię, z której wcześniej wyjęto ciężką skrzynię. Barghasz nie zadowolili się zmuszeniem ambasadora Madżida do wejścia do jego domu w ten upokarzający sposób. Udaremnił jego misję, stanowczo odrzucając wspaniałomyślną propozycję sułtana.

Taki upór nie pozostawił Madżidowi innego wyboru niż ponowne zastosowanie siły, choć on sam bardzo się przed tym wzbraniał. Angielski konsul, z którym rozmawiał, przekonał go o konieczności ostatecznego zakończenia tych przedłużających się niepokojów i zaoferował swoją pomoc. Brytyjski okręt wojenny, który akurat stacjonował w porcie, miał podплы-

nąć naprzeciwko pałacu Barghasza i wysadzić tam piechotę morską. Jeśli ta demonstracja siły by nie wystarczyła, miało się rozpocząć bombardowanie. Skończyło się na kilku salwach karabinowych wycelowanych w dom Barghasza, który uciekł na jego tyły wraz z Meje i Abdem il Azizem wśród kul świszczących im koło uszu.

Przy pierwszym strzale Chole zalała się łzami. Przeklinała Madzida, rząd i Anglików i obwinała ich o wszystkie krzywdy. Gdy ostrzał muszkietów stał się bardziej intensywny, cały dom wpadł w panikę, gdyż nasza rezydencja znajdowała się tuż za domem Barghasza, przez co też byliśmy wystawieni na ryzyko. Starzy i młodzi, wysocy i niscy – wszystkich ogarnął strach. Jedni żegnali się na zawsze, inni błagali się nawzajem o wybaczenie za dawne przewinienia, ci, którym udało się zachować zimną krew, zaczęli się pakować z zamiarem ucieczki, inni stali i lamentowali, niezdolni do myślenia ani działania, jeszcze inni zaczęli się modlić, gdziekolwiek akurat byli: w korytarzach, na schodach, na dziedzińcu, na osłoniętym palisadą dachu. Ci ostatni szybko znaleźli naśladowców i stopniowo ogólne poruszenie ustąpiło miejsca uspokajającej pewności, że nie wola człowieka, ale Pana musi się spełnić, a losy ludzkie są od początku świata rozstrzygnięte przez Wszechmiłosiernego i Wszechmądrego. W ten sposób wszyscy pobożnie padli na kolana, czołem przy ziemi, okazując najgłębszą pokorę i rezygnację w obliczu Boga.

Niebezpieczeństwo narastało, aż w końcu Chole zmusiła naszego upartego brata do poddania się. Wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości pobiegła z tą informacją osobiście do angielskiego konsula, żeby poprosić o zaprzestanie działań wojen-

nych. W tamtym czasie Brytyjczycy nie mieli tak dużej władzy w Afryce Wschodniej jak obecnie. Mieli tak mało do powiedzenia w sprawach wewnętrznych Zanzibaru jak, powiedzmy, Turcy w Niemczech. Dopiero od 1875 roku okoliczności istotnie się zmieniły – na skutek polityki Anglii w kwestii niewolnictwa – na jej korzyść i w kierunku całkowitej ruiny mojego narodu.

Chole nie zastała konsula, ale ponieważ mieszkańcy domu Barghasza właśnie wtedy zaczęli krzyczeć: „Pokój, pokój!” do żołnierzy piechoty morskiej, ostrzał ustał i nie doszło do większego nieszczęścia. Gdyby rzeczywiście doszło do bombardowania, nie on, ale inny sułtan zasiadałby teraz na tronie Zanzibaru, a ja nigdy nie przybyłbym do Europy.

Aby zapobiec podobnym spiskom w przyszłości, zdecydowano, że Barghasz zostanie wygnany do Bombaju. Abd il Aziz dobrowolnie zdecydował się mu towarzyszyć. Miał ich tam zabrać brytyjski okręt wojenny. Na wszystko zgodził się angielski konsul. Prawdopodobnie Brytyjczycy chcieli zachować dziedzica Madżida w swoich rękach, aby go wyszkolić i wykorzystać do swoich własnych celów. Barghasz przez dwa lata mieszkał w Bombaju, po czym wrócił spokojnie na Zanzibar i w końcu, po śmierci Madżida w 1870 roku, mógł zasiąść na upragnionym tronie.

Rozdział XVIII

Czas spędzony w wiejskiej rezydencji

Nasze przedsięwzięcie, rozpoczęte z tak wielkimi nadziejami i zakończone sromotną klęską, drogo nas kosztowało. Choć moje siostrzenice były na tyle bogate, że nie przejmowały się stratami materialnymi, wielu z naszych najlepszych niewolników poległo, a inni, kalecy lub okaleczeni, stale przypominali nam o katastrofie, którą wywołałyśmy. Nie to jednak było najgorszą karą za zasiane przez nas zło. Najbardziej bolało nas — Chole, Meje, moje dwie siostrzenice i mnie — to, że nasi krewni i dawni przyjaciele wyraźnie nas unikają i ignorują, a jednocześnie czułyśmy, że to traktowanie jest w pełni uzasadnione. Inni ludzie, którzy nas nie lubili lub mieli nadzieję na zdobycie przychylności władz donosami, zadawali sobie wiele trudu, aby nas szpiegować. Dla nas samych nie miało to większego znaczenia, gdyż nasza sprawa była już stracona i niczego już nie dało się zrobić, ale fakt, że cały czas śledziły nas podejrzliwe spojrzenia, trzymał nas z dala od nielicznych przyjaciół, którzy nam pozostali. Nawet przebiegli Banianowie przez długi czas od nas stronili, aż w końcu zaczęli przemycić do nas nocą,

by zachwalać swoje indyjskie towary tak bezczelnie, jak zawsze. Nasze domy, niegdyś tętniące życiem, przez które przewijało się mnóstwo ludzi, teraz stały się osamotnione i ponure, nie odwiedzał ich nikt ze świata zewnętrznego. Sytuacja stała się nie do zniesienia, więc postanowiłam przenieść się do jednej z moich wiejskich posiadłości. Moje cztery dawne wspólniczki wkrótce wzięły ze mnie przykład i opuściły miasto, aby żyć na wsi.

Od śmierci matki rzadko bywałam na moich trzech plantacjach, a jeśli już, to tylko na kilka dni. Wszystkie moje późniejsze perypetie i polityczne spory, w których wzięłam udział, sprawiły jednak, że byłam gotowa naprawdę cieszyć się pobytami na wsi. Wybrałam Kisimbani, ponieważ to miejsce lubiła moja matka i często je odwiedzała. Zdawałam sobie sprawę, że czekają mnie tam też niedogodności, których doświadczają żyjące samotnie arabskie damy ze względu na ich wymuszoną przez sytuację niezależność od męskich doradców.

Bezwzględna etykieta naszego kraju zabrania nam rozmawiać nawet z własnymi urzędnikami, jeśli są to wolni ludzie. Rozkazy i rachunki muszą być przekazywane przez niewolników, a ponieważ niewiele szlachcianek potrafi pisać, samotne kobiety zwykle nie mają okazji zapoznać się z bilansem od swoich zarządców. Jeśli ci zapewniają zaopatrzenie gospodarstwa domowego i przekazują wystarczająco dużo gotówki po zbiorach, dama jest zwykle całkiem zadowolona. Dochody te pochodzą z rozporządzania goździkami, orzechami kokosowymi, ziemniakami, batatami i innymi płodami rolnymi. Jesteśmy zbyt dumni, żeby je sprzedawać, a zarządca może zrobić, co mu się podoba, z produktami, które nie zostaną wykorzystane do domowej konsumpcji.

Kiedy mieszkałam w mieście, mój zarządca Hassan przychodził co tydzień lub dwa, aby złożyć raport poprzez jedną z moich niewolnic i prosić o instrukcje, które przysyłałam mu tą samą drogą. Do tych celów był zarezerwowany pokój na parterze, gdzie mężczyźni mogli odpocząć po długiej jeździe na mułach i posilić się przed powrotem do domu. Teraz jednak, gdy zamierzałam zostać w Kisimbani, Hassan stał się niewygodny. Biedak musiał się ciągle chować i nas unikać, żeby przypadkiem nie zobaczyć jednej z kobiet. Dlatego przeniosłam go na inną plantację, a na jego miejsce mianowałam Abisyńczyka – niewolnika, a nie wolnego człowieka – który był inteligentny (umiał czytać i pisać) i energiczny. Abisyńczycy w ogóle są inteligentnymi ludźmi. Chętniej kupowaliśmy raczej ich niż Murzynów, kiedy mieliśmy wybór.

Od tamtej pory mogłam chodzić po posiadłości do woli, bez obawy, że zawstydzę mojego zarządcę. Kilka godzin dziennie spędzałam ze zwierzętami domowymi, sprawiało mi to dużą radość. Lubilem też pocieszać starych i chorych w ich małych, niskich chatkach, a moi słudzy zanosili im smakołyki z mojego obfitego stołu. Dzieci niewolników – rodzaj dywidendy przysługującej właścicielowi rodziców – przychodziły do mnie każdego ranka, a ja je myłam przy studni, a potem karmiłam. Do mycia używałam przypominającego mydło środka wyrabianego z liści pewnego wschodniego drzewa, którego wysuszone i sproszkowane w kontakcie z wodą wytwarzają pianę. Dopóki rodzice nie wrócili z pola, to jest o czwartej po południu, dzieci bawiły się na dziedzińcu doglądane przez moją zaufaną służącą. Było to lepsze dla tych małych urwisów niż noszenie ich w chustach na plecach matek przez cały dzień na słońcu.

Wolne, niczym nieskrępowane wiejskie życie całkowicie mi odpowiadało. Byłam zachwycona, że zamieniłam tumult miasta na tę uroczą wiejską posiadłość. Posłuszne etykiemie żony i córki okolicznych notabli zaczęły składać mi wizyty, przez co wkrótce miałam w domu gości na całe tygodnie, a nawet miesiące. Również obcy przychodzili czasem odpocząć po męczącej podróży w pokoju przeznaczonym dla mężczyzn. To nasz stary zwyczaj. Kisimbani jest położone na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych dróg i zawsze przewija się tam dużo podróżnych.

Cały czas utrzymywałam kontakt z miastem. Co drugi dzień dwaj konni niewolnicy jeździli i przywozili mi wiadomości. Ponadto dwa lub trzy razy w tygodniu posyłałam służącą, która wracała z wieściami od moich przyjaciół i krewnych. Emocje związane z tym nieszczęsnym spiskiem opadły, ale niezgoda trwała wśród moich braci i sióstr — był to kolejny powód, dla którego nie spieszyło mi się do ponownego zamieszkania w mieście.

Do szczęścia brakowało mi tylko jednej rzeczy: morza. Przywykłam, że mogę codziennie na nie patrzeć, tymczasem wszystkie moje trzy plantacje leżały w głębi lądu. Ponieważ nie wiedziałam wtedy, co to znaczy mieć niespełnione marzenia, postanowiłam kupić kolejną gdzieś w pobliżu wody. Po wynegocjowaniu odpowiednich warunków nabyłam posiadłość w Bububu. Wzięłam tam ze sobą swoje zwierzęta, które bez wątplenia były zaskoczone, gdy wypuściłam je z koszy i klatek na nowym podwórku. Wyglądało jednak, że zmiana spodobała im się tak samo jak mnie. Siadywałam i obserwowałam je przez godzinę albo spędzałam leniwie czas nad brzegiem morza, patrząc na błękitną taflę i statki płynące z pół-

nocy w kierunku miasta oraz zwinne łodzie rybackie, które przemieszczały się w szybkim tempie.

W Bububu byłam bliżej miasta, miałam je w zasięgu ręki tak drogą lądową, jak i morską. Prowadziłam też bardziej towarzyskie życie niż w Kisimbani. Często odwiedzali mnie trzej moi bracia, którzy przybywali konno albo łodzią. Spędzaliśmy szczęśliwie czas na rozmowach, jedzeniu i piciu, graniu w karty, odpalaniu fajerwerków. Nie było dnia, żeby jedna, dwie, a nawet dziesięć kobiet nie przyszło do mnie w odwiedziny, czasem tylko na chwilę, a czasem na kilka dni. Mój własny pobyt w Bububu miał się jednak okazać bardzo krótki, choć szybko się do tego miejsca przywiązałam. Madżid przysłał mi wiadomość, że nowy angielski konsul chciałby kupić Bububu i urządzić tu sobie wiejską rezydencję. Chociaż bardzo nie chciałam rozstać się z tym miejscem, nie mogłam przepuścić takiej okazji do okazania skruchy wobec tego, którego tak bardzo skrzywdziłam, dlatego postanowiłam się poświęcić.

Jakiś tydzień po tym, jak opuściłam Bububu i ponownie zamieszkałam w mieście, odwiedziła mnie Chole. Była wyraźnie ożywiona, co zauważyłam już w momencie, kiedy się pojawiła. Okazało się, że przyszła, żeby mnie skarcić za oddanie majątku konsulowi, a kiedy spokojnie zauważyłam, że to naprawdę moja sprawa, rzuciła pełne emocji oskarżenie, że sprzedałam swój majątek, aby zyskać przychylność „przeklętego” Madżida, jak go nazywała. Następnie jeszcze bardziej się uniosła, a w końcu opuściła mój dom z krzykiem: „Możesz wybierać między Barghaszem i mną a tym angielskim niewolnikiem! Do widzenia!”.

Od tego dnia nigdy więcej nie widziałam Chole, chociaż nadal mieszkałam w mieście. Jej wrogie nastawienie do mnie zła-

godniało dopiero po moim wyjeździe z Zanzibaru. W międzyczasie postanowiłam unikać zarówno Madżida, jak i Chaduji, aby nie powstało podejrzenie, że oskarżenie Chole jest słuszne. Czekala na mnie jednak niespodzianka.

Dwa tygodnie po moim przybyciu do miasta odwiedził mnie sam Madżid z licznym orszakiem! Chciał mi podziękować, że pomogłam mu w sprawie angielskiego konsula. Odmowa postawiłaby go w nieprzyjemnym położeniu. Wymamrotałam kilka niezrozumiałych zdań, a Madżid kontynuował rozmowę o innych rzeczach, nie czyniąc żadnej aluzji do niedawnego spisku. Wspaniałomyślnie pozwolił mi w ten sposób wywnioskować, że nie żywi z tego powodu urazy. Rozstaliśmy się jak najlepsi przyjaciele po tym, jak poprosił mnie, bym odwiedziła jego, Chaduji i moją ciotkę Assbę, która z nimi mieszkała. Ten prosty akt uprzejmości miał mnie drogo kosztować. Do dziś ci sami ludzie, którym pomogłam w spisku mającym na celu intronizację Barghasza, poczytują to za występki przeciwko nim. Tak ogromna zazdrość może wydawać się niezrozumiała, ale jest charakterystyczna dla naszego rodu, gdy w grę wchodzi rywalizacja różnych stronnictw o władzę.

Ciągle istniały bowiem dwie strony sporu, które nadal knuły przeciwko sobie, choć teraz już bardziej dyskretnie. Tarcie było tym trudniejsze do zniesienia, że nikt nie ukrywał swoich opinii, lecz bez oporów dawał im ujście. Człowiek Orientu jest bowiem z natury bardzo szczery i nie potrafi się ukrywać w tak mistrzowski sposób jak Europejczyk. Gdy uważa kogoś za swego zacieklego wroga i przeciwnika, rzadko robi z tego tajemnicę i nie przejmuje się ani trochę, gdy ten ktoś znieważa go spojrzeniem, słowem lub gestem. Faktem jest, że człowiek

Orientu nie rozumie, dlaczego miałby się zachowywać wbrew swoim prawdziwym uczuciom i przekonaniom. Jest prawie całkowicie pozbawiony owej formalnej grzeczności, którą ludzie w Europie przyjmują za pewnik we wszystkich okolicznościach. Sama próba takiego zachowania — trudnego zresztą przez naszą porywczą naturę i gorącą krew — byłaby powodem do wstydu i wywołała oskarżenia o tchórzostwo. Raz po raz w tamtym czasie słyszałam więc pytania: Dlaczego mam pozować na innego niż jestem? Czyż wszystkie moje myśli i uczucia nie są jawne dla Pana? Dlaczego miałbym drzeć lub udawać przed ludźmi?

Z drugiej strony, aby zobaczyć oddaną i pełną prawdziwych poświęceń przyjaźń, trzeba pojechać na Wschód. Nie twierdzę, jakoby taka relacja była możliwa tylko tam, ale pewne jest, że jeśli Arab kocha, to trzyma się obiektu swojego uczucia z wiernością, która przenosi góry. Chociaż nigdzie nie przestrzega się bardziej sztywno różnic klasowych, nigdzie nie liczą się one mniej w prawdziwej przyjaźni. Tak więc książę traktuje syna stajennego, którego darzy sympatią, tak samo jak potomka szlacheckiego rodu, a księżniczka okazuje taką samą czułość żonie lub córce swojego zarządcy, jak i damie ze szlacheckiego rodu. Moja siostra Meje, na przykład, przyjęła do swego pałacu dziewczynę o niskim statusie, a jej przywiązanie do tej biednej i skromnej, ale mądrej dziewczyny trwało aż do chwili, gdy rozdzieliła je śmierć.

Czasami wysoko urodzona dama zaprzyjaźnia się z czyjąś niewolnicą, choć z reguły nie jest to Murzynka, ale Czerkieska lub Abisynka. Niewolnica ma wtedy wielkie szczęście, bo jej patronka zapłaci każdą sumę, aby ją uwolnić. Wyzwolenie odbywa się zgodnie z prawem, przez co nie można go podważyć.

Jeśli człowiek zostanie wtrącony do więzienia, jego najlepszy przyjaciel pozwala się zamknąć w tej samej celi na kilka godzin dziennie. Jeśli spotka go wygnanie, będą mu towarzyszyć jego bliscy. Nieszczęście lub nagła utrata majątku nie oznacza utraty przyjaciół i ich finansowego wsparcia, dlatego nie są u nas potrzebne publiczne zbiórki datków. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni od najmłodszych lat i traktujemy to jako rzecz oczywistą.

Rozdział XIX

Ucieczka z Zanzibaru

W tych mrocznych dniach niezgody i sporów w naszej rodzinie na powrót szczęśliwą uczyniło mnie przywiązanie pewnego młodego Niemca reprezentującego hamburski dom handlowy na Zanzibarze. Ponieważ pojawiło się wiele niedokładnych doniesień na temat tego wydarzenia, myślę, że najlepiej będzie, jeśli sama przedstawię w skrócie tę historię.

Europejczycy cieszyli się wielkimi względami mojego brata Madżida w trakcie jego panowania. Byli mile widzianymi gośćmi w jego pałacu i posiadłościach, i zawsze skupiali na sobie dużo uwagi. Moja siostra Chole i ja utrzymywałyśmy przyjazne stosunki z Europejczykami na Zanzibarze i wymieniałyśmy się z nimi uprzejmości, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały nasze obyczaje. Europejskie damy na Zanzibarze odwiedzały głównie mnie i Chole.

Znajomość z moim przyszłym mężem nawiązałam po powrocie z Bububu. Wprowadziłam się wtedy do nowej posiadłości znajdującej się obok jego domu, którego płaski dach był usytuowany nieco niżej niż mój. Z okna na górze mogłam często

obserwować męskie przyjęcia, które wydawał, aby pokazać mi europejską kuchnię. Połączyła nas przyjaźń, która w końcu przerodziła się w głęboką wzajemną miłość. Wkrótce pogłoski o naszym związku rozeszły się po mieście, aż dowiedział się o nim mój brat Madżid. Nie ma jednak ani odrobiny prawdy w opowieściach, jakoby miał żywić do mnie z tego powodu wrogie uczucia albo mnie uwięzić.

W takiej sytuacji chciałam oczywiście potajemnie opuścić mój kraj, w którym nasz związek nie byłby możliwy. Pierwsza próba się nie powiodła, ale nadarzyła się inna okazja. Dzięki pośrednictwu mojej przyjaciółki, pani S., żony angielskiego lekarza i urzędnika konsularnego, zostałam pewnej nocy zabrana łodzią przez pana P., dowódcę brytyjskiego statku wojennego Highflyer, na którego pokładzie znalazłam się w ostatnich chwilach, kiedy uruchomiono już silniki. Highflyer obrał kurs na północ i przybił bezpiecznie do miejsca przeznaczenia, czyli do portu w Adenie. Tam opiekę nade mną przejęła hiszpańska para, którą poznałam na Zanzibarze. Czekałam cierpliwie na swoje przeznaczenie. Zamknięcie wszystkich spraw na Zanzibarze zajęło mojemu przyszłemu mężowi kilka miesięcy. Dopiero wtedy podążył za mną do Adenu. W międzyczasie pobierałam nauki religii chrześcijańskiej, a mój chrzest – podczas którego przyjąłam imię Emily – odbył się w angielskiej kaplicy w Adenie. Zaraz po nim nastąpiła ceremonia zaślubin według obrządku anglikańskiego. Mój mąż i ja popłynęliśmy następnie do Hamburga, jego rodzinnego miasta, gdzie jego rodzice i inni krewni ciepło nas powitali.

Wkrótce przyzwyczaiałam się do obcego otoczenia i gorliwie uczyłam się wszystkiego, co mogło mnie przygotować do życia w Europie. Mój niezapomniany mąż obserwował z ży-

wym zainteresowaniem różne etapy mojego rozwoju. Szczególną przyjemność sprawiało mu, gdy mógł być świadkiem mojego pierwszego zetknięcia z różnymi europejskimi zwyczajami i obyczajami. Ja sama spisywałam swoje pierwsze wrażenia na papierze i być może w przyszłości będę mogła o nich opowiedzieć.

Niestety nasze błogie i szczęśliwe życie małżeńskie miało trwać tylko chwilę. Minęły niewiele ponad trzy lata od naszego osiedlenia się w Hamburgu, kiedy mój ukochany mąż uległ wypadkowi, po tym jak wyskoczył z tramwaju. Został przejechany i zmarł po trzech dniach dotkliwych cierpień. Zostałam sama w tym wielkim, obcym kraju z trojgiem małych dzieci, z których najmłodsze miało wtedy zaledwie trzy miesiące. Na początku myślałam o powrocie do domu, ale los chciał, że zaledwie dwa miesiące po tych strasznych wydarzeniach zmarł mój ukochany brat Madżid, który zawsze traktował mnie tak życzliwie. Nigdy nie miał mi za złe mojej potajemnej ucieczki z wyspy. Jako gorliwy muzułmanin wierzył w Boskie przeznaczenie i był przekonany, że to ono zadecydowało o moim wyjeździe. Niedługo przed śmiercią dał wzruszający dowód swego braterskiego przywiązania. Załadował cały statek prezentów i wysłał go do Hamburga. Niestety żaden z tych artykułów do mnie nie trafił, ponieważ, jak dowiedziałem się kilka lat później, chociaż statek wpłynął do portu, nieuczciwi ludzie zniweczyli wysiłek mojego brata. Dodam, że po moim nagłym zniknięciu Madżid nie prześladował mojego narzeczonego, lecz pozwolił mu na swobodne prowadzenie interesów.

Zostałam w Hamburgu jeszcze dwa lata, gdzie ciągle spotykały mnie kolejne nieszczęścia. Straciłam znaczną część mego

majątku z winy innych ludzi i przekonałam się, że muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Ogarnęła mnie jednak niechęć do miejsca, w którym niegdyś zaznałam tyle szczęścia, zwłaszcza że nie wszyscy mieszkańcy miasta traktowali mnie uprzejmie.

Przeniosłam się do Drezna, gdzie spotkałam przyjaźnie nastawionych ludzi ze wszystkich kręgów społecznych. Następnie udałam się w podróż do Londynu, o której opowiem w następnym rozdziale. Po jakimś czasie poczułam, że chciałabym zamieszkać w spokojnym mieście, dlatego wybrałam urocze Rudolstadt. Tam również spotkałam się ze szczerą sympatią i przyjaźnią, a Ich Najjaśniejsze Wysokości uczyniły mój pobyt jak najlepszym. Po kilku latach w Rudolstadt moje zdrowie poprawiło się na tyle, że zdecydowałam się przenieść do Berlina ze względu na edukację moich dzieci. Tam też znalazłam wielu przyjaciół, którzy starali się uczynić mój pobyt jak najprzyjemniejszym. Sama rodzina królewska okazała łaskawe zainteresowanie, które będę wspominać przez całe życie ze szczerą wdzięcznością.

Rozdział XX

Angielska dyplomacja

Przez cały ten czas wymieniałam korespondencję z rodziną i przyjaciółmi. Nigdy nie porzuciłam nadziei, że uda mi się znowu odwiedzić dom, ale jak dotąd upór mojego brata Barghasza sprawia, że nie jestem mile widziana w ojczyźnie. Powodem jego wrogiej postawy jest czysta mściwość: nie może mi wybaczyć, że nawiązałam przyjazne stosunki z jego dawnym antagonistą Madżidem. Jego niechęć nie zmniejszyła jednak mojej tęsknoty za domem i przyjaciółmi, dlatego nadal w tajemnicy oczekiwałam na pojednanie.

Wiosną 1875 roku gazety obiegrała wiadomość, która głęboko mnie poruszyła: mój brat Barghasz, sułtan Zanzibaru od śmierci Madżida, wybierał się do Londynu. Początkowo chciałam pozostać beczynna, ukrywając swój niepokój, ale namówiono mnie – choć po wszystkich moich rozczarowaniach nie miałam już zbyt wielu złudzeń – bym zmobilizowała się do działania. Hrabia Bulow, niemiecki sekretarz spraw zagranicznych, dał mi do zrozumienia, że mogę oczekiwać dyplomatycznego wsparcia ze strony cesarskiego ambasa-

dora hrabiego Muenstera, co niestety okazało się mało skuteczne.

Krótką przerwę, jaką miałam do dyspozycji, wykorzystałam na naukę angielskiego, aby nie być aż tak bezradną. W ciągu tych dwóch miesięcy często ślęczałam nad książkami do białego rana, wkuwając słowa i zwroty na pamięć. Do tego dochodził rosnący niepokój o trójkę dzieci, których nigdy nie zostawiałam na tak długo.

W końcu wyruszyłam z Ostendy. Wyczerpana i zdenerwowana dotarłam do olbrzymiej metropolii, gdzie moi jedyni znajomi, państwo P., uprzejmie mnie przyjęli i zrobili dla mnie wszystko, co było w ich mocy. Przybywszy do Londynu na tydzień przed Barghaszem, odwiedziłam hrabiego Muenstera, który zapewnił mnie o swojej dobrej woli. Moi przyjaciele w Niemczech kazali mi obiecać, że będę postępowała ostrożnie, a przede wszystkim, że zapewnię sobie pomoc rządu angielskiego w mojej sprawie. Ponieważ doświadczenie podpowiadało mi, że niewielu ludziom można ufać, początkowo miałam zamiar polegać na Panu i moich własnych wysiłkach, ale ostatecznie uległam moim przyjaciółom. Obawa, że zostanę uraczona jedynie dyplomatyczną grzecznością i pustymi frazesami, a moja sprawa zostanie zignorowana, była drobnostką w porównaniu z rzeczywistym przebiegiem wydarzeń. Musiałam się bowiem dopiero nauczyć, że jestem teraz w świecie, w którym kłamstwo i oszustwo liczą się niemal jako cnota.

Pewnego dnia odwiedził mnie sir Bartle Frere. Tego człowieka, który później został gubernatorem Kolonii Przyłaskowej, znałam wówczas tylko z nazwiska, ale jeśli kiedykolwiek miałabym uwierzyć przecuciu, to właśnie tego dnia, kiedy zo-

stały zaprzepaszczone moje nadzieje i przyszłość moich dzieci. Nieopisane uczucie niepokoju ogarnęło mnie w chwili, gdy spojrzałam na tego wielkiego dyplomata, który faktycznie władał wówczas Zanzibarem i miał – że się tak wyrażę – sułtana w kieszeni.

Zaraz po wymianie zwykłych uprzejmości sir Bartle zaczął wypytywać o moje sprawy, chciał poznać zwłaszcza powód mojego przyjazdu do Londynu. Chociaż wydawało mi się, że jest już doskonale poinformowany, opowiedziałam mu dokładnie o moim celu. W rzeczywistości nie było wiele do powiedzenia, ponieważ po prostu chciałam pojednać się z rodziną. Wyobraźcie sobie zatem moje zdziwienie, gdy sir Bartle chłodno zapytał, co jest dla mnie ważniejsze: pojednanie czy zabezpieczenie perspektyw na przyszłość moich dzieci. Nawet teraz nie jestem w stanie przeanalizować emocji, jakie wzbudziła jego propozycja. Spodziewałam się czegoś innego niż takiego ciosu. Niech mnie ktoś oskarży o tchórzostwo lub niezdecydowanie, ale się zawahałam. Dobro moich dzieci stoi oczywiście wyżej niż moje osobiste życzenia.

Gdy nieco otrząsnęłam się z zakłopotania, w jakie wprawił mnie ten zadziwiający manewr dyplomatyczny, poprosiłam sir Bartle'a o wyjaśnienie przyczyn jego propozycji. Dyplomata w odpowiedzi oświadczył, że rząd brytyjski nie ma zamiaru pośredniczyć między mną a moim bratem, którego uważa za swojego gościa i któremu, jako takiemu, musi oszczędzić przykrości. (Mam jednak wątpliwości, co bardziej zirytowałoby sułtana: podpisanie traktatu o niewolnictwie pod moralnym przymusem, a więc pośrednio uznanie angielskiej supremacji, czy wyciągnięcie ręki do skruszonej siostry). Gdybym

natomiast uroczyście zobowiązała się nie zbliżać do mojego brata — ani osobiście podczas jego wizyty w Londynie, ani nie kontaktować się z nim listownie — władze brytyjskie zagwarantowałyby materialny dobrobyt moim dzieciom.

Gorzko rozczarowana stanęłam przed wyborem, czy działać samodzielnie bez angielskiej pomocy (ze świadomością, że mogłabym napotkać trudności nieprzewidywane dla tak słabej osoby jak ja), czy przyjąć rządową pomoc dla moich dzieci. Mając więc na uwadze obietnicę daną moim niemieckim przyjaciółom, że nie pójdę sama i bez ochrony do brata — choć nigdy nie sądziłam, że miałby czuć urazę względem Anglii, nawet gdybym nagle się przed nim pojawiła — zgodziłam się na ofertę sir Bartle'a Frere'a. Kiedy, podejrzewając intencje rządu, mój przyjaciel zapytał sir Bartle'a, skąd takie nagłe życzliwe zainteresowanie moją sprawą, ten bystry dyplomata podał nie mniej niż trzy powody: po pierwsze, rząd brytyjski robi sułtanowi przysługę; po drugie, pacyfikuje księżniczkę; po trzecie, uprzedza ewentualne posunięcia niemieckiego kanclerza (księcia Bismarcka), gdyby ten sam chciał wziąć w tym udział. Wszystko to brzmiało wiarygodnie i uspokajająco.

Aby uniknąć przypadkowego spotkania z Barghaszem w miejscach publicznych, czy to w muzeach lub innych budynkach użyteczności publicznej, w Hyde Parku albo na ulicy, studiowałam gazety, gdzie z wyprzedzeniem ogłaszano jego codzienne wyprawy. I błagałam moją sympatyczną gospodynię, by mi wybaczyła, że nie będę z nią wychodziła, ale o tym nie chciała słyszeć, bo moje zdrowie wymagało, bym regularnie przebywała na świeżym powietrzu. Tak więc, gdy sułtan jechał na wschód, my jechałyśmy na zachód, i odwrotnie. Ten środek

ostrożności uważałam za absolutnie konieczny, ponieważ nie byłam pewna siły mego ducha i obawiałam się, że mogłabym złamać słowo, gdybym go rzeczywiście spotkała. Nie było to jednak prawdopodobne, a nawet gdyby, to w europejskim ubraniu, które teraz nosiłam, nie rozpoznałaby mnie nawet moja świętej pamięci matka, a tym bardziej brat, który zwykle widywał mnie z zasłoniętą twarzą.

Wolałabym wrócić do Niemiec i zostawić za sobą miejsce, w którym pogrzebano moje nadzieje, ale nawet tej satysfakcji mi odmówiono. Z dala od moich dzieci, przez wiele tygodni, miałam cierpieć niewyobrażalne męki w mieście, w którym nie znałam niczego poza smutkiem i rozczarowaniem, ponieważ sir Bartle Frere zarządził, że muszę sporządzić szczegółowy memoriał. Ponieważ nie byłam obeznana w tych sprawach, a mój umysł przeszedł w stan automatyzmu, chętnie pozwoliłam moim miłym przyjaciółom podjąć się tego zadania, przypuszczając naturalnie, że może z tego wyniknąć tylko dobro. Kiedy wszystko było gotowe, to jest po około sześciu tygodniach, wróciłam do Niemiec i moich dzieci.

Zanzibar był wtedy postrzegany jako przyszłe terytorium zależne Wielkiej Brytanii, więc mój memoriał musiał być najpierw przedłożony władzom w Indiach. Minęło kilka miesięcy, aż pewnego dnia otrzymałem list z Londynu. Zawierał on kopię kierowanego do mnie dokumentu, który rząd brytyjski przekazał niemieckiemu ambasadorowi, a który nie zawierał niczego innego, jak tylko krótkie odrzucenie tego właśnie memoriału, na który tak bardzo nalegał sir Bartle Frere. Odmowę uzasadniono faktem, że jako że wyszłam za Niemca i mieszkam w Niemczech, moja sprawa byłaby bardziej odpowiednia

dla rządu niemieckiego. Ten kiepski podstęp był tym bardziej niedorzeczny, że nie prosiłam o jałmużnę ani jednego, ani drugiego rządu, liczyłam jedynie na moralne wsparcie ich obu. Sir Bartle Frere sam zaproponował sporządzenie memoriału i wyłudził ode mnie przyrzeczenie, że nie będę się spotykała z moim bratem w zamian za zapewnienie moim dzieciom dobrobytu.

Niech czytelnik sam oceni, czy tak wspomniałemu krajowi jak Anglia godzi się traktować w ten sposób nieszczęsną kobietę. Czy rząd brytyjski, reprezentowany przez sir Bartle'a Frere'a, kiedy ten składał mi ofertę, nie był nieświadomy faktu, że wyszłam za Niemca i jestem niemiecką poddaną? Kwestia ta nigdy nie została podniesiona, gdy wymuszono na mnie obietnicę, że nie zobaczę mojego brata. Przestrzegałam wiernie i sumiennie swojej części umowy. Kiedy byłam w stanie porozumieć się z moim bratem, nie byłam tylko niemiecką poddaną bez znaczenia dla Anglików, ale siostrą sułtana, która mogła zaszkodzić angielskim interesom. Jednak kiedy tylko mój brat wrócił do domu, stałam się nieszkodliwa, więc postanowiono się mnie po prostu pozbyć.

Później dowiedziałam się, dlaczego brytyjskie władze chciały zapobiec mojemu pojednaniu z Barghaszem. Sułtan nie znał żadnego europejskiego języka i nie rozumiał wyrafinowanych zasad europejskiej polityki, więc Anglicy chcieli, aby pozostał nieświadomy i chętniej podpisał pewne traktaty. Gdybym się z nim dogadała, byłabym w stanie — mając już pewną wiedzę o europejskich zwyczajach — podpowiedzieć mu, co może być korzystne dla władcy Zanzibaru, ale stać w sprzeczności z planami brytyjskiego rządu.

Chcę jednak podkreślić, że angielskie społeczeństwo znacznie różni się od angielskiego rządu. Anglicy przyjęli mnie

z życzliwością i sympatią, będę się czuła dłużniczką niektórych z nich do końca życia.

Rozdział XXI

Powrót na Zanzibar

Kiedy kilka lat temu pisałam poprzedni rozdział, prawie całkowicie porzuciłam marzenia o odwiedzeniu dawnego domu, który wciąż wypełniał moje myśli i cała moją istotę. Czas, który upłynął od opuszczenia Zanzibaru, był dla mnie burzliwym i stresującym okresem. Wiele przeszłam, a niektórych moich doświadczeń nie życzyłabym nawet wrogowi. Dzięki dobrej kondycji udało mi się długo wytrzymać w surowym północnym klimacie, ale w końcu, ulegając mojej skłonności do zmian, dwa lata temu postanowiłam w końcu odwiedzić Zanzibar z trojgiem moich dzieci.

Z wiarą we własne możliwości podjęłam niezbędne kroki i tym razem spotkałam się z serdecznością i pomocą ze strony władz. Sprawy jednak się przeciągały i niemal znów straciłam nadzieję, że kiedykolwiek zobaczę mój kraj, gdy pewnego dnia przyszedł list z biura cesarskiego ministra spraw zagranicznych, w którym proszono mnie o przygotowanie się do wyjazdu na Zanzibar. Wiadomość ta poruszyła mnie do tego stopnia, że nie od razu doceniłam swoje szczęście. Oprócz wychwalania

Pana i dziękowania Mu za Jego cudowne prowadzenie, czułam się ogromnie zobowiązana wobec naszego czcigodnego, ukochanego cesarza i jego szacownego rządu. Moje dzieci i ja zawsze będziemy ich wspominać z głęboką wdzięcznością.

1 lipca 1885 roku wyruszyłam z moimi dziećmi z Berlina, trzeciego dnia dotarliśmy bezpiecznie do Triestu przez Breslau¹ i Wiedeń. Dopiero gdy znalazłam się na pokładzie parowca Lloyd Venus, który tego dnia w południe podniósł kotwicę, uspokoiliam się na tyle, by cieszyć się spokojem, którego tak bardzo brakowało mi w ostatnim czasie. Rankiem piątego dnia byliśmy na Korfu. Przez kilka godzin mogliśmy podziwiać tę uroczą wyspę, po czym udaliśmy się, mijając jałową Itakę na południowym krańcu Grecji oraz wyniosłą Kretę, do portu w Aleksandrii.

Kiedy postawiłam stopę na brzegu, wśród palm i minaretów, moje serce zalało ciepłe uczucie, którego doświadczają tylko ci, którzy na długo opuścili rodzinne strony. Prawdziwego Południa nie widziałem od dziewiętnastu lat. Przez cały ten czas siedziałam w Niemczech przy piecu, zima po zimie. Nawet jeśli stałam się mieszkanką Północy i spadły na mnie wielorakie obowiązki niemieckiej gospodyni domowej, moje myśli były zwykle bardzo daleko. Nie znałam żadnej rozrywki ani innego zajęcia, które ceniłabym bardziej niż czytanie książek opisujących Południe. Nic dziwnego, że już w Aleksandrii prawie odchodziłam od zmysłów. Stałam i obserwowałam portowy gwar jak we śnie.

W urzędzie celnym musieliśmy się wylegitymować. Postanowiłam nie zdradzać swojego nazwiska, jeśli można było tego

¹ Niemiecka nazwa miasta Wrocław – przyp. tłum.

uniknąć, poprosiłam więc towarzyszkę podróży o pożyczenie mi jednego z jej biletów wizytowych, który, ku mojemu zdumieniu, został przyjęty jako wystarczający dowód mojej tożsamości. Dosłownie oblężeni przez hałaśliwy tłum mieliśmy już na tyle dość trudów podróży, by złapać taksówkę i w ten sposób dotrzeć do naszego hotelu. Otoczyły nas dwa tuziny ludzi, którzy przekrzykiwali się, oferując swoje usługi. Byli na tyle uparci, że przegoniła ich dopiero policja. Taksówka mogła wtedy ruszyć, ale nie bez jednego przedsiębiorczego osobnika, który wskoczył na tył i głośno polecał się jako tłumacz, gdy już jechaliśmy. Fakt, że sama mówię po arabsku i dlatego mogłam się obejść bez tłumacza, był dla niego nieodgadnioną tajemnicą.

Dwa dni, które spędziliśmy tu w drogim i brudnym hotelu, minęły błyskawicznie. Najbardziej lubiłam chodzić do arabskiej dzielnicy miasta, której ożywione życie dostarczało mi nieustającej przyjemności. Gdy tylko zwróciłam się do ludzi po arabsku, przez chwilę podejrzliwie mnie obserwowali, a potem twarze im się rozpromieniały, a oczy zaczynały błyszczeć. „Matko – wołali – gdzie nauczyłaś się tak dobrze mówić w naszym języku? Musiałaś mieszkać w Bagdadzie. Jak długo tam byłaś?”. Nasz dorożkarz tak nas polubił, że w końcu poprosił mnie, bym wzięła go na służbę. Przysiągł, że będzie mi wierny przez całe życie i nigdy nie tknie ani kropli mojego wina. Biedak był bardzo zasmucony, gdy dowiedział się, że nie mogę przyjąć jego propozycji.

Niegdyś piękne miasto Aleksandria jest w ruinie – pomnik angielskiego „humanitaryzmu”! Poza wicekrólem Egiptu i kilkoma jego ministrami – sztucznymi twórcami Wielkiej Brytanii – wszyscy tubylcy serdecznie nienawidzą Anglików. Przy kilku

okazjach słyszałam bardzo lekceważące uwagi na ich temat, wypowiedziane przez ludzi w sklepach i na ulicach. Wielokrotnie pytano mnie, czy jestem Angielką, a gdy mówiłam, że jestem Niemką, robiłam na rozmówcach korzystne wrażenie. Również mieszkańcy europejskiej kolonii w Aleksandrii nie mają lepszej opinii o Anglikach.

Z Aleksandrii do Port Said dotarliśmy w ciągu osiemnastu godzin. Tutaj napotkaliśmy statek zaopatrzeniowy Adler, należący do eskadry Niemieckiej Afryki Wschodniej, i zostaliśmy przyjęci na pokład. Chociaż Port Said jest tylko małym miastem portowym, można tam dostać prawie wszystko. Sklepy obfitują we wszelkie luksusy, jakich może zapragnąć serce człowieka.

W tym miejscu zaczyna się pustynia i biegnący przez nią kanał łączący Morze Śródziemne z Morzem Czerwonym. Kanał jest tak wąski, że statki nie mogą się mijać. W pewnych odstępach wybudowano więc bocznice oznaczone postawionymi na brzegu znakami: „Gare Limite Sud” lub „Gare Limite Nord”. Może się zdarzyć, że statek będzie musiał czekać na bocznicę przez wiele godzin, aż minie go statek płynący w przeciwnym kierunku. W Port Said każdy parowiec bierze na pokład pilota, który wie, jak bezpiecznie przeprowadzić jednostkę przez kanał i rozumie sygnały w postaci wywieszonych na linach kolorowych kul, które wskazują, czy należy poczekać, ile statków należy przepuścić i tak dalej. Statkom nie wolno przepływać przez kanał pełną parą, ponieważ silna fala mogłaby uszkodzić mało stabilne piaszczyste brzegi. W nocy ruch jest całkowicie wstrzymany.

Kanał rozszerza się w Suezie, skąd wypłynęliśmy na Morze Czerwone. Upał już w kanale był bardzo uciążliwy, ale między

wysokimi skalistymi brzegami zatoki stał się nie do zniesienia. W dzień i w nocy byliśmy oblani potem. Ja jestem przyzwyczajona do takiej temperatury, ale moje dzieci zaczęły wykazywać irytację i znużenie. Poziom morza był jednak zbyt wysoki, by umożliwić otwarcie śluz portowych, a ponieważ powietrze pod pokładem gęstniało, spędziliśmy niespokojną noc na pokładzie w niewygodnych wiklinowych krzesłach. Podróż do Adenu trwała tydzień. Tam utknęliśmy na pięć dni, zanim Adler otrzymał rozkaz kontynuowania rejsu. 2 sierpnia ujrzelśmy wyspę Pemba. Cóż to była za radość! Ten widok oznaczał bowiem, że wybrzeże Zanzibaru jest od nas oddalone o nie więcej niż trzydzieści mil i można tam dotrzeć w ciągu trzech godzin. Ponieważ jednak nadeszła noc, zatrzymaliśmy się przy północnym przylądku. Zawijanie do portu nocą byłoby niebezpieczne z powodu podmorskich piaszczystych ławic.

Następnego dnia wcześniej wstaliśmy. Na horyzoncie widać było las masztów w porcie. Płynąc wzdłuż brzegu, wyraźnie widzieliśmy gaje palmowe usiane murzyńskimi wioskami. Za pomocą sygnalizacji przydzielono nam miejsce do zakotwiczenia, które jednak szybko musieliśmy zmienić. W porcie zastaliśmy cztery niemieckie okręty wojenne: „Stosch”, „Gneisenau”, „Elisabeth” i „Prinz Adalbert”, dwa statki należące do angielskiej marynarki, pięć sułtańskich parowców i kilka żaglowców. Komodor Paschen postanowił potraktować mnie jak „tajny ładunek”, które to określenie bardzo rozbawiło oficerów eskadry. Ale gdy tylko szarmancki admirał Knorr przybył „Bismarckiem”, sytuacja się zmieniła i mogłam zejść na ląd w taki sposób, w jaki mi się podobało.

Podczas naszej pierwszej wizyty w mieście wydawało mi się, że dostrzegam nieukrywane zdziwienie na twarzach ludzi, którzy tłoczyli się wokół nas. Co chwilę ktoś wołał po arabsku i w suahili: „Witamy panią!”. Gdy wchodziliśmy do sklepu, aby zrobić zakupy, ogromny tłum gromadził się na zewnątrz i z szacunkiem robił nam miejsce, gdy wychodziliśmy. Z dnia na dzień nasza dobrowolna eskorta rosła w liczbę, a ludność reagowała coraz bardziej entuzjastycznie. To oczywiście rozgniewało zarówno sultana, jak i jego politycznego doradcę, brytyjskiego konsula generalnego. Barghasz kazał niektórym nawet ubiczować za podążanie za nami. Następnie on i angielski urzędnik uznali za stosowne złożyć skargę do dowódcy eskadry z powodu powszechnych demonstracji na moją cześć. Kiedy się o tym dowiedziałam, zaczęłam ostrzegać ludzi przed dalszym towarzyszeniem mi, ale ci odpowiadali, że niestraszne im ryzyko kary. Niewolnicy podchodzili do mnie z wiadomościami od swoich pań, które błagały o przyjęcie zapewnienia o ich wierności i oddaniu, chciały mnie odwiedzić na pokładzie i informowały, że ich domy są dla mnie otwarte. Inni niewolnicy wsuwali mi ukradkiem do ręki ukryte wcześniej pod czapkami notatki. Kiedy przechodziłam obok jakiegoś domu, widziałam czasem kobiety, które w oczekiwaniu ukryły się za drzwiami, żeby zawołać do mnie: „Niech Bóg będzie z tobą i zachowa cię w dobrym zdrowiu!”. Moi bracia, siostry, inni krewni i dawni przyjaciele wielokrotnie przysyłali prośby, abym przyjechała i zobaczyła się z nimi. Odrzucałam wszystkie te zaproszenia nie z niechęci, ale zmuszona okolicznościami.

Gdy przepływaliśmy w łodziach wiosłowych obok pałacu lub pod oknami królewskiego haremu, żony sultana do nas

machały, a ponieważ w naszych wyprawach towarzyszyli nam oficerowie marynarki, byłam zmuszona prosić ich, aby dla dobra kobiet nie odpowiadali na te pozdrowienia. Nawet ja tego unikałam, aby uchronić bezmyślne piękności przed nieszczęściem, gdyż doniesiono mi, że ich pan i władca ma zwyczaj ukrywać się gdzieś w pałacu, wypływać na wodę lub wychodzić na ulicę, aby je przyłapać i ukarać. Nie jest to jakiś mój wymysł. Powszechnie wiadomo, że na rok przed moją wizytą na Zanzibarze ukryty sułtan przyłapał swoją faworytę — piękną Czerkieskę — jak wymieniała pozdrowienia z Portugalczykiem, który akurat przepływał tamtędy łodzią. To bez wątpienia nowy zwyczaj. Pamiętam, jak trzydzieści lat temu, w czasach mojego dzieciństwa, kłaniali się nam Europejczycy, zwłaszcza francuscy i angielscy oficerowie marynarki wojennej, a także mieszkający tu kupcy, a my przyjmowaliśmy ich uprzejmości i nikt nigdy nie zgłaszał najmniejszego sprzeciwu. Jednak Barghasz miał inne zdanie. Wychłostał swoją Czerkieskę za to przewinienie własnymi rękami tak brutalnie, że w kilka dni później oddała ducha. Mówi się, że Barghasz bezskutecznie błagał ją o przebaczenie i do dziś odprawia modły nad jej grobem.

Podczas naszych wycieczek w głąb lądu często spotykaliśmy ludzi jadących na osiołkach, którzy — aby okazać nam szacunek — zsiadali z nich i prowadzili zwierzęta za wodze, dopóki nas nie minęli. Pomimo karcenia przez sułtana mieszkańcy uparcie demonstrowali swoje przywiązanie. Okrzyki „Kwaheri, bibi” (Żegnaj, pani), rozbrzmiewające niemal pod jego oknami za każdym razem, gdy wracaliśmy na pokład, musiały go denerwować. Powiedziano mi, że zawsze, gdy nasze łodzie zbliżały się

do brzegu, ktoś bił w starą puszkę po herbatnikach jak w bęben, żeby zjednoczyć ludzi.

Podążali za nami także szpiedzy, głównie Hindusi wschodnioindyjscy. W ich towarzystwie, ku ich wielkiemu rozczarowaniu, rozmawialiśmy po niemiecku. Wieczorem przed moim wyjazdem dwaj wierni przyjaciele, którzy pod osłoną nocy weszli na statek, zwrócili moją uwagę na ponurą postać człowieka, który często zabiegał o nasze względy jako uliczny handlarz, a w rzeczywistości był narzędziem w rękach wpływowego byłego czyściciela lamp i nadwornego fryzjera Pery Daujiego. Ten niezwykle przebiegły Hindus zapracował sobie na pozycję prawej ręki sultana, podejmując się każdej pracy, wysokiej lub niskiej. Pera Dauji bierze udział w negocjacjach i wita gości sultana przy stole. Pobiera ogromną pensję w wysokości trzydziestu dolarów miesięcznie! Wszyscy w Zanzibarze dbają o to, by utrzymywać dobre stosunki z wszechwładnym Perą Daujim, któremu nawet taka kwota nie wystarcza na jego przepyszne szaty, szuka więc innych źródeł dochodu. Nadworny jubiler, odmówiwszy byłemu czyścicielowi lamp procentu od wszystkich zamówień sultana, stracił swoje przywileje, które Pera Dauji przeniósł na jego bardziej ustępliwego konkurenta.

Być może to długi pobyt za granicą sprawił, że stałam się tak wymagająca, ale miałam wrażenie, że wewnętrzna część miasta jest w opłakanym stanie. Zarośnięte chwastami ruiny wzdłuż wąskich i niezbyt czystych ulic, wyrastające gdzieś drzewa. Wydawało się, że nikt się tym nie przejmuje, wszyscy przechodzili obojętnie, torując sobie drogę przez kałuże i śmieci. Popielnice i śmietniki są tu nieznanne — wszystko wyrzuca się na ulicę. Zarządzanie miastem może nie być łatwe,

inaczej sultan, który widział przecież, jak przyjemnie chodzi się po czystych ulicach w Bombaju, Anglii i Francji, dawno by temu zaradził. W międzyczasie wprowadził już przecież produkcję lodu, światło elektryczne, tak zwaną kolej i inne piękne rzeczy, nie tylko francuskich kucharzy i kuchnię.

Widok zaniedbanego miasta już był dla mnie bolesny, ale jak dotąd nie miałam pojęcia, w jak opłakanym stanie zastanę mój wspaniały Bet il Mtoni. Dochodząc do miejsca, w którym po raz pierwszy ujrzałam światło dzienne, doznałam silnego wstrząsu. Cóż to był za widok! Zamiast domu zupełna ruina! Do moich uszu nie doszedł ani jeden dźwięk, który by mnie ocucił z przygnębiającego uczucia spowodowanego niespodziewanym widokiem. Trochę czasu zajęło mi dojście do siebie. Jedna klatka schodowa była całkowicie zawalona, druga zarośnięta i chwiała się na tyle, że strach było po niej chodzić. Więcej niż połowa domu była w ruinie. Wszystko zostawione tak, jak się zawaliło. Niektóre łaznie zamieniły się w stopy śmieci. Te, które jeszcze stały, nie miały dachów albo podłóg. Zaniedbanie i rozkład na każdym kroku! Na dziedzińcu rosły wszelkiego rodzaju chwasty. Nie pozostało nic, co przypominałoby odwiedzającemu o dawnej świetności tego pałacu.

Nawiąawszy w tym ostatnim rozdziale do głowy naszej rodziny w Zanzibarze, czuję pokusę, by ujawnić jeszcze kilka epizodów z jego życia. Głęboko mnie to boli, bo mimo wszystkich lat rozłąki z moimi najbliższymi i bez względu na okrucieństwo Barghasza wobec mnie, która kiedyś ryzykowała życiem i majątkiem, aby pomóc mu odnieść sukces, mam w sobie niesłabnące uczucie rodzinnej sympatii. Ale Seyyid Barghasz jest człowie-

kiem bez krztyny współczucia ani dla swoich poddanych, ani dla najbliższych krewnych.

Powszechnie wiadomo, że po objęciu władzy uwięził następnego w kolejce do tronu brata Khalifę bez powodu i usprawiedliwienia. Przez lata nieszczęśnik tkwił przykuty łańcuchami w żelaznych okowach. Dlaczego? Nikt nigdy nie potrafił powiedzieć. Być może Barghasz obawiał się, że Khalifa może stanąć na czele takiego spisku, jaki on sam kiedyś uknuł przeciwko Madżidowi. Kiedy siostra, którą obraził, wyruszała na pielgrzymkę do Mekki, sumienie zaczęło dręczyć Barghasza, więc prosił ją o wybaczenie. Nie śmiał stawić czoła klątwie rzuconej na niego w świętym mieście Proroka. Siostra odmówiła, dopóki nie uwolni swego niewinnego brata.

Mimo to Barghasz nadal miał oko na Khalifę i jego przyjaciół. Dowiedziawszy się, że jeden z bliskich krewnych Khalify jest bogato obdarzony dobrami doczesnymi, przypomniał sobie, jak kiedyś ważne były dla niego sojusze z bogatymi wodzami. Postanowił więc pozbawić swojego dziedzica tak cennego wsparcia. Posłał po przyjaciela Khalify i powiedział mu: „Słyszałem, że planujesz sprzedać swoje plantacje. Powiedz mi, ile za nie chcesz, gdyż chciałbym je nabyć”. „To musi być pomyłka — odpowiedział tamten. — Nigdy nie miałem zamiaru sprzedawać mojej własności”. „Ale — przerwał mu sułtan — będzie to z korzyścią dla ciebie, jeśli sprzedasz mi swoją ziemię. Przemysśl tę sprawę”.

Wkrótce został ponownie wezwany na audiencję i ponownie próbował wyjaśnić, że nie ma zamiaru niczego sprzedawać. Tym razem jednak usłyszał: „Nie ma najmniejszego znaczenia, jakie są twoje zamiary. Dam ci pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Oto

zamówienie na te pieniądze”. Nieszczęśnik wziął je z żalem, a potem spotkał go jeszcze większy cios. Gdy próbował bowiem zrealizować zamówienie, poinformowano go, że suma ta jest płatna w dwudziestu rocznych ratach po dwa tysiące pięćset dolarów każda. Człowiek ten został więc zrujnowany – właśnie tak, jak zaplanował sułtan.

Był też inny incydent, który sprawia, że rumienię się ze wstydu, a moją duszę wypełnia litość. Na temat jednej z moich sióstr rozeszła się złośliwa plotka. Zarzucano jej, że kocha się w kimś, kogo Barghasz nie mógłby zaakceptować jako szwagra. Sułtan udał się do niej i ją o to oskarżył. Na próżno protestowała i tłumaczyła, że nic nie wie o tej sprawie. „Czuły” brat osobiście wymierzył własnej siostrze pięćdziesiąt batów laską! W konsekwencji ta spędziła miesiąc w łóżku i długo jeszcze cierpiała z powodu skutków jego brutalnego traktowania. Nie ulega wątpliwości, że pewnego dnia Barghasz będzie się modlił nad jej grobem, tak jak w przypadku swojej czerkieskiej żony.

Często słyszy się, jak Europejczycy chwalą obecnego sułtana Zanzibaru za życzliwość. Na podstawie tego, co napisałam, można jednak ocenić, jaki jest naprawdę. Z pewnością w głębi serca nie cierpi on niczego bardziej niż samego słowa „Europejczyk”. A co z jego udawaną przyjaźnią wobec Niemiec? Wydaje mi się, że niemieckie społeczeństwo Afryki Wschodniej ma na tyle dowodów, aby obalić to twierdzenie.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego nie mogłam oczekiwać zbyt wiele od Seyyida Barghasza w kwestii moich roszczeń majątkowych. Gazety rozpowszechniały nieprawdziwe informacje, że wróciłam do Niemiec z całym swoim spadkiem uzyskanym

ze sprzedaży dwudziestu ósmiu domów. Nie otrzymałam ani grosza. Moje roszczenia, uznane za słuszne nawet przez brytyjskiego konsula generalnego – a to wiele mówi – do dziś pozostają niezaspokojone. Podziękowałam za ogromną kwotę sześciu tysięcy rupii (około dziewięciu tysięcy sześciuset marek), którą mój bogaty brat zaproponował jako całkowite rozliczenie. Od czasu wstąpienia Barghasza na tron zmarło pięciu moich braci, pięć siostr, moja ciotka Assha, trzy siostrzenice, jeden bratanek i bogata macocha, a ja mam prawo do udziału w całym ich majątku. Sułtan pustymi frazami odrzucił propozycję pojednania się ze mną wysuniętą przez niemiecki rząd. Musiał być zadowolony, że problem mojej osoby został przyćmiony przez kwestie polityczne.

Jest jeszcze jedna nieprzyjemna kwestia. Każdy, kto zna Zanzibar, doskonale zdaje sobie sprawę, że sułtan rządzi tylko w drobnych sprawach, a brytyjski konsul generalny zarządza całą resztą. Nawet wrogowie tego drugiego przyznają, że jest znakomitym dyplomatą. Gdybym była tak niedoświadczona w dyplomatycznych praktykach i strategiach jak dziesięć lat temu i gdybym brała za dobrą monetę każde przyjaźnie brzmiące słowa, najprawdopodobniej uwierzyłbym w to, co konsul generalny powiedział wysokiemu oficerowi należącemu do niemieckiej floty: że bardzo żałuje, że nie mógł czegoś dla mnie zrobić, ale niestety nie nadarzyła się okazja, aby zobaczyć się z sułtanem i przekazać mu to, co mam do powiedzenia. Wkrótce potem dowiedziałam się, że dwa tygodnie wcześniej ów dżentelmen spędził kilka dni z sułtanem w jednej z jego posiadłości. Słyszy się również o czynnej linii telefonicznej łączącej pałac sułtański z konsulem generalnym Jej Królewskiej Mości.

Kiedy zbliżałam się do Zanzibaru, targaly mną wątpliwości co do przyjęcia, jakie mnie tam czeka. Spodziewałam się, że mój brat całkowicie zlekceważy niemieckie żądania, i nie pomyliłam się. Byłam przygotowana na to, że moja obecność będzie jedynie tolerowana ze względu na pozycję Niemiec. Złe traktowanie, jakie Barghasz zafundował innym moim braciom i siostram, z pewnością nie zapowiadało przyjaznego przyjęcia. Pozostawało jeszcze jedno pytanie: jak na mój przyjazd zareagują ludzie? Na szczęście spotkałam się z bardzo gorącym przyjęciem. Arabowie, Hindusi i tubylcy błagali mnie, bym spędziła resztę moich dni na Zanzibarze. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie żywią oni wobec mnie żadnych uprzedzeń religijnych za to, że przeszłam na chrześcijaństwo. Jeden Arab powiedział mi nawet, że zawsze patrzył na mnie jak na córkę mojego ojca, a moją zmianę religii zapisano już na początku świata; zarówno mój wyjazd, jak i powrót zostały zrządzone zgodnie z Boską wolą. „A teraz — dodał — z pewnością ty i twoje dzieci zostanieie z nami”.

Takie dowody przywiązania i oddania w połączeniu z błogą radością płynącą z możliwości ponownego zobaczenia mojego drogiego kraju podtrzymywały mnie na duchu w wielu ciężkich godzinach i sprawiły, że moja podróż na Zanzibar napełniła mnie szczęściem na całe życie. Dziękuję za to Bogu i jestem wdzięczna za Jego wielką dobroć i miłosierdzie.

Moje drugie rozstanie z domem nie obyło się bez gorzkich łez i bólu podzielanego przez moich przyjaciół, których list pożegnalny, napisany po arabsku i wysłany do mnie do Niemiec, cytuję poniżej w dosłownym tłumaczeniu jako najodpowiedniejsze zakończenie mojej książki:

Odeszłaś bez słowa pożegnania,
to rozdarło moje serce i wypełniło moją duszę ogniem.
Gdybym tylko objął cię mocno za szyję, kiedy odchodziłaś:
mogłabyś siedzieć na mojej głowie i chodzić po moich
oczach¹!

Mieszkasz w moim sercu, a kiedy odeszłaś,
wyrządziłaś mojej duszy taką krzywdę, jakiej nigdy jeszcze
nie zaznała.

Moje ciało jest wycieńczone, nie mogę powstrzymać łez,
jedna po drugiej spływają po moich policzkach jak morskie
fale.

O, Panie Wszechświata! Pozwól nam spotkać się przed śmier-
cią,
nawet gdyby miało to być tylko jeden dzień wcześniej!
Jeśli będziemy żyć, spotkamy się,
A jeśli umrzemy, pozostaniemy nieśmiertelni.
O, gdybym był ptakiem, z tęsknoty poleciałbym za tobą!
Ale jak może latać ptak, któremu podcięto skrzydła?

¹ Autorka prawdopodobnie dosłownie przetłumaczyła arabski idiom **على وراسي عيني** ('ala 'aini wa raasi), który oznacza 'dam ci wszystko, o co poprosisz' – przyp. tłum.

KONIEC

ISBN 978-83-8351-164-1



Rideró

Wydaj książkę
profesjonalnie!